



Timona
opowieść

SAGA RODU CYNSTERÓW

STEPHANIE
LAURENS



Stephanie Laurens

Zimowa opowieść

Tłumaczenie:
Magdalena Słysz

Rozdział pierwszy

23 grudnia 1837 roku

Casphairn Manor, Vale of Casphairn, Szkocja

Daniel Crosbie miał wrażenie, jakby przeżywał wszystkie swoje dotychczasowe święta Bożego Narodzenia naraz. Obejmując spojrzeniem Wielką Salę Casphairn Manor wypełnioną członkami sześciu rodzin Cynsterów i w różnym stopniu związanymi z nimi domownikami, pozwolił sobie na chwilę zadowolenia z niespodziewanie korzystnego obrotu spraw i wynikających z niego nadziei.

Zebrani wokół goście delectowali się obfitym obiadem powitalnym, który rozpoczynał dziesięciodniowe święta – jeśli dobrze się orientował, będące połączeniem Bożego Narodzenia, dawnego Yuletide, i Hogmanay, czyli sylwestra. Tłum uśmiechniętych ludzi o błyszczących oczach, siedzący przy długich stołach niczym z refektarza i bardziej na ławach niż na krzesłach, był w wybornym humorze. Wszędzie rozbrzmiewał gwar rozmów oraz śmiechy, a na większości twarzy, oświetlonych ciepłym blaskiem świec na potężnych okrągłych żyrandolach, malowało się wyczekiwanie. Wielka Sala, centralne pomieszczenie, wokół którego wzniesiono dwór, zasługiwała na swoją nazwę; przestrzeń między grubymi murami z jasnoszarego kamienia była na tyle duża, by pomieścić cały ród Cynsterów, liczący z sześćdziesiąt osób, a także wszelkich służących z rodzinami, którzy pracowali we dworze i jego okolicach, tworzących razem jakby małą wieś.

Straciwszy wszystkich swoich bliskich, Daniel jako guwerner Cynsterów – dzieci pana Alasdaira Cynstera i jego żony Phyllidy – przez ostatnie dziesięć lat spędzał z nimi Boże Narodzenie, ci jednak po raz pierwszy wyjechali na święta do Szkocji. Sześć rodzin Cynsterów – czyli Devila, księcia St. Ives, jego brata Richarda oraz kuzynów, Vane’a, Harry’ego, Ruperta i Alasdaira, najbliższej spokrewnionych z księstwem St. Ives – zawsze spędzało razem Boże Narodzenie. Często dołączali do nich także członkowie innych gałęzi rodu, lecz tym razem byli nieobecni; długa podróż do Vale, na Nizinie Środkowoszkockiej, do siedziby Richarda Cynstera i jego małżonki Catriony, gdy mróz i śnieg przysłyż znacznie wcześniej, niż się spodziewano, skutecznie zniechęciła wszystkich, z wyjątkiem najbardziej wytrwałych.

Z wieloletniego nawyku Daniel spojrzął na swoich podopiecznych – niebawem byłych – którzy siedzieli przy sąsiednim stole z kuzynami, bliższymi i dalszymi. Aidan, obecnie szesnastoletni, i Evan, piętnastolatek, wyszli spod jego kurateli, gdy zdali do Eton, lecz on, gdy tylko przebywali w domu, wciąż miał ich na oku – co rodzice chłopców bardzo doceniali, a oni sami, czując się przy nim swobodnie po tych wszystkich latach, znosili pogodnie. W tej chwili rozmawiali żywo ze swoimi kuzynami, w sposób, który przynajmniej w Danielu wzbudził podejrzenie, że coś razem knują. Postanowił więc, że wywie się o to później. Jason, najmłodszy syn w rodzinie i ostatni z podopiecznych Daniela, był z kolei zajęty rozmową z grupą Cynsterów bardziej zbliżonych do niego wiekiem. Jako jedenastolatek i on miał w przyszłym roku rozpocząć formalną edukację – okoliczność ta wiązała się z niepokojącym dla Daniela pytaniem, co wtedy pocnie.

Gdy Jason wyjedzie do Eton i w domostwie Alasdaira Cynstera w Colyton, w Devon, nie pozostanie już żaden chłopiec, którego Daniel mógłby uczyć, z czego przyjdzie mu żyć?

Pytanie to gnębiło go od kilku miesięcy również dlatego, że jeśli kiedykolwiek mógł wieść życie, którego pragnął i o które chciał się ubiegać, potrzebował stałej posady – miejsca w hierarchii, pozycji ze stałą pensją.

Zachodził więc w głowę, co w tej sytuacji zrobić, jakie ma możliwości, kiedy pan Cynster – czyli Alasdair – poprosił go do biblioteki i przedstawił mu propozycję, która stanowiła, krótko mówiąc,

odpowiedź na wszystkie modlitwy Daniela.

W poprzednich latach wielokrotnie pomagał Alasdairowi, dokumentując i ustalając pochodzenie zdobytych przez niego okazów starej i antycznej biżuterii, którą ten zbierał, a także katalogując i dodając do jego kolekcji stare księgi, odziedziczone po poprzednim właścicielu dworu. Alasdair, wspierany przez Phyllidę, zaproponował mu, by – jeśli tylko będzie miał na to ochotę – został w Colyton po wyjeździe Jasona z braćmi do Eton, gdyż z chęcią zatrudnił go jako osobistego sekretarza pana domu, służącego mu pomocą w rozszerzających się zainteresowaniach.

Oferowana pensja była bardzo hojna, a warunki nie mogły być lepsze. Nowa posada nie tylko bardzo odpowiadała Danielowi, lecz także rozwiązywała wszystkie jego problemy.

A co więcej, dawała mu możliwość ubiegania się o rękę Claire Meadows.

Spojrzał wzdłuż ściany na prawo. Odziana w miękką wełnianą suknię w zgaszonym odcieniu błękitu Claire – pani Meadows – siedziała po przeciwnej stronie stołu, dwa miejsca dalej od niego. Była guwernantką u Ruperta Cynstera; ponieważ Rupert i Alasdair byli braćmi, Claire i Daniel często mieli okazję spotykać się podczas zjazdów rodzinnych. Przy takich okazjach, zgodnie ze zwyczajem, biorący w nich udział guwernerzy i guwernantki trzymali się razem, tak jak obecnie. Z Claire gawędziła miejscowa guwernantka, panna Melinda Spotswood, w typie dobrodusznej matrony, o istic żelaznej woli. Miejsce po jej drugiej stronie, naprzeciwko Daniela, zajmował Oswald Raven, guwerner we dworze; kilka lat starszy od Daniela, demonstrował beztroskę, choć tak naprawdę ciężko pracował i był oddany swoim podopiecznym. Rozmawiał właśnie z Samuelem Morrisem, siedzącym obok Daniela i przybyłym z domostwa Vane'a Cynstera w Kent; najstarszy z całego grona, nieco korpulentny, sprawiał wrażenie łagodnego, był jednak poważnym uczonym i potrafił okiełznać uczniów.

Cała piątka spotykała się i razem wypełniała obowiązki już wcześniej, przy kilku okazjach; łączyły ich dobre, życzliwe stosunki. W nadchodzących dniach mieli wspólnie nadzorować potomstwo zebranych tu Cynsterów – a przynajmniej to najmłodsze. Najstarsze, siedemnastolatki pod przewodnictwem osiemnastoletniego Sebastiana Cynstera, markiza Earith i przyszłej głowy rodu, miało samo się sobą zajmować, wraz z dużą grupą szesnasto- i piętnastoletnich krewnych tej samej płci. Ale pozostało jeszcze sześciu chłopców w wieku do trzynastu lat oraz siedem dziewcząt, od lat ośmiu do czterech, i to nad nimi mieli czuwać opiekunowie, dostarczając im zajęcia.

Nigdy nie wiadomo było, co te diabły wcielone mogą zrobić, jeśli zostaną zostawione samopas.

Praca guwenera albo guwernantki dzieci Cynsterów nigdy nie nużyła ani nie otepiała.

Daniel zdołał oderwać wzrok od Claire na całe dziesięć minut. Mimo panującego wokół ożywienia, z całym hałasem i zamieszaniem – mimo wielu przystojnych i wręcz oszałamiająco pięknych twarzy, które można tu było zobaczyć – to ona jaśniała najmocniej na tym firmamencie; niezależnie od tego, gdzie się znajdowali, niezależnie od współzawodniczących obrazów i dźwięków, to właśnie ona przyciągała jego spojrzenie i skupiała uwagę.

Działo się tak od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy na jednym z letnich zjazdów rodzinnych w Cambridgeshire kilka lat wcześniej. Później spotykali się na różnych uroczystościach Cynsterów, na weselach w Londynie, huczniejszych urodzinach i świątach jak to obecnie.

Przy każdej takiej okazji budziła coraz większe jego zainteresowanie, coraz wyraźniejszą fascynację, aż w końcu musiał stawić czoło oczywistej konkluzji, której nie mógł odrzucić ani zanegować.

I nie mógł jej dłużej ignorować.

– Jeżeli pogoda się utrzyma – rzekł Raven, przyciągając uwagę Daniela swoim spojrzeniem – i starsi chłopcy wybiorą się na przejażdżkę, jak planują, będziemy musieli wymyślić młodszym odpowiednie rozrywki.

Odwrócony plecami do stołu, przy którym siedzieli młodzi Cynsterowie, Raven obrócił się i zapytał, czego dotyczy ich ożywiona rozmowa. Odpowiedź brzmiała: wyprawy konnej, by ustalić miejsce pobytu i liczebność stad jeleni.

Daniel pokiwał głową.

– Jeśli to będzie możliwe, wyprowadźmy na dwór tych, którzy pozostaną.

– Słusznie – zabrała głos Melinda, odwracając się od Claire, aby włączyć się do rozmowy. – Powinniśmy wykorzystać wszystkie pogodne dni. Właśnie mówiłam Claire, że jeśli jutro będzie ładnie, czternastolatki... mam na myśli dziewczynki... może zebrałyby choinę i ostrokrzew do przystrojenia sali.

– Wskazała kamienne mury z kominkami i łukami, obecnie pozbawione jakichkolwiek świątecznych ozdób. – Dekorowanie wnętrza należy do wigilijnego zwyczaju.

– Słyszałem – odezwał się Morris – że w tych okolicach panuje jakaś tradycja związana z paleniem polan. – Szukając potwierdzenia, spojrzął na Ravena.

Raven, o stosownie do imienia ciemnych włosów^[1], skinął głową.

– O tak, to doskonały pomysł. Nie tylko należy znaleźć odpowiedniej wielkości bierwiona, lecz także je potem powykrawać. To powinno zająć chłopców na wiele godzin. Porozmawiam ze służbą, by pomogła nam w przygotowaniach.

Daniel znowu skinął głową i ponownie mimowolnie spojrzął na Claire; przysłuchiwała się rozmowie ze spokojem świadczącym o tym, że aprobeuje przedstawione pomysły. Z gładkimi brązowymi włosami, które lśniły w blasku świec, delikatnymi rysami twarzy i mlecznobiałą cerą, blad różowymi pełnymi ustami i wielkimi orzechowymi oczami, osadzonymi pod kształtnymi, wygiętymi w łuk brwiami, stanowiła według niego uosobienie kobiecości.

To, że owdowiała w młodym wieku, nie miało dla niego znaczenia, jednakże owo doświadczenie najwyraźniej nadało jej pewien rys powagi, sprawiający, że była powściągliwsza, ostrożniejsza i stateczniejsza, niż można by się spodziewać po dobrze wychowanej damie, która liczyła dwadzieścia siedem wiosen.

Jej pozycja – Claire pochodziła ze szlacheckiego rodu, ale zubożałego w trudnych czasach – była mniej więcej taka jak jego, a może nawet odrobinę wyższa; tego nie wiedział. I tak naprawdę o to nie dbał. Teraz byli sobie równi, a co miało być później... to już zależało od nich samych.

Przyjechał do Szkocji, do Vale, postanawiając spróbować szczęścia – skorzystać z okazji, porozmawiać z Claire i wyznać jej swoje uczucia, by się dowiedzieć, czy ona je odwzajemnia i czy spełni jego marzenia.

Tymczasem wybuch śmiechu i głosy skierowały jego uwagę na główny stół.

Na biegnącym wzdłuż ściany podeście, honorowym miejscu, prawdopodobnie zbudowanym jeszcze za czasów średniowiecza, siedziało sześć par Cynsterów. Oprócz tej dwunastki – ludzi być może w średnim wieku, jednakże wciąż urodziwych, energicznych i pełnych życia – na końcu ławy zajmowali miejsce także trzej przedstawiciele starszego pokolenia. U szczytu stołu, najbliżej kominka, siedziała Helena, wdowa po poprzednim księciu St. Ives, matka Devila i Richarda, najstarsza z klanu, która wybrała sobie do towarzystwa Algarę, starą mentorkę Catriony, i McArdle'a, dawnego kamerdynera, obecnie już emerytowanego. Ta trójka była już bardzo wiekowa i sądząc po spojrzeniach i gestach, właśnie wymieniała obserwacje dotyczące innych zebranych w sali. Poznawszy wdowę, która przy kilku okazjach przyjrzała mu się bystro, Daniel wolał nie myśleć, ile ta dama widzi – nie mówiąc już o czarnookiej Algarii.

Słyszając wygłoszoną donośnym głosem uwagę, której towarzyszyły śmiechy, ponownie spojrzął na dwunastkę Cynsterów z pokolenia obecnie sprawującego rządu. Może ich dzieci szybko dorastały, zdradzając oznaki silnych osobowości o dużym potencjale, ale to oni, siedzący przy głównym stole, wciąż dominowali w swoim świecie.

Daniel przyglądał im się – zwłaszcza tym sześciu parom – od dziesięciu lat. Wszyscy mężczyźni przyszli na świat w bogatych rodzinach, lecz to, co zrobili z majątkiem – i jakie wiedli życie – nie było wyłącznie zasługą dziedzictwa. Każdy z nich miał pewną szczególną siłę – subtelne połączenie władzy, zdolności i przenikliwości – którą Daniel doceniał, podziwiał i do której aspirował. Dopiero po jakimś

czasie zrozumiał, skąd się ta siła bierze – dawały im ją kobiety. Odpowiednie małżeństwa. Więzy – głębokie, silne niczym kotwice – łączące tych sześciu mężczyzn z żonami.

Dostrzegłszy i pojąwszy to, Daniel zapragnął tego samego dla siebie.

Jego wzrok znowu powędrował do Claire. Od kiedy ją poznał, wiedział, z kim chciałby być w taki sposób związany.

I oto był bliski realizacji tego pragnienia – zamierzał zaryzykować i miał nadzieję, że uda mu się ją przekonać, aby została jego małżonką.

Gotów zrobić wszystko, aby oddała mu rękę.

Teraz, gdy los w osobie Alasdaira Cynstera usunął mu z drogi przeszkody, Daniel uznał, że przysłała pora zebrać się na odwagę i działać.

Targały nim nadzieja, niecierpliwość i niepokój.

Jednak, skoro już znaleźli się tu oboje, był zdeterminowany podjąć odpowiednie kroki. Znał swoje uczucia do niej i miał podstawy sądzić, że są wzajemne. Najpierw tylko musiał się upewnić, czy nie jest w błędzie – i czy może liczyć na coś więcej.

Claire wyraźnie – by nie powiedzieć dotkliwie – czuła na sobie wzrok Daniela Crosbiego. Była świadoma jego zainteresowania. Uwagi, z jaką na nią patrzył.

Wolałaby, aby tego nie robił – a przynajmniej tak mówił jej rozum. Serce – głupie i płochliwe – podpowiadało bowiem, że powinno jej to pochlebiać... no, ale zachowywało się niemądrze i swawolnie. Niefrasobliwie.

Owszem, Daniel był przystojny, ujmujący, uczciwy i honorowy; miała dość rozsądku, by się nie obawiać, że spotka się z jego strony z jakąś nieprzyzwoitą czy niegodziwą propozycją.

Ale właśnie w tym rzecz. Ze swoimi ciemnymi włosami, grubymi i prostymi, pociągłą twarzą, szczupłą, wysoką i wysportowaną sylwetką, łagodnymi, inteligentnymi, brązowoorzechowymi oczami, był zbyt miły, zbyt szarmancki, zbyt dobry – nie chciała go zranić, nadmiernie stanowczo gasząc nadzieje, które mógł żywić. Które, jak się obawiała, zamierzał wyartykułować.

Za bardzo go lubiła i ceniła sobie ich przyjaźń, aby to wszystko zrujnować, co by się niewątpliwie stało, gdyby była zmuszona mu odmówić. Gdyby musiała odrzucić propozycję, z którą – jak podpowiadało jej przeczucie – zamierzał wkrótce wystąpić.

Nie miałyby z nim przyszłości – czy raczej on z nią. Żadne z nich nie miałyby z drugim przyszłości. Ale jak przekonać o tym takiego dżentelmena...

Cierpiała już na samą myśl o tym.

W tej sytuacji mogła tylko go unikać, ale w najbliższych dniach było to niemożliwe; musiała więc wykorzystać całą swoją pomysłowość i refleks, aby przez tak długi czas utrzymać go na dystans.

Miała niewielkie szanse na powodzenie, ale co innego mogła zrobić?

Nie wybiegaj myślą poza bieżący dzień. To była jej dewiza w okresie po śmierci męża; i teraz inna zasada postępowania nie przychodziła jej do głowy.

Zwróciła się do Melindy:

– Alatea prosiła mnie, abym szczególnie zwracała uwagę na córki pani Phyllidy... Lydię i Amaranthę... bo są tu najmłodsze. Jeśli mam zabrać starsze dziewczęta na zbieranie choiny, to co zrobimy z młodszymi? Połączymy obie grupy?

Melinda pokręciła głową.

– Czwórka czternastolatek jest zbyt blisko ze sobą związana... no i przewodzi im Louisa. Lepiej nie dawać jej więcej podwładnych, którymi mogłaby komenderować.

Wszyscy guwernerzy i guwernantki wiedzieli, że córka Devila Cynstera to prawdziwy urwis – była zbyt bystra, zbyt przekonująca i zbyt nawykła do rządzenia.

– Chciałam zaproponować – podjęła Melinda – że zabiorę młodsze... Margaret, Lydię i Amaranthę...

do kuchni. Kucharka mówiła, że będzie piekła babeczki bakaliowe, więc na pewno chętnie jej pomogą.

Claire potwierdziła.

– O tak, na pewno. Dobrze więc... wezmę starsze dziewczynki do lasu. – W towarzystwie czterech czternastolatek powinna być następnego dnia bezpieczna. – Jakich gałęzi używa się tu do dekoracji, gdzie je znajdziemy i ile będzie tego potrzeba?

Lucilla Cynster, najstarsza córka gospodarzy i przyszła pani na Vale, przysłuchiwała się, jak jej brat bliźniak, Marcus, siedzący obok, objaśnia kuzynom, Sebastianowi, Michaelowi i Christopherowi, zwyczaj miejscowego sezonu polowań na jelenie. Trzej chłopcy zajmowali miejsca po drugiej stronie stołu, zasłaniając jej potężnymi ramionami i szerokimi pierściami resztę sali. Zerknąwszy wzdłuż stołu między Marcusa i Christophera, zauważyła, że pięciu piętnasto- i szesnastoletnich kuzynów – Aidan, Gregory, Justin, Nicholas i Evan, a wszyscy oni mieli wziąć nazajutrz udział w rekonesansie – pochyła się do przodu, spijając każde słowo z ust jej brata.

Sebastian, Michael i Christopher demonstrowali wyraźną nonszalancję. Ale Lucilla czuła, że aż się palą do wyprawy, więc patrzyła na ich obojętne miny ze sceptycyzmem.

Razem z Louisą to właśnie sześć starszych dziewcząt – wliczając także Prudence, która siedziała po drugiej stronie Lucilli – przekonała starszych, by tym razem urządzić Boże Narodzenie w Vale. Pragnęły bowiem przeżyć magiczne białe święta w spokojnej scenerii doliny, jak kiedyś, gdy były małe. Wszystkie z nostalgią wspominały tamtą Gwiazdkę. Chłopcy natomiast chcieli wybrać się na polowanie, ale choć sezon na jelenie został otwarty, z powodu wczesnych śniegów zwierzęta te wycofały się daleko w wąskie doliny między pobliskimi wzgórzami; postanowiono więc, że następnego dnia kilkoro z nich wybierze się na rekonesans, aby zbadać teren przed właściwym polowaniem, zaplanowanym po Dniu Świętego Szczepana.

Prudence – pierworodna Demona i Felicity Cynsterów, najbliższa kuzynka Lucilli, jej przyjaciółka i czasami powiernica – nachyliła się i kiedy Marcus przerwał, by odpowiedzieć na pytanie Aidana, zagadnęła:

– Wybrałabym się z nimi... a ty?

To, że Prudence chciała zabrać się z chłopcami, nie zaskakiwało; uwielbiała konie od zawsze. Biorąc pod uwagę, że jej rodzice przepadali za zwierzętami, trudno się było temu dziwić.

Lucilla zastanowiła się nad jej propozycją. Spojrzała wzdłuż stołu na Louisę – o czarnych błyszczących włosach, jasnozielonych oczach i nieskazitelnym manierach. Pomyślała, że jeśli zostanie w domu, Louisa nie będzie odstępować jej na krok, a ta perspektywa wcale nie kusila. Nie dlatego, że nie potrafiły znaleźć wspólnego języka – mimo płomiennych włosów Lucilli pod względem temperamentu były jak dwie krople wody – ale ponieważ za sprawą Pani Lucilla wiedziała, że Louisa miała któregoś dnia stać się kobietą o wielkiej władzy.

Gdy tylko były razem, Lucilla czuła silną potrzebę kierowania Louisą czy też doradzania jej – a jednocześnie wiedziała, że powinna się od tego powstrzymać. Louisa musiała sama znaleźć drogę, bez niczyjej pomocy; przeszkody i wyzwania, które miała napotkać, były nie bez znaczenia, gdyż stanowiły przygotowanie do jej przyszłej roli.

Nie dało się tego wyjaśnić komuś, kto nie był przez Panią naznaczony. Dlatego...

Udział w wyprawie pozwoliłby jej zniknąć z domu na prawie cały dzień. Lucilla skinęła więc głową.

– Tak, chętnie pojedę – odrzekła.

Jak to miała w zwyczaju, zasięgnęła rady Pani – swego wewnętrznego kompasu – i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Powinna pojechać z kuzynami. Ale po co...? Tego jak zwykle nie wiedziała.

Tymczasem na podwyższeniu, na końcu długiego stołu, w ciepłe dochodzącym z kominka, Helena,

wdowa po poprzednim księciu St. Ives, spojrziała z pobłażliwością na zgromadzonych w sali. Uśmiechnęła się, bardziej do siebie niż kogokolwiek innego, na widok swoich wnucząt oraz wnucząt braci i sióstr.

– Dorastają – zauważyła.

W jej głosie brzmiała wielka satysfakcja.

Siedząca przy niej Algaria poprawiła szal na ramionach.

– Rosną, owszem. Są coraz starsi, niewątpliwie. Czy mądrzeją? Tego nie wiem.

Trzeci z ich grona, stary McArdle, zaśmiał się cicho.

– Są jak wszystkie młode istoty... nabiorą mądrości z czasem.

Algaria zamilkła, a potem mruknęła:

– Masz rację... każde z nich napotka przeszkody i problemy, lecz co z tego wyniknie... Możemy tylko zgadywać.

Helena nie pozwoliła, by niejasne sugestie Algarii zepsuły jej humor.

– Prawdę mówiąc, ostatnio, gdy tak patrzę, jak się potykają i przewracają, a potem wstają, najbardziej zdumiewa mnie to... jak ich życie się zmienia.

Algaria i McArdle spojrzeli na dzieci. Chociaż się nie odezwali, oboje skłonili głowy.

Helena uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zadowolona, że przynajmniej z filozoficznego punktu widzenia ostatnie słowo należało do niej.

– Więc! – Prudence złożyła jasnowłosą głowę, całą w lokach, na poduszce, którą umieściła w nogach łóżka Lucilli. Miały spać na waleta, podczas gdy młodsze dziewczynki – siostra Prudence, Margaret, i ich kuzynki, Lydia i Amarantha – zajęły sienniki przed kominkiem. – Jutro jedziemy na wyprawę konną z innymi, a pojutrze, w dzień Bożego Narodzenia, będziemy jak zwykle jeść, pić i się weselić. – Przybrawszy wygodniejszą pozycję, ciągnęła: – Nie pamiętam... czy wy tu obchodzicie Dzień Świętego Szczepana? Z upominkami i tak dalej?

– Oczywiście, że obchodzimy. – Ułożona już pod kołdrą Lucilla uniosła głowę, aby spojrzeć na Prudence. – Ale tutaj nazywamy to święto Uctą Świętego Szczepana, nie bez powodu ostrzegam. Jutro wieczorem albo w bożonarodzeniowy ranoćk mama prawie na pewno będzie oczekiwała od nas pomocy przy pakowaniu prezentów. To mniej więcej tak samo jak u stryja Sylwestra i cioci Honorii w Somersham... prezenty dla służących i ich rodzin. U nas, rzecz jasna, jest łatwiej, bo nawet nasi pasterze mieszkają we dworze, więc wszyscy będą na miejscu... a w każdym razie w Wielkiej Sali.

Prudence skinęła głową.

– Mamy więc co robić przez całą Gwiazdkę i dwa następne dni. A co później?

– Trzy dni na odpoczynek, przygotowania... i przyjdzie Hogmanay... koniec tego roku i początek następnego.

Prudence przez kilka minut milczała, a potem, mrużąc oczy, spojrziała ku głowie łóżka i pochwyciła spojrzenie Lucilli.

– Cieszę się na przyszły rok, a wiesz dlaczego? Bo to jeszcze nie będzie rok naszego debiutu.

Lucilla zrozumiała, co kuzynka ma na myśli.

– W pewnym sensie to ostatni rok naszego dzieciństwa, by się tak wyrazić.

– Powinniśmy się postarać, aby był znaczący – zauważyła Prudence. Podekscytowana tą myślą, kontynuowała: – Róćmy to, co zawsze chcieliśmy zrobić, i nie pomijajmy niczego, co możemy wyprawiać jako dziewczynki, a co nie przystoi młodym damom.

Lucilla parsknęła śmiechem.

– Jak przejażdżka po St. James otwartym powozem?

– Otóż to! Czy jazda na łeb, na szyję przez park. Czyż to nie jest niedorzeczne, że jeszcze w przyszłym roku będę mogła robić to wszystko... codziennie przed południem, gdy będziemy w Londynie, jeśli tylko

zechcę... a w następnym takie samo zachowanie zostanie uznane za nieprzyzwoite i gorszące?

– Społeczeństwo uwielbia zasady, choćby najgłupsze. – Lucilla urwała. – Hm, jeśli się nad tym zastanowić, przyszły rok będzie rzeczywiście doskonałą okazją, aby zrobić te wszystkie ryzykowne rzeczy. Lepsza część towarzystwa skupi się na koronacji i towarzyszącym jej wydarzeniom, tak że nikt nie zwróci na nas uwagi i nie będzie patrzeć na nas krytycznie.

– Słuszna uwaga – oznajmiła Prudence. Po chwili podjęła: – Muszę powiedzieć, że żał mi tych dziewcząt, które w przyszłym roku czeka debiut. Słyszałam, jak mama mówiła, że będzie szaleństwo z tymi wszystkimi przygotowaniem do koronacji: każdy, kto nie jest obcym monarchą, zginie w tłumie.

– Uhm.

Aczkolwiek nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, Lucilla wcale nie czekała na rok swojego debiutu, kiedy to razem z Prudence i Antonią Rawlings miały oficjalnie wejść w wielki świat. Spodziewała się, że to będzie strasznie nudne – i całkowicie pozbawione sensu. Podejrzewała, że jej matce to właśnie najbardziej się w tym wszystkim podoba, ale wątpiła, czy tak jest w przypadku ojca, niezależnie od tego, że zazwyczaj bez sprzeciwu przyjmował wszystkie podyktowane przez Panią postanowienia żony. To ze względu na niego Lucilla zamierzała pojechać do Londynu i zadebiutować w towarzystwie, pokazać się na tych wszystkich balach i w parku... zupełnie daremnie. Wiedziała bowiem, że spędzi życie tutaj, w Vale, podobnie jak wcześniej jej matka.

Nie miała pojęcia, jak i kiedy znajdzie ją ten jedyny – kimkolwiek będzie – była jednak pewna, że stanie się to tutaj.

Tu – gdzieś na ziemi rządzonej przez Panią.

Prudence odwróciła się na bok i zwinęła w kłębek.

– Szkoda, że nie dołączy do nas Antonia z rodziną.

Lucilla też ułożyła się do snu i naciągnęła kołdrę na ramię.

– Napisała do nas ciocia Francesca. Mama mówiła, że chcieli przyjechać, ale babcia Antonii źle się czuje i woleli nie zostawiać jej samej, zwłaszcza w święta.

Prudence mruknęła, niechętnie przyznając jej rację.

– Boże Narodzenie powinno spędzać się z rodziną. – Zamilkła na chwilę. – Może będą mogli was odwiedzić, kiedy w przyszłym roku przeniesiecie się na południe. – Ziewnęła.

Zaraziła tym Lucillę, która odparła.

– Może. – A chwilę później wymamrotała: – Dobranoc.

Usłyszała zadowolenie w głosie Prudence, gdy ta rzuciła na koniec:

– Słodkich snów.

Rozdział drugi

Nazajutrz rano, wraz z innymi guwernerami oraz Melindą i Claire, Daniel zaprowadził wspólnych podopiecznych – wszystkich tych, którzy jeszcze uczyli się w domu, a oprócz tego piętnasto- i szesnastolatków – do Wielkiej Sali na śniadanie.

Mieszkał w jednym pokoju z Ravenem i Morrisem i wszyscy trzej wiedzieli, że lepiej nie zostawiać pupili samych. Mieli także świadomość, że obietnica jedzenia stanowi najsilniejszy wabik, który wyciągnie chłopców z łóżka, zmusi ich do ubrania się i przypomnienia sobie o manierach.

Sadzając hałaśliwą czeredę przy stołach, Daniel z pewnym zdziwieniem zauważył, że starsi członkowie towarzystwa – wdowa, Algaria i McArdle – wyprzedzili wszystkich pozostałych i już raczyli się ciepłymi bułkami prosto z pieca i złocistym miodem z miejscowych uli.

Gdy dostrzegł zaskoczenie Daniela, McArdle uśmiechnął się cierpko.

– My, w naszym wieku, nie potrzebujemy zbyt dużo snu.

– Ponadto – wdowa przeszła Daniela spojrzeniem jasnozielonych oczu – cieszymy się drobnymi przyjemnościami, które jeszcze daje nam życie. – Po czym odgryzła mały kęs bułeczki.

Czując się niepewnie pod wpływem jej przenikliwego wzroku, Daniel uśmiechnął się, uprzejmie skłonił głowę i zwrócił się znowu ku swoim znacznie mniej peszącym podopiecznym.

Dziewczęta, które mieszkały w oddzielnym skrzydle dworu, szły pod przewodnictwem Melindy, z Claire na końcu. Tę otaczały trzy panienki – czternastoletnia Juliet, jej wychowanka, dziesięcioletnia Lydia i ośmioletnia Amarantha. Wszystkie cztery zdawały się pogrążone w ożywionej rozmowie.

Podczas tego rodzaju zjazdów rodzinnych guwernerzy i guwernantki dzielili dzieci na grupy według wieku i każdej z nich organizowały czas. Wraz w Ravenem i Morrisem Daniel przeszedł wzdłuż ław, aby sprawdzić, czy wszystkie grupy siedzą razem: sześciu młodszych chłopców razem i pięciu piętnasto- i szesnastolatków, zebranych na końcu długiego stołu.

Służący wnosili misy z owsianką i stawiali pośrodku stołów słoje miodu. Pojawiły się dzbanki z mlekiem i kubki, a także koszyki z grzankami i marmoladą. Chłopcy rzucili się na jedzenie. Uśmiechając się porozumiewawczo do Ravena i Morrisa, Daniel cofnął się ku środkowi stołu i usiadł obok szeregu chłopców. Raven i Morris zajęli miejsca naprzeciwko. Wtedy podeszła Claire. Właśnie usadziła dziewczęta na ławie; zbliżywszy się do miejsca, gdzie siedział Daniel, przystanąła, a wówczas on odwrócił się do niej z ciepłym uśmiechem i podał jej rękę, by pomóc w przejściu przez ławę.

Patrząc na jego dłoń, Claire się zawahała. Jej mina, jak zwykle poważna, acz spokojna, nic mu nie zdradziła, lecz gdy uśmiech miał już zniknąć z jego twarzy, guwernantka wydała lekkie, ledwie słyszalne westchnienie i ujęła jego rękę.

Daniel zacisnął na jej dłoni palce i poczuł, że coś się z nim dzieje; to było dziwne, bo przecież już wcześniej dotykał jej ręki... Może to jego decyzja, by starać się o nią, przydała tej chwili pikanterii, głębszego znaczenia.

Maskując swoją reakcję, podtrzymał ją, kiedy Claire zebrała granatową spódnicę i zgrabnie przeszła przez ławę. Zabrała rękę, następnie rzekła cicho:

– Dziękuję panu.

Po czym wygładziła suknię i usiadła obok niego.

Natychmiast jednak zwróciła spojrzenie na dziewczęta po drugiej stronie stołu, upewniając się, że dostały wszystko, na co miały ochotę, i są zadowolone.

Melinda przekroczyła ławę naprzeciwko i zajęła miejsce obok Morrisa, na wprost Claire.

Ta spojrzała na nią i zapytała: – Czy wszystko przebiega zgodnie z planem? – starała się zapanować nad nieposłusznymi zmysłami. Określenie „zawrót głowy” nie oddawało zamętu, jaki ją ogarnął,

a wszystko dlatego, że ujęła dłoń Daniela, podaną wyłącznie z kurtuazji. Owszem, jego długie palce były ciepłe i silne, gdy stanowczo wzięły ją za rękę, ale przecież, na miłość boską, on tylko pomagał jej przejść przez ławę. Jak mówił zdrowy rozsądek, nie było powodu, by od razu czuć głupią falę gorąca na całym ciele.

A co do nagłego przewrażliwienia, które sprawiało, że intensywnie odczuwała jego bliskość, kiedy tak siedział na ławie obok niej – całkowicie poprawnie, w odległości kilku cali – uznała je za okropnie irytujące i mogła jedynie mieć nadzieję, że szybko przejdzie.

Miała dwadzieścia siedem lat, była wdową, nie musiała zachowywać się niczym trzpiotka, która dopiero co opuściła ławę szkolną.

Melinda tymczasem, odpowiadając na jej pytanie, potwierdziła, że plany się nie zmieniły, i skierowała słowa także do trzech guwernerów, którzy z kolei przedstawili pomysły dotyczące zająć dla chłopców.

– Tradycje związane z bożonarodzeniowym polanem różnią się nieco w zależności od regionu – zauważył Raven. – Tutaj łączy się co najmniej dwa zwyczaje. W Wigilię ścina się i przywozi pnie drzew, a potem pali się je w głównych kominkach od zachodu słońca aż po Nowy Rok. Ponieważ polana są świeże i czymś nasączone, palą się wolno, ale nadal potrzebujemy ich wiele. Na każdym z nich rzeźbi się wizerunek starej wiedźmy... Cailleach, ducha zimy. – Spojrzał na Morrisa. – Pójdą z nami dwaj służący, którzy zetną drzewa i pomogą nam obrąbać pnie, a stolarz przyśle dwóch terminatorów, aby pokazali chłopcom, jak wyciąć podobiznę.

Morris przybrał zrezygnowaną minę.

– Wezmę bandażę. Z pewnością bez nich się nie obejdzie.

Raven parsknął śmiechem, a potem pochylił się i spojrzał wzdłuż stołu na starszych chłopców.

– Aidan! – Zaczekał, aż najstarszy z nich odwróci ku niemu głowę. – Wybierasz się na rekonesans, a jeśli tak, to kto jedzie z tobą?

Aidan spojrzał na grupę, która siedziała obok niego.

– Wszyscy jedziemy... ja, Evan, Gregory, Justin i Nicholas.

Morris spojrzał stanowczym wzrokiem na Gregory'ego, swego ucznia.

– Tylko pamiętajcie... trzymajcie się starszych. Bo inaczej zostaniecie w domu.

Pozostali chłopcy uśmiechnęli się szeroko, Gregory zaś kiwnął głową. Kiedy Morris spojrzał na resztę grupy i oni przytaknęli. Generalnie byli odpowiedzialni; wszyscy dobrze jeździli konno, a ponieważ mieli być pod opieką starszych braci i kuzynów, żaden z guwernerów nie żywił poważniejszych obaw.

Daniel zwrócił się do Melindy:

– Dobrze. Mamy z głowy tych nicponiów. A jeśli chodzi o nasze panienki...

Melinda spojrzała na Claire i obie zwróciły wzrok w stronę grupy dziewcząt: Louisy, Annabelle i Juliet po tej samej stronie oraz siedzącej naprzeciwko nich Therese.

– Dziewczęta – odezwała się do nich Melinda – potrzebujemy czegoś do dekoracji sali. Macie chęć się tym zająć?

Louisa zerknęła na Therese, a potem popatrzyła na Melinę.

– Co miałybyśmy zrobić?

– Zebrać wiecznie zielone rośliny – wyjaśniła Melinda. – To tutaj tradycja. Pytałam ogrodników i pana McArdle'a. Chodzi o gałęzie ostrokrzewu i jodły... potrzebne będą i te, i te. Ogrodnicy powiedzieli, że zostawią wam przy bocznym wyjściu sanie, razem z odpowiednimi piłami i nożycami. Zalecają zbieranie gałęzi o średnicy pół cala albo mniejszej, takich dłuższych i gęstszych. Co do ostrokrzewu, oczywiście szukajcie gałązek z owocami.

– Gdzie je wszystkie znajdziemy? – zapytała Louisa.

– Ja wiem! – odezwała się Annabelle, najmłodsza córka gospodarzy, jedna z czternastolatek. – To niedaleko... trzeba przejść przez most nad potokiem i zagłębić się w las.

– Będziemy musiały chodzić po lesie? – Therese się uśmiechnęła. Zerknęła na Louise. – Mogłybyśmy

włożyć nowe buty.

Louisa patrzyła na nią przez chwilę, a potem uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Uhm. – Unosząc wzrok, spojrzała na przeważnie gołe ściany sali jadalnej. – Rzeczywiście, dobrze by było odświętnie przystroić to miejsce.

– Doskonale! – wykrzyknęła Melinda. – A więc powierzamy wam to zadanie.

Claire uśmiechnęła się do dziewcząt.

– Postarajcie się, aby jutro ta sala pięknie się prezentowała.

Gdy się odwróciła, Melinda pochwyciła jej spojrzenie i powiedziała przyciszonym głosem:

– To niedaleko i nie ma ryzyka, że złapie was burza śnieżna. Szybko wróćcie.

Claire uniosła brwi.

– To dobrze. Muszę przyznać, że jako osoba z południa nie biorę pod uwagę śnieżyc.

Melinda zachichotała.

– Pomieszkaaj tu przez rok, a wtedy zaczniesz się liczyć z matką naturą. – Odwróciła głowę i popatrzyła na trzy najmłodsze dziewczęta, które siedziały najbliżej niej i Claire. Rzekła głośniej: – A zatem zostaje jeszcze wasza trójka. Rozmawiałam z kucharką i dowiedziałam się, że ma dziś piec słoneczka i babeczki bakaliowe.

– Co to są słoneczka? – zapytała szybko Margaret.

– To współczesna wersja dawnych, tradycyjnych ciastek świątecznych – wyjaśniła Melinda. – Tamte oryginalne były w kształcie pierścieni z dziurką pośrodku. I miały szlaczki symbolizujące promienie. Jadło się je o tej porze roku, aby ściągnąć z powrotem słońce.

– A teraz piecze się słoneczka – wytłumaczyła Annabelle. – Są okrągłe jak talerzyki, z kółkiem pośrodku, od którego odchodzą promienie.

– Właśnie. – Melinda spojrzała na młodsze dziewczynki. – Chciałybyście wziąć udział w ich pieczeniu? Kucharka mówiła też, że mogłybyście jej pomóc przy babeczkach.

– Tak! – dobyło się z trzech młodych gardeł.

Daniel uśmiechnął się mimo woli.

– Świetnie – orzekł Raven. Klasnął w dłonie. – Wobec tego ja poprowadzę wyprawę po bierwiona.

– Idę z tobą – powiedział Morris – wyposażony w bandaż.

– Ja popilnuję dziewczynki w kuchni. – Melinda spojrzała na Claire. – Kucharka już ledwie trzyma się na nogach, a czekają ją jeszcze przygotowania do następnych dni.

Claire lekko wzruszyła ramionami.

– Dziewczęta i ja na pewno trafimy do lasu i z powrotem, zwłaszcza że Annabelle zna drogę.

Raven, Morris i Melinda zwrócili spojrzenia na Daniela.

Ten już otwierał usta, aby zaoferować swoje usługi, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, Louisa utkwiała duże przejrzyste oczy w Claire.

– Czy jeden z panów nie powinien pójść z nami? – zapytała. – Niektóre gałęzie mogą rosnąć zbyt wysoko albo być zbyt ciężkie, a ktoś będzie musiał pociągnąć sanie, gdy załadujemy na nie zdobycze.

Daniel skwapliwie skorzystał z nadarżającej się okazji.

– Raven i Morris nie będą mnie potrzebowali... chętnie więc pójdę z grupą zbierającą gałęzie.

– Wspaniały pomysł. – Melinda aprobująco skinęła głową.

– Tak będzie bezpieczniej – dodał Raven.

– Zwłaszcza że Raven i ja idziemy ze stolarzami – zauważył Morris. – To aż nadto dorosłych do opieki nad sześcioma chłopcami, choćby i z rodu Cynsterów. – To ostatnie powiedział, patrząc ironicznie na wspomnianych łobuziaków, z których wszyscy wyszczerzyli wesoło zęby.

Daniel zwrócił się ku Claire z zachęcającym uśmiechem.

– Pani prowadzi... ja zabezpieczam tyły.

Spojrzała mu w oczy i zaczęła się zastanawiać, gdzie się podziały jej wspaniałe plany, aby go unikać.

Tłumiąc westchnienie i nie zdradzając niepokoju, który ją ogarnął, skłoniła głowę, wstała i popatrzyła na dziewczęta.

– Chodźcie, panienki. Włóżcie buty i płaszcze... nie zapomnijcie także o kapeluszach i rękawiczkach... i ruszamy w drogę. Musimy nie tylko zebrać gałęzie, lecz także zawiesić je na ścianach przed kolacją.

Dała znak podopiecznym, by się podniosły, i popędziła je wzdłuż ławy – dzięki temu mogła pójść za nimi, nie korzystając z pomocy Daniela.

Jeśli miała jakoś przetrwać następne dziesięć dni, musiała robić wszystko, by ograniczyć z nim fizyczny kontakt.

Richard polecił ustawić na podwyższeniu przed kominkiem w kącie sali trzy wygodne fotele. Usadowieni na nich w ciepłe strzelających płomieni Helena, Algaria i McArdle obserwowali cztery grupy młodzieży, które właśnie wychodziły: trzy z nich pod czujnym okiem guwernerów albo guwernantki oraz jednej, złożonej z czternastoletnich dziewcząt, którą prowadzili opiekunowie obojga płci.

– To niewątpliwie mądre posunięcie – skomentowała Algaria, wskazując ruchem głowy tych ostatnich.

Pod wpływem uwagi wnuczki Helena patrzyła, jak Daniel Crosbie eskortuje grupę wybierającą się po gałązki – i dostrzegła, jakim wzrokiem spoglądał na damę, która prowadziła pochód. Uniosła kąciki ust.

– Louisa jest bardzo bystra, nieprawdaż?

Algaria prychnęła.

– Rzekłabym raczej, że jak na swój wiek za dużo widzi, lecz przypuszczam, że ma to po tobie.

Uśmiech Heleny zdradzał teraz dumę.

– Rzeczywiście, po mnie, poprzez mojego syna. Przejęła to razem z oczami. – Ona, Devil, Sebastian i Louisa mieli takie same wielkie oczy barwy oliwiny. – Ale, niech mnie, mała ma rację... kwitnie nam tu romans. Tym lepiej, to rozjaśni nam jesień życia.

McArdle, który nie bardzo nadążał za ich wymianą zdań, ściągnął brwi.

– Romans? – Spojrzał na ostatnich wychodzących z sali chłopców. – Jakiż znowu romans?

Helena i Algaria wymieniły spojrzenia, a potem wdowa machnęła ręką.

– Nieważne. Będziemy tu sobie siedzieć wygodnie i śledzić rozwój wydarzeń... zobaczymy, co będzie do zobaczenia, a cokolwiek z tego wyjdzie, to się okaże.

McArdle przez chwilę próbował zrozumieć pokrętne oświadczenie, a potem sarknął i rzucił Helenie karcące spojrzenie.

Ona tylko się zaśmiała.

Claire dopilnowała, by cztery jej podopieczne ruszyły po schodach do pokoju Annabelle w wieżyczce, a potem szybko skręciła w korytarz prowadzący do bocznych drzwi.

Daniel rzecz jasna poszedł za nią.

Kiedy szarpnęła ciężkie drewniane drzwi, wyciągnął rękę, ujął górną zasuwę, którą już odblokowała, i otworzył jej przejście.

Puszczając klamkę i rozpaczliwie walcząc ze śmiesznym zdenerwowaniem, skłoniła głowę.

– Dziękuję panu. – Gdy stanęła na progu, poczuła się w obowiązku dodać: – Chciałam sprawdzić, jaka jest pogoda.

Daniel spojrzał jej w twarz, ale zaraz potem też odwrócił wzrok.

– Warto tu o tym pamiętać. Obawiam się, że my z południa nie liczymy się specjalnie z pogodą.

Odpowiedziawszy na tę uwagę skinieniem głowy – była niewątpliwie słuszna – Claire popatrzyła na rozciągającą się przed nią biel i siłą woli skupiła się na tym widoku zamiast na swoich zmysłach.

Otwartą przestrzeń obsypał śnieg, a pod wpływem spadającej nocą temperatury wszystko pokrył szron. Pomiędzy drzewami i większymi krzewami prześwitywała jednak goła ziemia, a służba zdążyła już

odśnieżyć ścieżki łopatami i miotłami.

– W lesie nie powinno być śniegu – zauważył Daniel.

Claire kiwnęła głową.

– Wygląda na to, że zwykłe buty wystarczą... nie ma potrzeby wkładać ochraniaczy, bo jest raczej sucho.

Powietrze było tak świeże, tak czyste, że aż krystaliczne – ostre, bardzo orzeźwiające.

Claire odetchnęła głęboko.

– Jednakże szaliki i rękawiczki są obowiązkowe, nie ma dwóch zdań.

Zobaczyła już wystarczająco – a nie zamierzała ulec pokusie, by stać tak w bliskości Daniela, którego ciepło czuła z tyłu, i napawać się dziwnym dzikim pięknem scenerii wokół dworu, co było jeszcze bardziej ciekawe przez to, że on robił to samo. Odwróciwszy się, musiała poczekać, by Daniel się cofnął, i skierowała się do schodów.

Oczywiście dziewczęta jeszcze nie zeszły.

– Na pewno gawędzą w swoim pokoju – rzuciła do Daniela i ruszyła po schodach.

Dotarłszy na piętro, przystanęła i zerknęła na niego. Zatrzymał się na ostatnim stopniu. Spojrzała mu w oczy – orzechowe z głębokim odcieniem toffi... W końcu przypomniała sobie, co miała powiedzieć.

– To tutaj. – Wskazała drzwi w korytarzu. – Pójdę na górę po płaszcz. Spotkamy się w tym miejscu... będą paplać tak długo, jak im się na to pozwoli.

Daniel kiwnął głową. Kiedy Claire udała się do schodów prowadzących na następne piętro, pokonał ostatni stopień i skierował się w przeciwną stronę. Na tym poziomie dwór stanowił labirynt korytarzy oraz schodów wiodących do wież i wieżyczek. Tu także znajdowały się główne sypialnie i apartamenty.

– Ja też wezmę płaszcz. – Odprowadził ją wzrokiem. – Niech pani nie zapomni szalika i rękawiczek.

Rzuciła mu spojrzenie – które pochwycił. Uśmiechnął się szeroko i usłyszał ciche prychnięcie, gdy odwróciła się i weszła po schodach.

Wciąż z uśmiechem na ustach i w oczach udał się do pokoju Ravena w następnej wieżyczce.

Raven i Morris już wyszli. Wkładając ciężki brązowy płaszcz i okręcając robiony na drutach szalik wokół szyi, Daniel zastanawiał się, czy to, że ma towarzyszyć Claire, wynikało na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, czy zostało zaaranżowane. Nie powiedział żadnemu z kolegów ani słowa o swoich nadziejach, a już na pewno nie wyjawiał marzeń, lecz obaj byli inteligentni i znali go na tyle dobrze, aby się domyślić...

Wybrał rękawiczki i odwrócił się do drzwi; nie czuł się dobrze z myślą, że inni guwernerzy być może zgadli, jakie ma zamiary wobec Claire, ale jeśli tak się stało i chcieli ułatwić mu zadanie, nie był przecież na tyle głupi, by z tego nie skorzystać.

Gdy Claire wróciła, czekał u szczytu pierwszej kondygnacji schodów. Miała na ramionach zapiętą wysoko wiśniową pelisę i ciepły dzianinowy szal, który otulał szyję. Opuściwszy wzrok, wciągnęła rękawiczki z cienkiej skórki i podeszła do niego szybko.

Zatrzymała się przy nim i spojrzała na drzwi pokoju dziewcząt.

– Jeszcze nie wyszły?

Jakby na komendę drzwi się otworzyły i wysypała się zza nich wielobarwna gromadka dziewcząt. Louise miała na sobie stylowy zielony płaszcz, Therese – ciemnobrązowy, Annabelle – jasnoniebieski, Juliet zaś – fioletoworóżowy.

Claire podniosła rękę, kiedy wyszły na korytarz.

– Najpierw inspekcja.

Annabelle i Therese jęknęły z udawanym niezadowoleniem, jednakże wszystkie cztery ustawiły się w szeregu i pokazały Claire, że mają odpowiednie buty i rękawiczki.

Daniel docenił jej przezorność; nie chcieli ryzykować odmrożeń, zwłaszcza gdyby to miało się zdarzyć ich podopiecznym.

– Doskonale. – Stając na końcu szeregu, Claire dała znak dziewczętom, że mogą iść. – Poprowadzi pan, panie Crosbie?

Daniel odwrócił się z cierpkim uśmiechem i ruszył po schodach na dół, a następnie do bocznych drzwi. Nie uszło jego uwagi, że Claire chce zachować wobec niego dystans, ale uznał, że jest to raczej efekt powściągliwości niż odrzucenia... a przynajmniej taką miał nadzieję. Gdy otwierał ciężkie drzwi, zaświtało mu jednak podejrzenie, że mogłaby nie być nim zainteresowana – wspólną z nim przyszłością; jednak rozważał je tylko przez chwilę, po czym od siebie odsunął.

Czuł bowiem, że coś ich łączy – świadomość wzajemnej obecności, nieuchwytnie wyczuwanie i oddziaływanie jednego na drugie.

A ponieważ była już wcześniej mężatką, i ona musiała to wyczuwać.

Stanąwszy na progu, zszedł po stopniu na wysypaną żwirem ścieżkę. Zgodnie z obietnicą służba wystawiła przed dom sanie do przewiezienia gałęzi. Nie było ich wcześniej, kiedy wyjrzeli z Claire na dwór, a teraz stały za drzwiami i czekały na nich – mocne, toporne, z płóciennym pasem między uchwytami.

Dziewczęta wyszły i dołączyły do niego na ścieżce. Kiedy głośno zachwyciły się pogodą, skrzypiącym pod stopami śniegiem i szronem na drzewach, wydychając obłoczki pary, Daniel dokonał przeglądu narzędzi, złożonych w saniach: zestaw pił ręcznych, na tyle małych, by nadawały się dla dziewcząt, trzy pary potężnych sekatorów i lekka siekiera, prawdopodobnie do ociosywania większych gałęzi.

Kiedy na ścieżce obok niego pojawiła się Claire, podniósł głowę. Obrzuciła sanie uważnym oceniającym spojrzeniem, po czym popatrzyła mu w twarz.

– Da pan radę sam je poprowadzić?

Uniósł brwi dumnie. Ustawił się między uchwytami, ujął je, kopnięciem zwolnił hamulce i pchnął sanie, które zaczęły gładko sunąć na płozach, nawet po ścieżce. Zatrzymał je i popatrzył na Claire zadziornie.

– Prowadź, Macduffie^[2], ja pójdę za tobą.

Zadrgały jej kąciki ust; usiłowała nad tym zapanować, ale daremnie. Skłoniła głowę, starając się ukryć uśmiech.

– Doskonale. – Patrząc przed siebie, wykrzyknęła: – Dziewczęta!

Przywołała je spomiędzy zaśnieżonych rabat w zielniku.

– Idziemy do lasu. Mamy godzinę, najwyżej dwie, a musimy zebrać wystarczająco dużo gałęzi, aby przystroić całą salę.

Dziewczęta pobiegły naprzód, Annabelle z Juliet na czele, a Louisa i Therese zaraz za nimi.

Daniel pchał sanie i starał się dotrzymać kroku Claire, która szła tuż przed nimi. Uświadomił sobie, że dając się unieść dumie, popełnił błąd taktyczny. Drażek pomiędzy rączkami sań był na tyle długi, że mogły się przy nim zmieścić dwie osoby; powinien był poprosić o pomoc.

Ze wzrokiem utkwionym w jej plecy, uroczo zaokrąglone biodra spowite grubą czerwoną pelisą mruknął do siebie:

– Zawsze jest jeszcze droga powrotna.

Starając się zapamiętać, by w przyszłości nie zmarnować takiej okazji, pchał przed siebie sanie i cieszył się chwilą.

Tymczasem Louisa przystanęła dalej na zakręcie, tuż przed pierwszą kępą wysokich jodeł, które rzucały chłodny cień na ścieżkę. Zerknęła szybko za siebie, zauważyła wszystko, co dało się zauważyć, po czym przyspieszyła kroku, doganiając Annabelle, Juliet i Therese.

Kiedy na nią spojrzały, rzekła:

– Jemioła. Będzie nam potrzebna. – Przeniosła wzrok na Annabelle. – Rośnie w tym lesie? Wiesz gdzie? – Nie czekając na odpowiedź, popatrzyła w górę na drzewa.

Annabelle zrobiła to samo, a za nią Therese.

– O tak, jest tu jemiola – odparła Annabelle. – Powinno być jej trochę, ale będziemy musiały znaleźć taką w zasięgu rąk.

– Możemy wspiąć się na drzewo – zauważyła Therese.

– Myślałam, że mamy tylko przywieźć ostrokrzew i jedlinę – włączyła się Juliet, aczkolwiek i ona szukała wzrokiem pęków tej symbolicznej rośliny; ton jej głosu wyraźnie świadczył, że była to tylko uwaga – prośba o wyjaśnienie, jeśli już, a nie protest.

– Tak nam mówiono, ale... cóż, po co przybierać dom zielenią w Boże Narodzenie, jeśli nie ma wśród niej jemioli? Podejrzewam – ciągnęła Louisa, lekko popychając Annabelle i Juliet, by szły dalej – że pani Meadows będzie próbowała nas zniechęcić do zrywania tych gałązek, więc proponuję, abyśmy nic jej o tym nie mówiły, tylko ukryły je wśród ostrokrzewu i jedliny.

Zrównując z Louisą krok, Therese spojrzała na nią z ukosa.

– Czy ta jemiola ma być dla zabawy, czy... – tu zerknęła w tył, na ścieżkę, którą Claire szła przed Danielem i saniami – masz na myśli kogoś konkretnego... to znaczy, jakąś parę?

Louisa popatrzyła jej w twarz i uśmiechnęła się wesoło.

– Myślę, że pan Crosbie robi słodkie oczy do pani Meadows i że ona nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby tylko sobie na to pozwoliła... a ponieważ lubię pana Crosbiego, nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy trochę... – Machnęła ręką.

– Popchnąć sprawy naprzód? – Therese zachichotała. – Mówisz jak swoja babcia.

– O, tam! – rzuciła cicho Annabelle i wskazała na lewo, gdzie ledwie jard nad ziemią rósł duży pęk jemioli. – Przed nami jest polana, na której będzie można zostawić sanie. Kiedy zbierzemy już jedlinę i ostrokrzew, możemy tu wrócić i zerwać także jemiolę.

– Po prawej stronie też rośnie. I tam dalej. – Juliet miała bardzo dobry wzrok.

– Rzeczywiście, mnóstwo tego. – Louisa zerknęła na pozostałe dziewczęta, a one spojrzały na siebie porozumiewawczo. – Nigdy wcześniej nie odgrywałyśmy roli Kupidyna. – Uśmiechnęła się szeroko. – Pomyślcie o tym jak o wyzwaniu. Zobaczymy, co uda nam się osiągnąć.

Helena, Algaria i McArdle siedzieli wciąż w fotelach i drzemali sobie w ciepłe, kiedy do Wielkiej Sali przyszło sześcioro najstarszych dzieci i usiadło przy swojej części stołu – tuż przy podwyższeniu, na którym stał stół zajmowany przez dorosłych.

Rzeczni rodzice już wyszli, zjadłszy na śniadanie szynkę, kiełbaski, jajka na bekonie oraz chrupiące grzanki i zostawiwszy po sobie urzekający aromat kawy i cynamonowych bułeczek, które lubiły wszystkie panie. Opowiedzieli o swoich dalszych planach seniorom; później panowie pojechali na inspekcję stada włochatego górskiego bydła, aby następnie udać się do Casphairn na lunch w miejscowej gospodzie. Tymczasem panie wróciły do oranżerii Catriony, aby tam zająć się haftowaniem i rozmową o dzieciach.

Do dzieci najbardziej zajmujących myśli rodziców należało właśnie tych sześcioro, które w tym momencie zasiadły do stołu, by zjeść spóźnione śniadanie. Helena, udając, że śpi, obserwowała je spod rzęs. Często je widywała, ale ponieważ nie działo się to codziennie, miała wrażenie, że wyraźniej dostrzega zachodzące w nich zmiany.

I być może przyczyniała się do tego także różnica pokoleń. Helena nie musiała się o nich martwić tak jak rodzice; miała do nich większy dystans, choć jednocześnie, o dziwo, była bardzo do każdego przywiązana.

Byli jej radością i szczęściem, które jako osoba wiekowa w pełni doceniała i którym się cieszyła.

Wątpiła, czy pożyje jeszcze dostatecznie długo, aby być świadkiem ich małżeństw – może, jeśli dopisze jej szczęście i osiągnie wiek swojej drogiej przyjaciółki, Therese Osbaldestone. To zależało już od woli niebios; na razie była zadowolona, że może obserwować, jak młodzi się kształtują, przechodząc przez niewątpliwie najważniejszy okres życia. Zastanawiała się, czy zdają sobie sprawę – szczególnie tych sześcioro stojących u progu dorosłości – że decyzje, które będą podejmować w najbliższych dniach,

tygodniach i miesiącach, określą ich przyszłość.

Nieodwracalnie ją uformują, zamykając pewne drzwi na zawsze, a inne otwierając.

To, które drzwi wybiorą i jak przez nie przejdą, określą bieg dalszego życia.

Wiedziała – i to lepiej niż większość pozostałych – że wybory dokonywane w jednej chwili mogą wpłynąć na bieg całego życia. Są takie przełomowe momenty, gdy pójście tą albo inną drogą zmienia przeznaczenie.

Ta świadomość, wiedza zrodzona z doświadczenia, nie była czymś, co z jednej strony da się łatwo przekazać, a z drugiej – przyswoić. Helena miała tylko nadzieję, że to nowe pokolenie także zazna szczęścia i miłości, jakich zaznali ich rodzice.

Słuchając ich – niskich głosów Sebastiana, Michaela, Christophera i Marcusa, które stały się męskie, tak jak niemal oni sami, oraz wyższych Lucilli i Prudence, już silnych i czystych – Helena opuściła powieki. Uśmiechnęła się mimowolnie, gdy dobiegły ją ich plany.

Sen kusił, uległa mu więc i zostawiła młodzież, aby tymczasem dorastała.

Słodkich snów. Lucilla siedziała na ławie, trzymając łokcie na stole i obejmując dłońmi kubek mocnej herbaty. Powątpiewała w myślach, by to słowa Prudence wypowiedziane poprzedniego wieczoru wywołały dziwne fantazje, które nawiedziły ją we śnie. Jednak, gdy tak popijała herbatę, pozornie przyglądając się, jak jej brat i kuzyni pochłaniają prawdziwe góry jajek, kiełbasek i resztek potrawy ryżowej, nie mogła przywołać przed oczy żadnego z tamtych dziwnych obrazów.

Zazwyczaj jej wizje były wyraźne i określone – stanowiły zapowiedź tego, co miało się stać, przepowiednię. W tym przypadku jednak zasnuła je mgła; mimo to czuła, że wiążą się z nimi jakieś emocje, ale też... niejasne.

Jednakże nic z tego, co widziała, nie wywoływało w niej strachu, żadnego. Domyślała się tylko, że być może w przyszłości będzie musiała podjąć jakąś decyzję – i ta decyzja sprawi, że pójdzie albo tą, albo tamtą drogą. Ten wybór będzie nieodwracalny – druga okazja, aby zmienić kierunek, już się jej nie trafi.

Wzdrygając się – nie z lęku, lecz w oczekiwaniu na nieznaną – zmusiła się, aby wrócić do terażniejszości. Marcus, Sebastian i Prudence debatowali właśnie, którą część posiadłości powinni spenetrować najpierw.

Lucilla wiedziała.

Odstawiwszy pusty kubek, zaczęła na przerwę w rozmowie, a potem cicho oświadczyła:

– Pojedziemy na południowy zachód, przez las i dalej, na otwarty teren. Stamtąd skierujemy się przez pastwiska na północ... będziecie mogli zbadać zalesione doliny, a jeśli w którejś schroniło się stado, zobaczycie przez lornetkę ślady. Potem możemy podążać dalej w kierunku północnym, aż dotrzemy do drogi, tam skęcimy na wschód i wrócimy do domu.

Tej trasy jeszcze nikt nie proponował.

Marcus, siedzący naprzeciwko, przeciągle spojrzął jej w oczy.

Lucilla wytrzymała jego wzrok, by zorientował się w jej zamiarach i docenił ich przenikliwość.

Brat mrugnął powiekami, a potem skinął głową.

– To dobry plan. – Popatrzył na Sebastiana, który zajmował miejsce obok niego. – Tak zrobimy.

Ten odwzajemnił jego spojrzenie, skierował wzrok na Lucillę i wreszcie machnął rękami z rezygnacją.

– Niech będzie.

Lucilla odwróciła głowę i zerknęła na Prudence.

Ta wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz, kuzynko.

Michael i Christopher zaśmiali się i zaczęli wstawać.

– Dziękujemy, Lucillo – powiedział Michael. – Ci troje nie mogliby się zdecydować aż do lunchu.

– Możemy już iść? – spytał Christopher.

Na dźwięk kroków zbliżających się do sali wszyscy spojrzeli w stronę jednego ze zwieńczonych

łukiem wejść. Pojawili się w nim Aidan i Evan, a za nimi Justin, Gregory i Nicholas.

– Jesteście gotowi? – rzucił Aidan zniecierpliwionym tonem.

Sebastian spojrział na pozostałych przy stole i wstał. Był najwyższy z chłopców, prawie dorównywał wzrostem swojemu ojcu. Przeszępując nad ławą, skinął głową na Aidana i resztę przybyłych.

– Spotkamy się w stajni.

– Świetnie! – odparł Evan.

Oddalili się, głośno tupiąc.

Wstawszy z ławy, Lucilla i Prudence opuściły salę za Marcusem, Sebastianem, Michaeliem i Christopherem. Lucilla, tknięta przeczuciem, obejrzała się w progę i zerknęła na troje starszych, siedzących w fotelach na podwyższeniu, ale wszyscy zdawali się spać.

Razem z Prudence udały się do wieżyczki. Miały już na sobie stroje do jazdy konnej: spódnice do łydek i pod spodem spodnie wetknięte do wysokich butów, Lucilla w ulubionej zieleni, a Prudence – w bławatkowym błękicie.

– Szalik, rękawiczki, szpicruta. – Prudence podniosła głowę. – Jak myślisz, będziemy potrzebowały kapeluszy?

– Lepiej je wziąć – odrzekła Lucilla, która pierwsza szła po schodach. Bezbłędnie spojrzała w kierunku północno-zachodnim. – W górach będzie zimno, nawet między drzewami.

Mimo najlepszych zamiarów dopiero godzinę później wreszcie wsiedli na konie i byli gotowi do wyjazdu. Częściowo winna temu była Lucilla, lecz kiedy zauważyła, że może warto zabrać ze sobą jedzenie, by pożywić się w południe, wszyscy chłopcy ochoczo temu przyklasnęli.

Oczywiście zostawili jej zadanie zorganizowania w kuchni prowiantu, lecz gdy obie z Prudence wyłoniły się stamtąd, niosąc dwa duże kosze, od razu pospieszyli im na pomoc; zebrali się wokół nich i usłużnie podzielili jedzenie, aby wsadzić je do sakw przy siodłach.

Pięć minut później, odpowiednio odziani i dobrze zaopatrzeni, wyjechali kłusem na pola. Pokrywający je śnieg był świeży i skrzypiał pod kopytami wierzchowców. W obłokach końskich oddechów młodzież sformowała luźną grupę z Sebastianem i Marcusem na czele. Lucilla i Prudence jechały na lewo od Marcusa. Wszyscy byli doskonałymi jeźdźcami, ale Prudence, Nicholas, Aidan i Sebastian aspirowali do tytułu wyjątkowych.

Przed nimi rozciągała się połać ziemi spowita śniegiem, iskrzącym się gdzieś w słabym świetle słonecznym. Tu, na północy, mimo że dzień był pogodny, słońce nie dawało wiele ciepła. Na szczęście wiatr był słaby i przydawał lodowatemu powietrzu niewiele ostrości.

Dalej, za granicą pól – a tym samym cywilizacji – rysowały się gęsto porośnięte lasem Galloway Hills sięgające aż po łyse pasmo wzgórz znane jako Rhinns of Kells.

Kierując się na południowy zachód, zgodnie z propozycją Lucilli, jeźdźcy jak w niemym balecie pochylili się do przodu i popędzili ku ciemnej wstędze lasu i leżącej za nim otwartej przestrzeni.

Rozdział trzeci

Wjazd saniami na polanę, stanowiącą według Annabelle idealne miejsce do zbierania gałęzi ostrokrzewu i jedliny, po które przyszli, zajął trochę czasu. Wetknąwszy dwa kamienie pod płozy, by sanie nie odjechały, Daniel się wyprostował i wytarł ręce. Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że patrzy na niego pięć par oczu.

Cztery z nich natychmiast zwróciły się ku saniom; na twarzach dziewcząt pojawiło się wyczekiwanie.

Uśmiechając się szeroko, Daniel ujął płócienną płachtę i odrzucił ją na bok.

– Mamy sekatory i piły, drogie panie. Co wybieracie?

Ku jego lekkiemu zaskoczeniu dziewczęta wymieniły przeciągłe spojrzenia. Louisa wzięła sekator, podobnie jak Therese, podczas gdy Juliet i Annabelle postanowiły wypróbować piły.

Daniel nie miał pojęcia, co takiego planują, lecz ten ich wzrok... Miał dostatecznie długo do czynienia z chłopcami Cynsterów, by wiedzieć, co on oznacza; panienki niewątpliwie coś knuły.

Cokolwiek to było, obejmowało zbieranie jedliny i ostrokrzewu, zgodnie z zaleceniem. Dziewczęta wkroczyły do otaczającego je lasu, wskazując różne gałęzie i porównując ich potencjalną użyteczność do dekoracji wejść, kominków i ścian sali.

Daniel zwrócił się do Claire:

– A jakie pani sobie życzy narzędzie?

Zastanowiła się, a potem odparła:

– Chyba także wezmę piłę. Pewnie będę musiała dokończyć cięcie wytypowanych przez nie gałęzi.

Daniel się uśmiechnął.

– Nie ma co do tego wątpliwości. – Przejrzał narzędzia w worku. Kiedy Claire się zbliżyła, wyjął piłę z solidnym uchwytem. – Ta jest porządna.

Claire wyciągnęła rękę. Ze względu na kształt uchwytu nie mogła ująć narzędzia, nie dotykając przy tym jego dłoni. Ich palce się zetknęły.

Po plecach przebiegł ją dreszcz, cudowny, rozkoszny.

Przywołała się do porządku, nie chcąc niczego dać po sobie poznać... gdyby mogła, stłumiłaby wszystkie swoje reakcje, lecz nie wiedziała, jak to zrobić. Nie wiedziała nawet, dlaczego jest taka wyczulona na Daniela Crosbiego.

– Dziękuję panu.

Zacisnąwszy usta, wzięła piłę i odwróciła się szybko.

Udawała, że patrzy między drzewa, że podąża wzrokiem za dziewczętami; tak naprawdę jednak wszystkie jej zmysły były skupione na mężczyźnie stojącym w milczeniu obok niej.

Daniel spoglądał na nią, wpatrywał się w jej twarz; czuła jego wzrok na sobie, ale nie zamierzała na to spojrzenie – w żadnym razie – odpowiadać.

Daniel dostrzegł jej opór, wyrażany postawą, usztywnieniem pleców, kamienną twarzą, w tym jak ustawiła się wobec niego – rzekomo patrząc w las.

Opór, owszem – lecz czy nie było to odrzucenie?

Zmusił się, aby rozważyć tę niemiłą ewentualność... ale nie. Zacerpnąwszy tchu, z nieco bardziej ściśniętą pierśią, niżby chciał, doszedł do wniosku, że to nie odmowa. Gdyby czuła do niego niechęć, zorientowałby się; nie należała do tych, które obchodzą się z kimś w rękawiczkach albo boją się dać odprawę. Nie, nie odrzuciła go, jeszcze nie. A co do oporu... opór można pokonać.

Patrzył na twarz Claire jeszcze chwilę, obejmując wzrokiem jej profil. Czuł się w obowiązku wobec niej, jak i siebie, zwalczyć wszelkie przeszkody, które według niej stały pomiędzy nimi.

Jeśli mieli ruszyć razem w przyszłość, jaką sobie wyobrażał, musiał wykonać krok, aby do tego

doprowadzić.

Przeniósł znowu uwagę na worek z narzędziami; wyjął z niego siekiere. Odwrócił się i zważył ją w dłoni.

Ten ruch przyciągnął wzrok Claire.

Odpowiadając na niego, Daniel się uśmiechnął.

– Chodźmy lepiej za nimi. – Unosząc siekiere, dodał: – Raven mówił, że należy ociosać gałęzie, zanim przywieziemy je do domu.

Przez następną godzinę pracowali w grupie; wybierali gałęzie jodły, odpiłowywali je i obciosywali, a potem typowali i ścinali gęste gałązki ostrokrzewu z czerwonymi owocami. Daniel znalazł na pagórku w pobliżu sań zwalone drzewo, które posłużyło za prowizoryczną ławę do obrabiania. Dziewczeta i Claire zapuściły się w okoliczny las i pościęgały ścięte wcześniej gałęzie. Czas płynął szybko. Zdarzało się, że Daniel pomagał odrąbać tę czy inną gałąź, podczas gdy Claire była wzywana tu czy tam, by zerwać gałązki ostrokrzewu, które rosły poza zasięgiem jej podopiecznych, albo by obejrzyć zadrapania.

Daniel wkrótce się zorientował, co takiego planowały dziewczęta; choć się tego domyślił, naprawdę sprytnie skrywały swoje zamiary. Wydało mu się dziwne, że Louise i Therese skwapliwie zaproponowały pomoc w zaciągnięciu pierwszej partii ociosanej jedliny do sań. Patrzył, jak odchodziły, obładowane choiną, i zaczął się zastanawiać... Wrócił do swojego zajęcia, ale zdążył zerknąć przez ramię w stronę sań, by zauważyć ukradkową rozmowę obu pań, w efekcie której ukryły coś zielonego, liściastego w przyciągniętej jedlinie.

Zaintrygowany, przypatrywał się ukradkiem, jak Louisa i Therese weszły w las. W końcu Therese coś dostrzegła; odwróciła się i gestem przywołała Louise.

Ta podeszła do niej i przyjrzawszy się temu, co wskazywała kuzynka, kiwnęła głową. Obie ruszyły przed siebie.

– Panie Crosbie... czy mógłby mi pan pomóc to rozdzielić?

Daniel odwrócił się i zobaczył Annabelle, która przyciągnęła rozwidloną gałąź ostrokrzewu.

Podniosła ją, aby mu pokazać.

– Ta część jest nie tylko za duża, ale i niezbyt ładna. Nie przyda nam się. – Utkwiła w jego twarzy ciemnoniebieskie oczy.

Chęć, aby się obejrzyć i sprawdzić, co robią Louisa i Therese, walczyła w nim z odruchem, by odpowiedzieć Annabelle, która wyraźnie domagała się od niego uwagi.

Przeważył odruch – i natarczywość w oczach dziewczynki. Ujawszy siekiere, przyjrzał się gałęzi.

Gdy pomógł Annabelle dołożyć ociosaną ładniejszą gałąź do rosnącego stosu i wreszcie uniósł wzrok, zobaczył, że Juliet i Claire dyskutują z ożywieniem na temat jodły, która lekko różniła się od reszty. Annabelle już szła w ich stronę. Wyprostowawszy się i zlustrowawszy pobliski las, Daniel w końcu dostrzegł Louise i Therese. Oddaliły się z miejsca, w którym były uprzednio, gdy podeszła do niego Annabelle – czyżby po to, aby odwrócić jego uwagę? – i teraz zbliżały się do niego z naręczami jodłowych gałęzi.

Mógł po prostu spytać, co planują, i gdyby się uparł, wyciągnąłby z nich prawdę, ale... przypomniał sobie, jak to jest mieć w młodości sekrety przed dorosłymi. To element dorastania, wychodzenia z dzieciństwa. Przyjrzał się obu dziewczętom, kiedy do niego podchodziły, ale ponieważ nic nie wskazywało, że to, co zamierzają, może stanowić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla nich albo innych, postanowił poczekać i tylko zachować czujność.

Kładąc przy nim świeżą jedlinę, Therese zapytała:

– Zabrać jakieś ociosane gałęzie do sań?

Daniel wskazał stertę po prawej stronie.

– Te są gotowe do załadowania. – Zwrócił wzrok na parę dziewcząt i zauważył, że wymieniają szybkie spojrzenia.

– Weźmiemy je.

Dziewczęta podzieliły między siebie gałęzie, a potem balansując z niewygodnym ładunkiem na rękach, skierowały się po stoku pagórka do sań.

Zawahał się, po czym, odłożywszy siekiere, cicho odszedł od zwałonego drzewa i ruszył za dwiema panienkami.

Kiedy dotarły do sań i przystanęły, Daniel też się zatrzymał. Z odległości dziesięciu jardów obserwował, jak rzucają na ziemię przyniesione gałęzie. Potem sięgnęły za sanie i wyjęły stos zielonej liściastej rośliny... jemioły.

Zbierały jemiołę.

Daniel patrzył na to z niedowierzaniem. Czyżby się domyśliły? To było takie oczywiste?

Chciały zabrać do domu jemiołę ze względu na niego i Claire... Bawiły się w swatki? Z pewnością było je na to stać.

A może po prostu robiły to ze względu na tradycję świąteczną?

Gdy tak im się przyglądał, Louisa i Therese położyły jemiołę na leżącej już w saniach choinie, a następnie przykryły ją przyniesionymi gałęziami.

Pewnie miały rację, sądząc, że Claire będzie je odwozić od zbierania jemioły, ale co z nim? Jakie powinien zająć stanowisko?

Niezależnie od tego, czy chciały mu pomóc, czy nie, mógł z tego skorzystać.

– Ile mamy tego zebrać? – usłyszał za plecami głos Claire. – Dużo jeszcze potrzeba?

Odwrócił się; kątem oka zauważył, że Louisa i Therese zerknęły na nich z przestrachem. Wsparłszy ręce na biodrach, stanął na wprost Claire, by nie zobaczyła ukradkowych poczynań przy saniach.

– Mamy dużo jedliny, ale chyba potrzebujemy jeszcze trochę ostrokrzewu.

Claire spojrzała ku saniom, lecz Daniel nie ruszył się z miejsca.

Wskazał natomiast w stronę pagórka, na którym przy zwałonym drzewie leżał ociosany przez niego ostrokrzew.

– Mamy go tylko tyle... wydaje mi się, że przydałoby się dwa razy więcej.

Na sosnowych igłach zachrzęściły kroki; podeszły – dość zdyszane – Louisa i Therese.

– Na razie zbierałyśmy wyłącznie jedlinę – rzekła Louisa, niewinnie patrząc na nich szeroko otwartymi oczami. – Jeśli teraz będziemy zrywać jedynie gałęzie ostrokrzewu, powinniśmy szybko się uwinąć.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy wrócimy i wszystko to powiesimy. – Niecierpliwość Therese była wręcz wyczuwalna.

Nie uszło uwagi Daniela, że obie mówiły prawdę. Spojrzał na Claire spod uniesionych brwi.

– To chyba dobry plan.

Przyznała mu rację skinieniem głowy. Louisa i Therese ruszyły przed siebie i weszły szybkim krokiem na wzniesienie, aby dołączyć do Annabelle i Juliet, które tymczasem przywędrowały za Claire. Ta się odwróciła i ruszyła w stronę dziewcząt, czując przy sobie obecność Daniela, który pospieszył za nią.

Żadne z nich jednak nie czuło potrzeby, aby się odezwać; wzięli narzędzia i rozdzielili się, idąc za dziewczętami między drzewa. Claire instynktownie trzymała się Juliet, swojej wychowanki, aby mieć ją na oku. Na szczęście w tej części lasu ostrokrzew – z najciemniejszymi liśćmi i dużą liczbą dojrzałych, czerwonych jagód – rósł w jednym pojedynczym krzaku; chociaż czuwała nad Juliet, Claire słyszała także pozostałe dziewczynki i widziała je w zaroślach.

Daniel, jakby przygaszony, zajął miejsce naprzeciwko niej, zerkając na Louise i Therese, a także na Annabelle, kiedy pojawiała się w zasięgu jego wzroku. Aczkolwiek nie patrzył stale na Claire, wiedziała, że on tam jest; wciąż z niepokojem i pewną irytacją stwierdzała, jak bardzo wyczulone stały się jej zmysły.

Gdy jednak zebrali się wśród ostrokrzewu, uważając na ostre kolce, i nic jej się rozpraszało, stopniowo się odprężyła; zaczęła szczerze odwzajemniać uśmiechy Juliet i w ogóle całkiem dobrze się

bawić.

Słuchając i od czasu do czasu odpowiadając na niewymuszony trajkot podopiecznej, Claire zauważyła, że jej uwagę przykuwają komentarze wymieniane przez Daniela i resztę dziewcząt. Kilka razy mimowolnie się uśmiechnęła; naprawdę dobrze sobie radził.

– Uwaga! – zawołał nagle.

Claire się odwróciła; rozległ się chrzęst butów na śniegu i Daniel wyciągnął rękę – odgięta gałąź ostrokrzewu uderzyła w rękaw jego grubego płaszcza.

– Och! – Louisa dostałaby nią jako pierwsza z szeregu. Spojrzała na Daniela i uśmiechnęła się z prawdziwą wdzięcznością. – Dziękuję panu... zapomniałam, że ją odgięłam.

Wyplątując rękaw z kolczastej gałęzi, Daniel spytał:

– Musisz zagłębiać się tak daleko w zarośla?

– Tam są najładniejsze owoce – zauważyła Therese.

– Mogę wam przypomnieć, że nie będziemy ich jeść? – powiedział i spojrzał na dziewczęta z rezygnacją.

Kiedy Therese i Louisa zamrugwały powiekami, a potem odwróciły się, aby dosięgnąć gałęzi z najdojrzałszymi jagodami, Daniel westchnął.

– Zdajecie sobie sprawę – rzucił do nikogo w szczególności – że gdybyście byli chłopcami, toby do was przemówiło?

Dziewczęcy chichot zagłuszył kilka niezbyt uprzejmych prychnięć.

Śmiejąc się pod nosem, Claire pomogła Juliet zebrać ścięty wspólnie ostrokrzew.

Dziewczynka spojrzała na stos gałązek.

– Potrzeba jeszcze więcej – orzekła. Spojrzała spod zmrużonych powiek na krzak, w którym buszowały. – Mamy dużo takich mniejszych do wplecenia w jedlinę. Może powinnyśmy ściąć większą gałąź... do zawieszenia nad głównym kominkiem. – Obeszła krzew, zaglądając tu i tam, po czym przystanęła i wyciągnęła rękę. – Może tę?

Claire spojrzała we wskazaną stronę. Była to z pewnością największa gałąź z tych, jakie do tej pory zebrały.

– Spróbujmy.

We dwie, osłaniając się rękami w grubych płaszcach, zdołały odsunąć zewnątrz gałęzie, by dostać się do tej większej, łukowatej, którą wskazała Juliet. Był to rzeczywiście piękny okaz i świetnie nadawał się nad kominek w Wielkiej Sali. Claire skinęła głową na Juliet.

– Ja ją przytrzymam... a ty odpiłuj.

Na twarzy Juliet pojawiło się przejęcie. Przymierzyła się z piłą do czekającego ją zadania.

Gałąź miała kilka cali grubości. Odpiłowawszy ją do połowy, dziewczynka zobaczyła, że brzeszczot utknął.

Ściągając brwi w skupieniu, próbowała go pchnąć, a potem wyciągnąć, lecz bezskutecznie. Puściła więc uchwyt ze zrezygnowanym westchnieniem.

Claire już otworzyła usta, zamierzając zaproponować, by się zamieniły.

Zanim jednak zdążyła się odezwać, Juliet obróciła się na pięcie.

– Pójdę po pana Crosbiego.

Nie! Claire stłumiła instynktowną reakcję – i Juliet odbiegła, a gałęzie, które przytrzymała, niczym sprężyny wróciły na miejsce.

Claire została wśród nich uwięziona.

Nie mogła nawet wydobyć ręki spod gałęzi, którą trzymała, gdyż zaplątałyby się jeszcze bardziej. Utknęła w gęstwinie ostrokrzewu.

Nie miała jednak czasu, by wpaść w panikę; Daniel, wezwany przez Juliet, pojawił się na scenie w towarzystwie pozostałych dziewcząt.

Spojrzał na nią, ocenił sytuację – i zacisnął usta, starając się powstrzymać śmiech.

Napotkał jej wzrok, a ona ostrzegawczo zmrużyła powieki.

Z drgającymi kącikami ust opuścił wzrok i podał Louisie siekiere.

– Potrzyмай... chyba będzie mi potrzebna, kiedy się tam dostanę.

Na szczęście wszyscy mieli rękawiczki. Daniel jednak musiał odgarniać gałąź po gałęzi, aby przedrzeć się do miejsca, gdzie stała Claire, a gdy się tam wreszcie znalazł, odgięte gałęzie wczepiły się w jego płaszcz.

Był o wiele wyższy i potężniejszy od Juliet; kiedy stanął obok, Claire poczuła, że nie może zaczerpnąć tchu. W każdym razie odetchnąć głębiej.

Spojrzawszy na nią, wciąż z rozbawieniem w oczach, Daniel obejrzał zablokowaną piłę. Chwycił za rączkę i próbował wydobyć brzeszczot, ale przesunął go zaledwie o cal, więcej się nie dało. Mruknął, a potem zerknął na Claire.

– Zetnę to siekiere, ale najpierw muszę wydobyć piłę. – Spojrzał na jej dłonie w rękawiczkach, wciąż podtrzymujące ostrokrzew. – Kiedy powiem, proszę pociągnąć gałąź w dół, dobrze?

Spojrzał na nią, a ona kiwnęła głową.

– Dobrze. Niech pani użyje całej siły, jeśli będzie trzeba.

Obejrzał znowu piłę, odwrócił głowę i zawołał:

– Poproszę o siekiere!

Annabelle była z dziewcząt najdrobniejsza; przedarła się przez krzak najbliżej, jak się dało, i poprzez zarośla podała Danielowi siekiere uchwyt do przodu. On wyciągnął rękę, ujął narzędzie, a potem, spojrzawszy na Claire, jakby chciał się upewnić, że nic jej nie jest, skupił się na zablokowanym brzeszczocie; przymierzył się siekiere i uderzył nią w nacięcie gałęzi.

– W porządku. Proszę pociągnąć.

Zacisnąwszy rękę, Claire pociągnęła gałąź.

Daniel wbił siekiere głębiej i jednocześnie wyszarpnął brzeszczot.

– Świetnie! Może pani puścić.

Claire wykonała polecenie, a potem patrzyła, jak Daniel się odwraca i podaje piłę Juliet.

Wróciwszy do gałęzi, popatrzył znowu na Claire.

– Niech pani odwróci głowę. Odrąbię gałąź i nie chciałbym, aby poraniły panią drzazgi.

To była mądra rada. Problem jednak w tym, że aby z niej skorzystać, musiała zmienić pozycję. W efekcie otarła się ramieniem o jego plecy.

– Gotowa? – zapytał.

Przełknęła ślinę.

– Tak.

Doprawdy, ta niepożądana wrażliwość była wręcz śmieszna, a jednak zaparło jej dech w piersiach i zawirowało w głowie.

Usłyszała tępy odgłos wbijanej w drewno siekiery; gałąź podskoczyła jej w rękach, więc Claire zacisnęła mocniej dłonie, przytrzymując ją.

– Dziękuję – mruknął między kolejnymi ciosami.

Czuła, jak jego stalowe mięśnie poruszają się płynnie, gdy unosił i opuszczał siekiere; to działało na jej zmysły.

Gałąź zatrzeszczała, a potem, po ostatnim uderzeniu siekiery, zaciążyła jej w dłoniach. Claire musiała się poruszyć, aby ją utrzymać, i spojrzała na Daniela – stali teraz ramie przy ramieniu, zwróćni plecami do wyjścia z otaczających ich zarośli, uwięzieni wśród kolczastych gałęzi.

Popatrzyła mu w oczy; on odwzajemnił spojrzenie.

– Jak się stąd wydostaniemy? – spytała.

Jego rozbawiony wzrok i uśmiech na ustach sprawiły, że i jej zachciało się śmiać z całej sytuacji.

Ku swojemu zaskoczeniu poczuła, że kąciki jej ust się unoszą.

Daniel odwrócił głowę, a potem spojrzął na boki.

– Dziewczęta... stańcie po obu naszych stronach, potem odciągnijcie gałęzie, które zdołacie dosięgnąć, i przytrzymajcie je, ale nie wchodźcie w gęstwinię, dobrze?

– Dobrze, panie Crosbie – odpowiedziały chórem cztery głosy.

Claire słyszała, że dziewczęta za nią coś mamroczą; jak zwykle dyrygowała nimi Louisa. Nie mogła się jednak na tyle odwrócić, by na nie spojrzeć. Popatrzyła na Daniela. Aczkolwiek wciąż dotykał jej ramieniem, udało mu się skrócić szyję na tyle, by sprawdzić, jak radzą sobie ich podopieczne.

– I co teraz? – zapytała.

To pytanie sprawiło, że znowu spojrzął jej w twarz – nagle zrobiło się tak, jakby byli sami, na osobności... i jeśli wcześniej nie była pewna, co on myśli, jakie ma wobec niej zamiary, teraz już wiedziała. Zdradzała to jego mina, orzechowe oczy, otwarte bezpośrednie spojrzenie.

Zamiast jednak poczuć opór – sprzeciw, niezgodę – nagle zabrakło jej powietrza, a serce zabiło mocniej i na moment przyszło jej do głowy, że...

Daniel spojrzął na gałąź.

– Czy jest za ciężka, czy udźwignie ją pani?

Zamrugła i zanim odpowiedziała, musiała chwilę się zastanowić.

– Nie... to znaczy, tak, udźwignę. Nie jest aż taka ciężka.

– Świetnie. W takim razie – ponownie obejrzał się przez ramię – będziemy musieli poruszać się wolno i działać wspólnie, bo inaczej utknijemy tu na dobre. – Przelotnie spojrzął jej w oczy, po czym odchylił się do tyłu, aby zerknąć za jej plecy. Następnie pokiwał głową. – W porządku. Musi się pani do mnie odwrócić. Później podniesie pani gałąź jak najwyżej i pchnie ją ku mnie. Obróci się pani powoli w stronę wyjścia, ja zaś odchylę ostrokrzew i pójdę za panią.

Claire potwierdziła ruchem głowy. Nie zamierzała się nad tym zastanawiać, bo gdyby to zrobiła, splątane myśli by ją sparaliżowały. Skupiła się na czekającym ją zadaniu, wykonywaniu kolejnych poleceń, które wydawał cicho, gdy poruszali się razem powoli.

Manewr łatwiej było opisać, niż przeprowadzić, i podczas niego w sposób nieuchronny stykali się i ocierali o siebie, niemal jakby brali udział w tańcu wymagającym nawet większej bliskości niż walc.

Kiedy, trzymając cenną gałąź ostrokrzewu, wreszcie wydostała się z gęstwiny na wolną przestrzeń, którą stworzyły dziewczęta, miała zarumienione policzki i czuła zaskakujące poczucie triumfu oraz radości.

Nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu, zrobiła krok do przodu, aby Daniel też mógł wydostać się z zarośli i wyplątać ostatnie kolce z grubego płaszcza. W końcu i on znalazł się na wolności – a wtedy dziewczęta, podekscytowane sukcesem, puściły gałęzie, które przytrzymywały.

Potem dosłownie zaczęły tańczyć, zarażając innych swoją wesołością.

Claire przygotowała się i spojrziała Danielowi w oczy.

Jego wejrzenie było ciepłe, uspokajające i konspiracyjne.

– Wygląda na to, że dzięki nam świetnie się bawią.

Popatrzyła na dziewczęta i zaśmiała się lekko.

– Rzeczywiście. – Zerknęła na gałąź, po czym zawołała: – Juliet, Annabelle! Weźcie gałąź, którą wydobyliśmy z zarośli.

– Dobrze! – Pospieszyły do niej wszystkie cztery. Gałąź była na tyle długa, że chwyciły ją razem i ruszyły z nią do sań.

Puściwszy ostrokrzew, Claire poczuła ukłucie po wewnętrznej stronie nadgarstka i aż wciągnęła powietrze.

– Co się stało?

Podniosła głowę i zobaczyła obok siebie Daniela, który patrzył na nią, marszcząc czoło.

Spojrzał jej w oczy z niepokojem.

– Zraniła się pani?

Zamrugła i pokręciła głową. Zerknęła na dziewczęta, lecz były już w drodze do sań, triumfalnie niosąc swoją zdobycz. Lewą ręką odchyliła brzeg rękawiczki na prawej dłoni.

– Cierń.

Jeden długi kolec wbił się w delikatną skórę nadgarstka i odłamał. Próbowwała go wyciągnąć, lecz gdy tylko puściła rękawiczkę, wrócił na miejsce.

– Proszę mi pozwolić. – Daniel już ściągał rękawice.

Zanim zdążyła go powstrzymać – zanim zdążyła o tym pomyśleć – ujął jej prawą dłoń i niemal z nabożeństwem położył wierzchem do dołu na swojej rozłożonej ręce.

Nosiła rękawiczki, ale były z tak cienkiej skórki, że czuła przez nie ciepło jego ciała.

– Niech pani odchyli brzeg.

Zrobiła, co powiedział, a on opuścił głowę. Powoli chwycił cierń starannie przyciętymi paznokciami. Miał dłonie pianisty, a uścisk silny i stanowczy. Patrząc, jak nimi manewrował, czuła jego palce na wrażliwej skórze wewnętrznej strony nadgarstka – i ten dotyk przeniknął ją do szpiku kości.

Zaczerpnęła powietrza, wstrzymała je – i modliła się, by wziął to za reakcję na ból. Ból, który nawet do niej nie docierał, bo była oszołomiona bliskością Daniela.

Poczuła tylko, że wyjął kolec.

Odetchnęła cicho i czekała. Nie mogła się cofnąć, nie mogła uciec – i ku swojemu zaskoczeniu, wcale nie miała na to ochoty.

On tymczasem oglądał zranienie; przesunął palcami po jej skórze – na skutek tej pieszczoty napięły jej się nerwy i przebiegł ją dreszcz. Potem puścił jej dłoń i wyprostował się powoli.

Popatrzył jej w oczy, a ona odwzajemniła spojrzenie.

Chwila trwała – wypełniona rodzącym się uczuciem, którego Claire nie umiała nazwać.

Impuls, pragnienie – przyszło jej na myśl. Dziewczęta szły po stoku w polu widzenia. Odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się i skłoniła głowę.

– Dziękuję panu – zdołała wypowiedzieć.

Wytrzymał jej wzrok z opuszczoną wciąż głową, po czym uśmiechnął się po męsku.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zapanowanie nad uśmiechem wymagało od niej wysiłku; umykając spojrzeniem w bok, wskazała sanie i ruszyła w ich kierunku.

– Chyba zrobiliśmy swoje... resztę ostrokrzewu mogą zabrać nasze pomocnice.

Pochyliwszy się, by wziąć siekierę i dwie piły, które zostawiły dziewczęta, Daniel zerknął na sterty mniejszych gałęzi.

– Jak pani sobie życzy.

Ponieważ przekonanie jej, aby go przyjęła, wymagało ostrożności, nie nalegał, tylko planował następny ruch.

Wyprostował się i poszedł za nią, wydłużając krok, by ją dogonić. Byli w połowie drogi do sań, kiedy minęły ich dziewczęta, wracające z własnej inicjatywy po pozostały ostrokrzew.

Dotarłszy do sań, Daniel zajął się zbieraniem i chowaniem narzędzi. Po krótkiej chwili wahania Claire podeszła, pochyliła się i zajrzała pod gałęzie. Daniel miał nadzieję, że Louisa i Therese dobrze ukryły jemiolę.

– Czego pani szuka?

Claire na niego spojrzała, po czym wyprostowała się, wyciągając związaną w pętlę długą linę.

– To sanie robocze, więc pomyślałam, że powinny mieć także sznur do ciągnięcia... i oto on.

Wróciły dziewczęta z naręczami ostrokrzewu i rzuciły je na sanie. Daniel poluzował boczne liny i zabezpieczył nimi ładunek, a następnie zawiązał.

– Panienki – rzekł, wiążąc ostatni supeł – może pociągniecie sanie, podczas gdy ja z panią Meadows będziemy je pchali?

– Dobrze! – Juliet podbiegła do Claire i wyciągnęła rękę po sznur.

Daniel się wyprostował i zobaczył, że Claire się waha, ale już otoczyły ją dziewczęta i musiała im ulec.

Sznur pozwalający ciągnąć sanie stanowił pętlę umocowaną w miejscach, gdzie przednia oś łączyła się z płozami. Dziewczęta szybko ustawiły się w niej, opierając ją sobie na piersiach i posuwając się do przodu, aby ją napiąć.

Claire z niepokojem w oczach podeszła do Daniela, by przyłączyć się do niego, gdy zajął miejsce między tylnymi uchwytami sań.

– Nie potrzebuje pan mojej pomocy przy pchaniu, zwłaszcza że cała czwórka będzie ciągnąć.

– Może i nie potrzebuję pani pomocy przy pchaniu... – zaczął. Stał po jednej stronie poprzeczki i ujął jeden z uchwytów, a potem zaprosił ją gestem, żeby ustawiła się obok niego. – Ale z całą pewnością będę jej potrzebować, aby sanie nie przejechały dziewczynek i nie wypadły z drogi. – Patrząc do przodu, dał znak czwórce na przedzie, która już nie mogła się doczekać, by ruszyć. – Pochyłość jest na tyle duża, że jeśli panienki pociągną za mocno, sanie nabiorą rozpędu i zjadą same. A jeżeli dwie z dziewcząt pociągną mocniej niż pozostałe, sanie skręcą i wypadną ze ścieżki.

– Och. – Zmarszczka na jej czole się pogłębiła.

Potem jednak Claire skinęła głową i nabrawszy powietrza w płuca, stanęła obok Daniela. Naśladując jego postawę, jedną dłonią w rękawiczce chwyciła poprzeczkę, a drugą ujęła uchwyt.

Ich ramiona lekko się zetknęły.

Daniel czekał, aby spojrzeć jej w oczy. Kiedy podniosła wzrok, uśmiechnął się uspokajająco.

– Gotowa?

Na moment odwzajemniła jego spojrzenie, a potem popatrzyła w przód i kiwnęła głową.

– Tak.

Powściągając uśmiech, zerknął na dziewczęta i zobaczył, że wszystkie patrzą na niego wyczekująco.

– Dobrze, panienki... jazda!

Przy wtórce radosnych okrzyków, które szybko przeszły w cichy śmiech przerywany od czasu do czasu dziewczęcym piskiem, sanie zaczęły sunąć po ścieżce w stronę dworu.

Daniel starał się zachować spokojne, spacerowe tempo, karcąc dziewczęta, gdy próbowały przyspieszyć. Claire szła obok niego i czuła się jak zahipnotyzowana jego bliskością – ciepłem jego silnego ciała poruszającego się przy niej tak płynnie, grą mięśni przy korygowaniu trajektorii sań, musnięciem stalowego bicepsa, który ocierał się o jej ramię przy co drugim kroku.

Mówiła sobie, że jest niewybaczalnie głupia, że jeszcze pożałuje tej swojej słabości – bo to wszystko nie ma sensu i w najlepszym razie potem będzie tylko tęsknić za czymś, czego nie może mieć.

To nic nie da.

Powinna natychmiast przestać się cieszyć tą chwilą.

Jednakże zawładnęła nią jakaś beztroska istota, którą uważała za dawną zmarłą, i idąc tak przy boku Daniela, Claire się uśmiechnęła, choć wiedziała, że nie powinna.

Według własnej oceny jeźdźcy nie jechali zbyt szybko, ale w dobrym czasie dotarli przez zalesione niższe stoki na wzgórze i dostali się na trakt dla koni, który wił się nad lasami pod łysą granią Rhinns of Kells.

Skierowawszy konie na północ, pokonali jeszcze niewielki odcinek drogi i zatrzymali się w miejscu, gdzie kilka większych skał tworzyło płaską półkę, na tyle dużą, aby pomieścić ich wszystkich. Chłopcy zostawili konie na popas w prowizorycznej zagrodzie między kamieniami i ścianą lasu, a następnie zanieśli sakwy na skały i wszyscy razem zasiedli do dość wczesnego lunchu.

– To raczej późne drugie śniadanie – zauważyła Prudence i ugryzła kęs kurzego udka.

– Nie da się utrzymać ich z dala od jedzenia – sucho odparła Lucilla.

– Uhm – odpowiedziała jedynie Prudence.

Sebastian siedział po drugiej stronie Lucilli, mając za sobą Marcusa, Michaela i Christophera.

Wskazał rozciągającą się przed nimi ziemię.

– Jeśli posiadłość należąca do dworu kończy się wraz z początkiem lasu, to do kogo należy teren, przez który przejechaliśmy?

– Do korony – odparł Marcus z szynką w ustach. – Mamy prawo do wyřębu lasu, no i do polowań, lecz sama ziemia jest własnością korony, co w praktyce oznacza, że nie należy do nikogo.

– Więc według angielskiego prawa to ziemia wspólna. – Michael spojrzał na wierzchołek, który wznosił się nad nimi. – Jak daleko rozciąga się ten obszar?

– Na zachód – Marcus wskazał okrągłe szczyty – ze cztery do pięciu mil.

– A na północ? – zapytał Christopher, patrząc spod zmrużonych powiek w tamtym kierunku. – Te lasy leżące po północnej stronie dworu... to też wspólna ziemia?

Lucilla zerknęła na Marcusa i zauważywszy, że brat ma pełne usta, odpowiedziała:

– Tylko wąski pas... najwyższa i najgęstsza część lasu. Tam, na granicy, nasza posiadłość obejmuje jeszcze trochę zalesionego obszaru, prawie do grani, a dalej na północ rozciągają się ziemie sąsiada, poza pasem wspólnej ziemi, który biegnie wzdłuż szczytów.

– Więc gdzie w tych wszystkich lasach napotkamy jelenia szlachetnego? – zagadnął Michael.

– Gdybym miał zgadywać – odparł Marcus – powiedziałbym, że dalej na północy, bliżej posiadłości Carricków, to nasi tamtejsi sąsiedzi. Jej zachodnia granica biegnie wzdłuż dolnej krawędzi lasów, możemy więc zapuścić się tak daleko, jak zechcemy.

– Dobrze więc. – Sebastian podkurczył długie nogi i wstał. Napotkał spojrzenie Marcusa, a potem Lucilli, którzy także się podnieśli. – Proponuję, byśmy pojechali na północ wzdłuż linii lasów, tak jak radziłaś – skłonił głowę, patrząc na dziewczynę – i wypatrywali śladów.

Marcus zgodził się z nim.

– Możemy jechać jeszcze przez kilka godzin, lecz będziemy musieli w porę zawrócić, aby zdążyć do domu przed zmierzchem.

Sebastian popatrzył na pozostałych, w tym na pięciu młodszych chłopców.

– Jesteśmy na tyle dobrymi jeźdźcami, że jazda po otwartym terenie w blasku księżyca nie powinna sprawić nam kłopotu.

Marcus zerknął na Lucillę; ponieważ milczała, wzruszył ramionami.

– Zobaczymy.

Gdy pozostali, zbierając sakwy, zaczęli wstawać z kamieni i podchodzić do koni, Lucilla spojrzała na wierzchołki wzgórz po zachodniej stronie. Z tej odległości zasłaniały niebo na zachodzie, jednak... Skrzywiła się i powtarzając za bratem, mruknęła do siebie:

– Zobaczymy.

Wziąwszy swoją sakwę, ruszyła za resztą.

– Trochę bardziej na lewo – zakomenderowała Helena.

Claire wymieniła spojrzenie z Danielem, a później posłusznie przesunęła gałąź ostrokrzewu nieco w lewą stronę nad centralnym kominkiem w Wielkiej Sali. Ogromne pomieszczenie miało bowiem cztery różnych rozmiarów kominki wbudowane w ściany. Jak dotąd ozdobili dwa z nich – ku zadowoleniu dziewcząt i trójki starszych obserwatorów.

Louisa, która w towarzystwie trzech kuzynek przyglądała się układaniu ostrokrzewu, skinęła głową energicznie.

– Idealnie.

Zerkając na pozostałych i szukając na ich twarzach aprobaty, Claire powstrzymała odruch, aby wznieść oczy do nieba, i położyła gałąź na choinie, którą dziewczęta wcześniej przystroiły kamienny gzyms.

– Jeszcze tylko kilka gałązek i będzie gotowe. – Annabelle podeszła do wielkiego kosza na polana, w którym złożyły ostrokrzew.

Juliet ruszyła za nią i we dwie zaczęły wybierać mniejsze gałązki.

– Weźmy świece i szyszki – dodała Louisa.

Obie z Therese podeszły do stołu, na którym złożono jedne i drugie.

Daniel wraz z Claire spojrzął na czterech lokajów dokooptowanych do pomocy w wieszaniu jedliny nad czterema wejściami do sali. Mężczyźni, balansując na drabinach i taboretach, rozciągali sznur między gwoździemi, które najwyraźniej wbito w ściany już dawno temu w tym samym celu, by stworzyć sieć mającą utrzymać gałęzie na miejscu. Louisa i dziewczęta udzieliły wyraźnych wskazówek. Jedlina miała zostać powieszona po obu stronach łuków. Później już same zamierzały powtykać w nie gałązki ostrokrzewu.

Daniel doszedł do wniosku, że w którymś momencie powieszą też pod łukami jemiolę. Nie miał pojęcia, co z nią zrobiły, podejrzewał jednak, że obecnie spoczywa na dnie kosza na drewno, ukryta pod ostrokrzewem. Rozejrzawszy się po sali, zerknął na Claire.

– Wygląda na to, że pozostaje nam tylko ułożyć choinę na ostatnim kominku.

Z rozbawieniem w oczach uniosła brwi.

– I chyba powinniśmy się tym zająć, zanim Louisa albo Helena wymyślą nam jakąś inną robotę.

Daniel uśmiechnął się szeroko i podszedł razem z nią do ostatniego nieprzystrojonego kominka. Po drodze zatrzymał się tylko, aby wziąć kilka jodłowych gałęzi złożonych w kącie sali.

Therese, która stała przy jednym z długich stołów i pomagała Lousie wstawiać świece do świeczników z kutego srebra, spojrzała na Daniela i Claire, a potem, opuściwszy wzrok, zbliżyła się do kuzynki i szepnęła:

– A co z jemiolą?

Louisa uniosła głowę, gdy dołączyły do nich Annabelle i Juliet, które skończyły ozdabianie choiny ostrokrzewem. Kiedy pozostałe zajęły się sortowaniem szyszek pod względem wielkości, odparła cicho:

– Chyba powiesimy ją później. – Spojrzała przez ramię na babkę i dwójkę starszych w fotelach na podwyższeniu. – Zawsze uważałam, że to najlepiej działa z zaskoczenia. Mogłybyśmy się tu zakraść, kiedy wszyscy będą przygotowawali się do kolacji. To będzie najlepszy moment. Nie ma sensu wieszać jej wcześniej... zawsze słyszałam, że jemiola nabiera magicznej mocy dopiero o zmierzchu w Wigilię.

Annabelle potwierdziła.

– A tutaj się mówi, że zachowuje ją do zachodu słońca w Dzień Świętego Szczepana. – Po chwili dodała: – Przez półtorej godziny nikt nie będzie tu zaglądał, nawet żaden ze służących.

– Myślicie, że możemy zostawić jemiolę tam, gdzie jest? – Therese spojrzała na kosz.

– Nikt jej nie zauważy, dopóki będzie przykryta porządną warstwą ostrokrzewu – odparła Louisa. – Można by tak to urządzić, by kosz stał się elementem dekoracji.

– Uprowadzę lokajów – rzuciła Annabelle.

Juliet zerknęła na dwóch służących, którzy pracowali przy najbliższym wejściu.

– Musimy zwrócić uwagę, dokąd zabiorą drabiny.

– Zostawiaj je gdzieś w pobliżu – mruknęła Annabelle. – Zwykle są trzymane w schowkach w pobliżu stajni, ale nikomu nie będzie się chciało po nie iść, gdyby coś spadło, więc zostaną schowane w jakimś kącie. Wymyślę powód, aby o to spytać.

– Dobrze... zdecydowałyśmy gdzie i jak. Tyle że, gdy tu wrócimy, będziemy musiały działać szybko i sprawnie. – Louisa spojrzała w oczy reszcie dziewcząt i uśmiechnęła się lekko. – A na razie możemy kontynuować zabawę przy wieszaniu ostatnich dekoracji.

Pozostałe odpowiedziały uśmiechami.

Daniel zatrzymał się przy Claire i zlustrował efekty pracy dziewczynek – oraz lokajów.

– Nie przestanie mnie zdumiewać, ile mogą dokonać nasze uczennice.

– Jeśli sobie coś postanowią – zwróciła mu uwagę. – W tym przypadku naprawdę im się chciało i muszą przyznać, że rezultaty są wspaniałe.

Jeszcze niedawno dość ascetyczna Wielka Sala teraz wyglądała odświeżenie, przystrojona ostrokrzewem i jedliną, z szyszkami i ze świecami ustawionymi na wszystkich czterech kominkach oraz pośrodku długich stołów. Na kominkach płonął ogień; panowało ciepło, a tańczące płomienie rzucały na ściany pogodny blask.

Daniel, który przyglądał się przez chwilę czterem dziewczętom kręcącym się pośrodku wielkiego pomieszczenia i wyraźnie zachwyconym swoim dziełem, mruknął:

– Rzeczywiście miały motywację.

On też był zmotywowany, ale nagle ogarnęła go niepewność. Skierował wzrok na Claire, która właśnie spoglądała na mały zegarek przypięty do kołnierzyka.

– Wielkie nieba! Już po południu. Ależ szybko minął ranek! – Podniosła głowę i spojrzała na dziewczęta, nie na niego. – Panienci! Chodźcie, pora umyć ręce i przygotować się do lunchu.

Daniel czekał w pobliżu, jak przystało na sumiennego guwernera, podczas gdy Claire zebrała dziewczęta, dopilnowała, by wzięły płaszcze, kapelusze i szaliki, a następnie wyprowadziła je z Wielkiej Sali... nawet na niego nie spojrzawszy.

Ani razu.

Miał wrażenie, że dobrze się ze sobą czują, że jej opór, z czegokolwiek wynikał, słabnie, znika, a jednak, kiedy wrócili do Wielkiej Sali, coś się zmieniło.

Wycofała się, zamknęła w sobie, i nagle wytworzył się pomiędzy nimi dystans, którego nie śmiał skrócić. Może ta jej nagła powściągliwość była spowodowana obecnością trójki obserwatorów na podwyższeniu.

Niepokój związany z niespodziewaną rezerwą Claire zbiegł się z inną refleksją – że chociaż ich pracodawcy mieli pozostać w Szkocji aż do drugiego dnia po Nowym Roku, nie mógł liczyć, że nie będą musieli wyjechać wcześniej. Choć wdowa przeżyła podróż na północ, nikt inny z jej pokolenia nie czuł się na tyle silny, by się na coś takiego odważyć. A co by było, gdyby ktoś – na przykład Celia albo Martin Cynster – nagle zachorował? Gdyby nastąpił jakiś kryzys w inwestycjach i Rupert Cynster zabrał rodzinę do Londynu, do domu? Albo gdyby Alasdair dostał wiadomość o jakimś antyku i wyjechał z rodziną z powrotem do Devon lub gdzie indziej?

Takie rzeczy już się zdarzały. A to oznaczało, że Daniel miał czas tylko do Dnia Świętego Szczepana. Istniało małe prawdopodobieństwo, że do tego czasu ich pracodawcy wyjadą, a co ważniejsze, że dotrą do nich jakieś wiadomości z zewnątrz, które ich stąd odwołają.

Tak więc, jeśli chciał przekonać Claire, aby związała z nim swój los, miał na to resztę Wigilii, dzień Bożego Narodzenia i Dzień Świętego Szczepana, lecz nie więcej.

Dwa dni i jeden wieczór.

Pod wpływem palącej potrzeby, by się upewnić, że Claire wytworzyła między nim dystans wyłącznie dla pozorów, że to tylko osłona dymna i nic więcej, Daniel ruszył za nią do frontowego holu.

Trajkocząc i śmiejąc się, dziewczęta weszły na koliste schody. Idąc ich śladem, Claire już miała postawić stopę na pierwszym stopniu, kiedy Daniel chwycił ją za rękę.

– Mogę panią prosić na frontowy ganek? – Bez żadnych wyjaśnień pociągnął ją ku drzwiom. – Chciałbym zamienić z panią słowo.

Stopy Claire zdawały się żyć własnym życiem i niosły ją tam, gdzie same chciały. Porozmawiać z nią? Serce zaczęło walić jej w piersi. Powinna się sprzeciwić – wymyślić zręczną wymówkę, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, Daniel wyjrzał na dwór, a potem wyszedł na zewnątrz i wyprowadził ją na ganek – i nie mogła już się wycofać, gdyż zamknął za sobą drzwi.

Stojąc naprzeciwko niego, znowu skryła się za maską, którą przybrała, gdy wrócili do domu i uświadomiła sobie, że jej bezpośredniość – swoboda, z jaką zachowywała się w towarzystwie Daniela, i rozbawienie, z jakim przyjmowała ironiczne uwagi, którymi ją zabawiał podczas drogi powrotnej – kłóć się z rezerwą, jaką chciała wobec niego zachować.

Mogła być dla Daniela Crosbiego tylko znajomą i nikim więcej, a jej dotychczasowa postawa była sprzeczna z tą wytyczną.

Postanowiła, że dla jego dobra w przyszłości będzie zachowywać się odpowiednio. Patrząc mu w oczy, usiłowała coś z nich wyczytać; były spokojne i dość poważne. Serce jej się ścisnęło; lekko uniosła brodę.

– O czym zamierza pan ze mną rozmawiać?

Najlepiej było załatwić sprawę od razu – zdusić w zarodku wszelkie jego nadzieje.

On tymczasem patrzył jej w twarz; powiedział, że chce z nią porozmawiać, a teraz się wahał. Odchrząknął i rozejrzał się wokół, obejmując wzrokiem ciemne połacie ziemi wyzierającej spod warstwy śniegu.

– Ja...

Potem zacisnął szczęki i znowu spojrzał Claire w oczy.

– Dostałem ostatnio dobrą wiadomość. Wiadomość, którą chcę się z panią podzielić, mając nadzieję, że panią zainteresuje. – Zaczerpnął tchu i podjął: – Jak pani z pewnością zauważyła, Jason ma już prawie dwanaście lat i w przyszłym roku pójdzie do Eton. To ostatni z moich wychowanków, więc stanąłem wobec groźby, że będę musiał odejść, znaleźć sobie inną posadę i opuścić dom państwa Cynsterów, jednak pan Cynster zaproponował mi stanowisko swojego sekretarza, kogoś, kto miałby mu pomagać przy kolekcji antyków, w bibliotece i tak dalej.

Przerwał, a potem ciągnął, wciąż na nią patrząc, tak że nie mogła odwrócić wzroku.

– To stanowisko wiązałoby się z wyższą pensją, pozwalającą na utrzymanie żony i całej rodziny.

Nie mogła zapanować nad swoją reakcją – instynktownie zeszywniała – chociaż zachowała na tyle przytomności umysłu, aby nie cofnąć się odruchowo. Ani nie pokręcić głową.

Tego właśnie się lękała: że Daniel zacznie obiecywać sobie zbyt dużo po jej zyczliwym zachowaniu, po dobrym porozumieniu, które nawiązało się między nimi.

Po więzi, jaka ich połączyła – delikatnej, subtelnej, może dopiero się rodzącej, ale wyczuwalnej.

Ta więź nie pozwalała jej udawać, że nie wie, dokąd on zmierza, że nie rozumie pytania w jego oczach. Że nie słyszy emocji w głosie, kiedy rzekł cicho:

– Chciałem spytać, czy mogę mieć nadzieję. Że pani...?

Zbierając siły i wciąż patrząc mu w oczy, acz kosztowało ją to wiele wysiłku – przynajmniej tyle była mu winna – już miała odrzec to, co musiała... Odkryła jednak, że zabrakło jej słów, jakby wyparowały z głowy.

Patrzyła na niego zmieszana, zbита z tropu, nagle zagubiona. Wiedziała, że musi odpowiedzieć „nie”, dać mu delikatnie do zrozumienia, że nie powinien na nic liczyć, nie wobec niej...

Widząc jej zmieszanie, Daniel się zawahał, a potem powiedział:

– Nie oczekuję ostatecznej odpowiedzi... chciałbym jedynie wiedzieć, czy... istnieje taka możliwość.

– Ponieważ Claire nadal milczała, cały stężał. – Czy bierze pani pod uwagę... tylko to, nic więcej... że mogłaby spędzić ze mną resztę życia.

Serce podeszło jej do gardła, tak że nie mogła wydobyć głosu. Ponowie spróbowała odpowiedzieć. Ale wciąż nie znajdowała słów.

Nagle doznała objawienia.

I aż ugięły się pod nią nogi.

Nie znajdowała słów, nie mogła ich wypowiedzieć... bo nie chciała.

Ta świadomość nią wstrząsnęła. Kiedy to się stało? Bo na pewno nie... Jak to możliwe?

Czyżby rzeczywiście brała to pod uwagę? Ona, ta druga tkwiąca w niej beztroska, niespokojna istota, której od tylu lat nie dopuszczała do głosu...

Nie.

Tak.

Daniel zmarszczył czoło. Musiała coś powiedzieć. Zwilżyła usta – i zobaczyła, że on na nie patrzy.

Poczuła, że coś w niej się budzi.

– Ja...

– Pani Meadows! Medy?!

Juliet wołała ją z holu. Claire wstrzymała oddech. Zdesperowana – choć nie wiedziała dlaczego – popatrzyła Danielowi w oczy, po czym chwyciła go za ramię.

– Później. – Poczuła pod palcami jego twarde mięśnie i uściśniła go mocniej, by podkreślić swoje słowa. – Obiecuję, że wrócimy do tego później.

Wreszcie znalazła właściwą odpowiedź i ubrała ją w słowa.

Zanim zdążył coś odrzec, puściła go i odwróciła się w stronę drzwi. Otworzyła je i weszła do domu.

Zostawiony sam na zimnym ganku, Daniel usłyszał, jak Claire mówi za drzwiami:

– Tu jestem. Co się stało?

Czuł się całkowicie zdezorientowany – miała odpowiedzieć „nie” lub „tak”. Jak mogła go zostawić w takiej niepewności? Potoczył niewidzącym wzrokiem po ośnieżonym krajobrazie.

Odtworzył w pamięci całą rozmowę, analizując każde słowo i intonację, każde spojrzenie, szukając czegoś, co by świadczyło o jej nastawieniu, ale nie znalazł nic.

Zrozumiała, o co ją pytał – i nie odpowiedziała mu.

Jak powinien to potraktować: jako odprawę czy nie? Czy może naprawdę zamierzała odpowiedzieć mu później?

A jeśli nawet, to czy zamierzała odmówić? Na razie po prostu skorzystała z okazji, która się nadarzyła, by się zastanowić, w jakiej formie powiedzieć „nie”?

Sarknął.

– Przecież nie mogłem jej zaskoczyć. Na pewno wiedziała... wie... co do niej czuję.

Co jednak czuła ona? Tego pragnął się dowiedzieć.

A tymczasem popadł w jeszcze większą konfuzję i niepewność.

Przez surdut zaczęło przenikać zimne powietrze; płaszcz zostawił w środku.

Wreszcie skupił się na krajobrazie i zdał sobie sprawę, że śnieżna pustka, która go otaczała, stanowi doskonałą analogię jego przyszłego życia – bez Claire.

Wyprostował się, ściągnął łopatki, zaczerpnął powietrza, po czym wrócił do domu.

Niezależnie od tego, co zamierzała mu odpowiedzieć, nie chciał tak łatwo się poddać – zrezygnować z niej i ich wspólnej przyszłości.

By dotrzeć do wieżyczki, w której znajdował się pokój Ravena – gdzie Daniel mieszkał – musiał przejść przez Wielką Salę.

Idąc z opuszczoną głową, pogrążony w rozbieganych myślach, w połowie wielkiego pomieszczenia nagle usłyszał władcze:

– Panie Crosbie!

Spojrzał ku podwyższeniu i zobaczył, że przyzywa go wdowa.

Tłumiąc instynktowną nieufność, skierował się w tamtą część sali; księżna St. Ives nie należała do osób, którym się odmawia.

Zatrzymawszy się przed podwyższeniem, spojrzał w jasne oczy Heleny i uśmiechnął się uprzejmie.

– Tak, Wasza Książęca Mość?

Składając przed sobą ręce, przyjrzała mu się uważnie przenikliwym wzrokiem, który zawsze

wywoływał w nim lęk.

Ku jego uldze, nie wpatrywała się w niego zbyt długo. Na jej ustach pojawił się nikły, współczujący uśmiech – w jego odczuciu dość niepokojący.

– Z pańskiego zachowania, gdy wszedł pan tutaj, wnoszę, że nie spotkał się pan z natychmiastowym przyjęciem.

Skąd wiedziała? Skąd oni wszyscy wiedzieli? Rzucił szybkie spojrzenie na jej towarzyszy: Algaria poważnie kiwała głową, McArdle przynajmniej spał, jak należy.

– Skoro tak – kontynuowała Helena, jakby jego niepowodzenie było czytelne dla każdego – chciałabym panu poradzić, aby pan się nie zniechęcał.

Daniel otworzył usta i zaraz potem je zamknął; nie wiedział, co powiedzieć. W końcu zmusił się, by odwzajemnić spojrzenie Heleny. Zebrał się na odwagę i zapytał:

– Wasza Książęca Mość jest tego pewna?

W obecnej sytuacji gotów był skorzystać z pomocy i wsparcia każdej instancji.

Algaria prychnęła, wyrażając tym jednak twierdzącą odpowiedź na jego pytanie – co oczywiście oznaczało, że zgadza się z orzeczeniem Heleny.

– Jesteśmy tak samo pewni jak każdy, gdy w grę wchodzi ludzie i uczucia.

Helena uśmiechnęła się szerzej.

– Lecz tak, jestem pewna. – Przerwała, by po chwili dodać: – O wszystko, co ma jakąś wartość, należy walczyć, zwłaszcza w sprawach sercowych. Powinno się o tym pamiętać.

Zastanowił się nad jej słowami oraz wyrazem twarzy i – być może bezpodstawnie – poczuł się spokojniejszy.

Uprzejmie – z należnym szacunkiem – skłonił głowę.

– Dziękuję, Wasza Książęca Mość.

Zrobił krok w tył, odwrócił się i ruszył w dalszą drogę – kręcąc z niedowierzaniem głową, kiedy odkrył, że naprawdę czuje się spokojniej i zdecydowanie pewniej co do swoich planów niż chwilę wcześniej, kiedy wchodził do sali.

Helena i Algaria ze swoich miejsc na podwyższeniu odprowadziły go wzrokiem do wyjścia. Kiedy Daniel zniknął za drzwiami, Helena westchnęła.

– To taki miły młody człowiek. – Po chwili spojrzała na Algarię spod uniesionej brwi. – Możemy ufać, że twoja Pani dopilnuje, by spotkała go nagroda?

Nie była zdziwiona, kiedy Algaria przechyliła głowę na bok i zapatrzyła się w dal, jakby wsłuchiwała się w coś, czego Helena nie mogła pochwycić.

Stara zamrugła, a potem się wzdrygnęła.

– Jego... i ją. Myślę, że możemy na to liczyć, niezależnie od tego, co się stanie.

Helena ściągnęła brwi.

– Pewnie nie powiesz, co ma się stać?

Algaria przybrała poważną minę.

– Zrobiłabym to, ale nic więcej nie wiem.

Helena lekko się skrzywiła.

– No dobrze. – Spojrzała w stronę wyjścia, którym Daniel opuścił salę. – W takim przypadku musimy zawierzyć siłom potężniejszym od nas wszystkich.

Rozdział czwarty

Claire nigdy w życiu nie przeżywała takiej rozterki. Nawet w najgorszych chwilach, gdy była zaskoczona, wstrząśnięta, przerażona, zawsze wiedziała, co robić. A teraz, gdy usłyszała o planach Daniela na przyszłość, z nią w roli żony, nie miała pojęcia, co o tym sądzić. Co czuła? To była zupełnie inna historia, lecz już dawno temu się przekonała, że uleganie impulsom prowadzi do cierpienia, że uczuciami lepiej się nie kierować. Życie ją nauczyło, by nie ufać instynktom.

Przynajmniej nie wtedy, gdy chodziło o mężczyzn i małżeństwo.

Wreszcie zabrzmiał gong wzywający na lunch. Dopilnowawszy, by dziewczęta zszyły rąbek płaszcza Juliet – Alatheia Cynster życzyła sobie, aby jej dzieci nabyły podstawowych umiejętności życiowych, pozwalających przetrwać w trudnych czasach, a do nich zaliczała szycie – Claire wkroczyła do Wielkiej Sali za Juliet, Louisą, Therese i Annabelle. Szybko rozejrzawszy się po pokoju, zauważyła, że wobec nieobecności młodzieży, która wybrała się na rekonesans, trzech guwernerzy i Melinda dołączyli do reszty podopiecznych przy stole, przy którym zwykle siedzieli piętnasto- i szesnastolatki.

Czy to wskutek celowych starań, czy zwykłego szczęśliwego zbiegu okoliczności, czekało na nią miejsce obok Daniela.

Claire wahała się przez krótki moment, po czym skierowała się tam z udawanym spokojem; nie mogła przecież robić zamieszania z powodu takiej błahostki... no, i nie była tchórzem. Musiała dać Danielowi odpowiedź. Obiecała, że zrobi to później, choć nie określiła kiedy.

Niestety, mimo że od powrotu z ganku myślała gorączkowo, wciąż nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć – tak by to odzwierciedlało jej reakcję na jego propozycję.

Był tak wzruszająco szczery i uczciwy. Nie mogła zachować się wobec niego inaczej.

To zaś oznaczało, że musiała zmierzyć się z niespodziewanymi, bezprzykładowymi i zupełnie obezwładniającymi uczuciami, jakie budziły w niej jego słowa i on sam – sam jeden. Nie pamiętała, by przeżywała taki zamęt w związku z nieżyjącym mężem, jakby coś głęboko w niej zakopanego próbowało się teraz wydostać. Wyrwać na wolność.

Była ledwie świadoma obecności pozostałych – Cynsterów siedzących przy głównym stole, trójki seniorów przy jednym jego końcu niczym mędrców i całej reszty zebranych w jadalni domowników. Służący kursowali tam i z powrotem, przynosząc z kuchni półmiski, za którymi unosiły się apetyczne aromaty.

Ich gospodarz, Richard Cynster, zauważywszy przybycie czterech dziewcząt, wstał i wznosił kielich.

– Za nasze dekoratorki... dobrze się spisałyście, panienki!

– Sala wygląda pięknie!

– Tak ładnie z tym ostrokrzewem!

– Doskonale na święta!

Słyszac te i podobne komentarze dochodzące ze wszystkich stron Sali, dziewczęta się rozpromieniły, przyjmując komplementy z ujmującym zadowoleniem.

Claire również uśmiechnęła się z uznaniem. Dziewczęta naprawdę się postarały i sala rzeczywiście wyglądała odświeżenie.

Daniel wstał, gdy się zbliżyła.

– Pani Meadows. – Spojrzał Claire w oczy i wyciągnął rękę, aby pomóc jej przejść przez ławę.

Patrząc na niego przelotnie, skłoniła głowę.

– Panie Crosbie.

Zachowanie pogodnej miny kosztowało ją dużo trudu; przygotowała się na kontakt fizyczny, ujęła jego dłoń i wsparła się na niej, przekraczając ławę. O dziwo, tym razem dotyk palców Daniela, ciepłych

i silnych, zamiast wytrącić ją z równowagi, podział na nią uspokajająco. Niechętnie puszczając jego rękę, usiadła i rozłożyła spódnicę.

Do Louisy, Therese i Annabelle, siedzących po prawej stronie Claire, dołączyła Juliet, podczas gdy zajmujących miejsca za Danielem sześciu chłopców, którzy pod okiem Ravena i Morrisa zebrali i przygotowali bożonarodzeniowe polana, z ożywieniem opowiadało o przedpołudniowych zajęciach i rozprawiało o uroczystości, która miała nastąpić po południu.

Siedzący na końcu Raven pochylił się, by przemówić do wszystkich przy stole.

– Przywiezienie wszystkich bierwion i rozpalenie ognia zajmie co najmniej godzinę. Zwykle zbiera się cały dom, by w tym uczestniczyć. Tu mamy cztery kominki, a dodatkowo jeden w holu i jeden w salonie. Palenie Cailleach, ducha zimy, to bardzo ważny zwyczaj dla tych, którzy tu mieszkają, główny punkt obchodów Nowego Roku.

Morris, który zajmował miejsce naprzeciwko niego, ryknął gromko:

– Trudno się dziwić, jeśli spojrzeć na skutą lodem ziemię i wiszące z dachu sople!

Raven się uśmiechnął.

– Do wiosny będzie jeszcze gorzej! Sądzę, że to właśnie symbolizuje uroczystość palenia polan... nadzieję i oczekiwanie na lepszą aurę.

Dzieci, jak można było przewidzieć, były bardziej zainteresowane szczegółami ceremonii; gdy podano i zjedzono zupę, zasypały pytaniami Ravena oraz Annabelle, Calvina i Cartera – troje obecnych dzieci Richarda i Catriony – którzy starali się na nie wszystkie odpowiedzieć. Potem w miejsce waz z zupą pojawiły się półmiski z duszonym mięsem, więc młodzi skupili się na jedzeniu i zgiełk powoli ucichł.

Nałożywszy sobie aromatycznego mięsiwa z gęstym sosem, Claire zmagiała się ze swoim dylematem, nie wiedząc, co począć z niespodziewaną, niepokojącą prawdą, którą odsłonił Daniel, wyznając swoje pragnienia, i jak wobec niego postąpić, nie narażając ani jego, ani siebie na ból.

Nie chciała znowu ryzykować, że będzie cierpiała, ale też nie chciała skrzywdzić Daniela. Dobrze wiedziała, jak to boli. Wolała nie przeżywać czegoś takiego znowu, lecz także nie życzyła tego jemu.

– Ja... – Nie podjęła świadomej decyzji, by się odezwać, ale mimowolnie zauważyła – jak przystało na dobrą guwernantkę czy guwernera – że wszyscy dookoła zajęli się rozmowami. Korzystając więc z okazji, przełknęła kęs i podjęła przyciszonym głosem, tylko na użytek Daniela: – Muszę panu wytłumaczyć... cóż, kilka spraw.

Nie wiedziała, co powiedzieć dalej, więc upiła łyk wina, które Cynsterzy polecieli postawić im na stół. Czując na sobie wzrok Daniela, świadoma jego uwagi, chrząknęła, odstawiła kieliszek i ciągnęła:

– Pańska propozycja dotycząca przyszłości... Może nie powinna mnie zaskoczyć, lecz tak się stało. Nie byłam na nią przygotowana...

– Pani Meadows, możemy pomóc chłopcom przywieźć tu polana? – Therese utkwiała w jej twarzy niebieskie oczy.

Claire zamrugnęła. Zerknęła wzdłuż stołu na Ravena, potem przelotnie spojrzała w twarz Danielowi, po czym zwróciła się do Therese i jej trzech towarzyszek:

– Możecie nie tyle zwozić polana, ile nadzorować rozpalanie ognia w kominkach. Tak będzie znacznie stosowniej, nie sądzisz?

Louisa pospiesznie przytaknęła i dziewczęta zaczęły rozdzielać między siebie kominki, uwzględniając także ten w holu.

– Nadzorować? – W głosie Daniela zabrzmiała nuta rozbawienia. – Bardzo sprytnie.

– Tak trzeba, jeśli się ma do czynienia z tą czwórką – odparła Claire.

Po chwili, patrząc na nią z boku, zagadnęła:

– Więc mówiła pani...?

Nie patrząc w jego stronę, zaczerpnęła powietrza i wróciła do tematu.

– Właśnie, jak mówiłam, nie przypuszczałam... nie brałam pod uwagę takiej możliwości...

a przynajmniej nie liczyłam się z nią. Nie w takim sensie, by móc odpowiedzieć na pańskie pytanie... to, które zadał mi pan na ganku. – Poczula, że brakuje jej tchu, mówi bez sensu, jest śmiesznie zdenerwowana; ponownie nabierając powietrza, podjęła pospiesznie: – To nie znaczy jednak, że nie chcę udzielić panu odpowiedzi. Tylko...

Zesztywniała na ławie. Zwróciła ku niemu głowę, ale wciąż nie mogła spojrzeć w oczy; zmusiła się, aby powiedzieć, wciąż przyciszonym głosem, z nutą desperacji:

– To znaczy, myślałam, że wiem, co odpowiedzieć. Byłam pewna, że w takiej sytuacji odpowiedź jest... byłaby... oczywista i naturalna, ponieważ będąc już raz mężatką, po co miałabym ponownie wychodzić za mąż? Jednakże...

Poczula ucisk w piersiach i przerwała.

Potem, w przyptywie odwagi, spojrzała Danielowi w oczy.

– Mówię od rzeczy. Jestem panu winna odpowiedź... Chcę ją panu dać. Lecz...

– Medy. – Juliet zaczęła, aż Claire spojrzy w jej stronę, aby zadać pytanie. – Nawet jeśli nie będziemy pomagać przy zwożeniu polan, czy mogłybyśmy wyjść na dwór z innymi, aby powitać chłopców, gdy je przywiozą? Możemy?

Co takiego? Claire była przez chwilę zdezorientowana, ale miała zbyt duże doświadczenie, aby zgodzić się na coś, nie będąc w pełni świadoma na co.

Daniel zauważył jej zmieszanie. Znał już szczegóły ceremonii, wyjaśnił więc spokojnie:

– Zwykle wszyscy domownicy wychodzą na zewnątrz i ustawiają się wzdłuż drogi, którą przywozi się polana. A że nasze są już przy stajni, to nie będzie długi dystans.

– Aha, dziękuję panu. – Claire spojrzała na Juliet i pozostałe dziewczęta. – Tak, oczywiście... tylko nie zapomnijcie włożyć płaszczy i odpowiednich butów, kapeluszy i rękawiczek.

Wszystkie cztery, zapewniając ją wesoło, że nie zapomną, wróciły do planowania.

Claire zwróciła się znowu do Daniela, podnosząc rękę do skroni, aby ją rozetrzeć. Ściągnęła brwi. Po chwili westchnęła.

– Przepraszam, straciłam wątek.

Nie mogła stracić wątku, gdyż czuła się tak zagubiona, że nigdy go nie miała. To, że pod pozorami spokoju była poruszona, nie uszło uwagi Daniela i wyraźnie go zaniepokoiło. Coś, co uważał za proste pytanie, widocznie dla niej takie nie było. Będąc już raz mężatką, po co miałabym ponownie wychodzić za mąż? Wiedział, że jest wdową, lecz taka kwestia dotąd nie przysłała mu do głowy. Co to miało znaczyć? Czyżby konkurował z pamięcią o nieżyjącym małżonku? Musiał mu dorównać, spełnić jakieś warunki?

– Panie Crosbie! – Jason, który siedział naprzeciwko, dwa miejsca dalej, starał się pochwycić jego wzrok. Uśmiechnięty, aż podrygiwał z niecierpliwości. – Musi pan przyjść i zobaczyć mój wizerunek Cailleach... zanim się spali.

Daniel przywołał uśmiech i spojrzał na przejęte twarze chłopców.

– Oczywiście. Wszyscy chętnie zobaczymy wasze dzieła, zanim spłoną.

Chłopcy się ucieszyli i kontynuowali organizowanie procesji związanej z uroczystością palenia polan.

Daniel z powrotem odwrócił się do Claire i mruknął:

– Może lepiej będzie, jeśli odłożymy tę rozmowę na później. – Gdy podniosła głowę, spojrzał jej w oczy. – Mam na myśli jeszcze dzisiejszy dzień, może po kolacji, kiedy nasi podopieczni pójną spać.

Jeśli coś w związku z jej poprzednim małżeństwem miało stanąć mu na drodze, czuł, że będzie potrzebował trochę prywatności, by ją przekonać do wyjawienia tego – nie mógł pokonać przeszkody, jeśli jej nie znał – a obecne okoliczności na to nie pozwalały.

Claire wytrzymała przez moment jego spojrzenie, a potem popatrzyła niewidzącym wzrokiem na drugą stronę stołu. Czuła rosnącą frustrację; uczyniła wysiłek i próbowała coś powiedzieć – lecz wszystko to tylko dowodziło, że sama nie mogła się rozeznąć w swoich uczuciach. Wchodząc do sali, nie miała

zamiaru rozmawiać z Danielem – nie o tym, co między nimi zaszło – ale teraz, gdy zebrała się na odwagę i poruszyła ten temat, chciała kontynuować, także dlatego, że choć mówiła trochę od rzeczy, wyrażenie wątpliwości i odczuć – a także dostrzeżenie sprzeczności między nimi a urazami z przeszłości – trochę jej pomogło.

Może, gdyby rozmawiali dalej, pomogłoby jeszcze bardziej, aż w końcu dostrzegłaby dalszą drogę.

– Tak. – Zaciskając usta, popatrzyła na Daniela i odwzajemniła jego spojrzenie. – Ma pan rację. Dziś wieczorem. Gdzieś, gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać.

Skinął głową, patrząc na nią poważnie.

– Właśnie.

Potem Daniela zawołali chłopcy, Claire zaś została zagadnięta przez Annabelle i tak oboje wrócili do swoich obowiązków.

Mimo to, gdy podczas deseru, na który podano daktyłowy pudding, Claire słuchała, jak Raven przedstawia szczegóły zaplanowanej ceremonii palenia bierwion, mającej się odbyć zaraz po lunchu, miała świadomość, że choć jedna jej połowa chce pójść dalej i sprawdzić, czy możliwa jest przyszłość z Danielem, ta druga, mądrzejsza, bardziej doświadczona i cyniczna, trwa w przekonaniu, że ta przyszłość to ułuda.

W ceremonii zwożenia polan brali udział wszyscy z dworu – od córeczki kowala, której rączka tkwiła w wielkiej dłoni ojca, po wdowę, wspartą ciężko na lasce i podtrzymywaną przez obu synów.

Pogoda była wciąż ładna, lecz wiatr się nasilił i na północnym zachodzie gromadziły się chmury. Jednak wciąż świeciło słońce, a powietrze było rześkie i przejrzyste, kiedy zebrani ustawili się po obu stronach ścieżki, która wiodła wokół dworu z tylnego dziedzińca do drzwi frontowych.

Raven, Morris, stolarz i jego pomocnicy, a także wszyscy stajenni pomogli chłopcom załadować zebrane polana na sanie. Drewna było dość, aby cała młodzież, terminatorzy i stajenni mieli co ciągnąć; musiało go być tyle, aby wypełnić wszystkie kominki i podtrzymywać ogień aż do Nowego Roku i kilku pierwszych jego dni.

Daniel, zwolniony od dalszych obowiązków w związku z tą uroczystością, udał się ścieżką do miejsca, gdzie stały – z rozstawionymi po bokach podopiecznymi – Claire i Melinda. Zajawszy miejsce pomiędzy guwernantkami, roztarł ręce i zaczął tupać; robiło się coraz zimniej.

– Po tych wszystkich zajęciach chłopcy będą spali dziś w nocy jak zabici.

– Za co wszyscy powinniśmy być wdzięczni – odparła Melinda, wsuwając dłonie w rękawiczkach do rękawów płaszcza.

Daniel zauważył, że na usta Claire powoli wypłynął uśmiech. Spojrzała na niego.

– Choć to zapewne popularna tradycja, można by się nawet zastanawiać, czy jej przebieg nie ma właśnie tego na celu. Każdy rodzic byłby wdzięczny, gdyby niezmordowani chłopcy ze zmęczenia wieczorem od razu padli na łóżka i zasnęli. – Spojrzała w bok, na liczne pary dziewcząt i młodszych dzieci, które stały po obu stronach ścieżki. – Jest tu przecież wiele rodzin.

– Uhm – potwierdziła Melinda. – O tym nie pomyślałam. I nie byłabym wcale zdziwiona, gdybyś miała rację. Muszę spytać Algarię, ona będzie wiedziała.

Wiwaty i okrzyki, dobiegające z dalszego odcinka ścieżki, świadczyły, że pierwsi chłopcy ciągnący sanie z polanami opuścili tylny dziedziniec.

Claire przesunęła spojrzeniem po alejce, którą tworzyli obserwatorzy. Juliet i pozostałe dziewczęta stojące obok pochyliły się do przodu i zaczęły wypatrywać chłopców. W pewnej chwili Juliet klasnęła i zawołała wesoło:

– To Henry!

Upewniwszy się, że procesję rzeczywiście prowadzi Henry, brat Juliet, wraz z bardziej krzepkim stajennym ciągnąc sanie wyładowanie polanami, Claire zerknęła na Daniela.

– Losowali za pomocą słomek czy...?

Uśmiechnął się szeroko.

– Ku naszemu zaskoczeniu sami doszli do porozumienia. Najpierw najstarszy, czyli Henry, potem najmłodszy, za nimi drugi co do starszeństwa i drugi z najmłodszych... każdy w parze z miejscowym chłopakiem z dworu... i wreszcie dwaj środkowi razem, Toby i Martin. A ostatnie z sześciu sań mają ciągnąć terminatorzy od stolarza.

– Sześć sań... po jednym na każdy z kominków? – zapytała Claire.

Daniel potwierdził skinieniem głowy.

– Procesja nie może być dłuższa. – Wskazał w stronę ciemniejącego horyzontu. – Raven i ludzie z dworu mówią, że zbliża się śnieżycza, skoro więc mamy urządzić tę ceremonię, musi być krótka.

Patrząc wzdłuż ścieżki, Claire zauważyła, że kilkoro dzieci opuściło szereg, aby przyjrzeć się polanom. Potem zawróciły i wołając z podnieceniem, pobiegły znowu do rodziców.

– Zgodnie z miejscowym zwyczajem – odezwał się Daniel – tego, kto najbardziej udatnie wyrzeźbi Cailleach, spotka w nadchodzącym roku szczęście.

Claire się uśmiechnęła i zerknęła na niego.

– Chłopcom szczęście zawsze się przyda.

Daniel odpowiedział uśmiechem. Różnice między ich podopiecznymi stanowiły częsty temat rozmów i żartobliwych sporów guwernantek i guwernerów.

Claire znowu wychyliła się do przodu. Kilka sekund później Henry zrównał się z nimi. Uśmiechnął się do Juliet. Ona, Louisa, Therese i Annabelle wystąpiły z szeregu, aby wraz z młodszymi dziećmi przyjrzeć się podobiznom wyciętym w górnej części dziesięciu polan, leżących na saniach.

Claire zauważyła, że każdy z chłopców wyrzeźbił mniej więcej takie same twarze na pięciu bierwionach. Uniosła kąciki ust, gdy zobaczyła dzieło Henry'ego.

– Archetypiczna wiedźma.

Wizerunek autorstwa stajennego był podobny, acz nieco inny w charakterze.

Uśmiechając się do obu chłopców, Claire wróciła do szeregu. Kiedy Daniel przyłączył się do niej, a tamci ruszyli dalej, rzekła cicho:

– Widzę, że będzie zacięta rywalizacja o to szczęście.

Zbliżali się następni chłopcy; w drugiej parze był Carter, najmłodszy syn Richarda i Catriony, śmiały malec, ulubieniec służących we dworze, który wywołał duży aplauz.

– Ten już je ma – zauważyła sucho Melinda.

Zaproszona niskim ukłonem na oględziny rzeźb Cartera, Claire zaśmiała się i podeszła do sań wraz z pozostałymi dziewczętami. Stwierdziła, że Carter był nie tylko dobrym aktorem, ale także miał talent artystyczny. Przedstawił Cailleach jako piękną staroskandynawską boginię wiatru, o powiewających wokół twarzy włosach, którą wyrzeźbił z niezwykłą precyzją.

Claire ze zdziwieniem uniosła brwi i szczerze dołączyła się do wylewnych komplementów swoich podopiecznych.

Wracając do szeregu wraz z Danielem, który także obejrzał polana, mruknęła:

– Ciężko go będzie pokonać.

– Rzeczywiście. – Daniel zerknął na Melinę. – Czy dobrze słyszałem, że Carter ma brać lekcje rysunku?

Guwernantka kiwnęła głową.

– W przyszłym roku, latem, wysyłają go do brata pani Patience, tego sławnego portrecisty. Będzie też oczywiście musiał pójść do Eton, ale jeśli wszystko się ułoży, mógłby spędzać wakacje... przynajmniej ich część... w Londynie, studiując malarstwo. – Przerwała, a po chwili dokończyła: – Tylko nie wiadomo, czy to mu się spodoba.

Daniel zmarszczył czoło.

– Poznałem państwa Debblington, to miła rodzina. Od czasu do czasu spotykamy się z nimi, kiedy przyjeżdżają do swojego domu w Kornwalii. To piękne miejsce, ze wspaniałymi ogrodami i cudownym widokiem na kanał. Myślę, że Carterowi bardzo się tam spodoba.

Melinda wzruszyła ramionami.

– Może. Ale jeśli będzie pan miał okazję, proszę obejrzyć jego portfolio. – Kiedy Daniel pytająco uniósł brew, dodała: – Pełno tam pejzaży ze wzgórzami, górami – machnęła ręką, wskazując otoczenie – i tym szerokim niebem. Myślę, że będzie mu tego wszystkiego brakowało. To kraina, która zostawia ślad w duszy, jeśli ktoś spędził tu większość życia.

Daniel przechylił głowę.

– To chyba prawda.

Wszyscy zwrócili się w stronę następnych sanii w procesji. Henry tymczasem dotarł do ganku od frontu i kilku lokajów oraz starszych mężczyzn rozładowywało jego sanie pod kierunkiem Polby'ego.

Wiwaty i okrzyki zachęty stawały się coraz głośniejsze, gdyż w drodze były już wszystkie sanie. Stolarz, jego uczniowie i pozostali, którzy pomagali na tylnym dziedzińcu, szli za ostatnią ich parą, zabierając ze sobą resztę gapiów ze ścieżki. Domownicy stopniowo tworzyli śmiejącą się i rozgadaną czeredę. Zgiełk rozmów tworzył miłą dla ucha kakofonię dźwięków.

Wtedy dotarł do nich Calvin z czwartymi saniami; uśmiechnął się do dziewcząt i przystanął, podczas gdy one oglądały dzieła jego i chłopca stajennego, który szczerzył się obok Calvina. Obaj oparli się na sznurach zawieszonych na ramionach.

I nagle Calvin poślizgnął się na zmrożonym śniegu, a za nim chłopak stajenny.

Claire zamrugała, Daniel zaś natychmiast znalazł się przy Calvinie. Złapał go za łokieć i pomógł mu odzyskać równowagę, a jednocześnie wyciągnął rękę i chwycił sznur, którego przytrzymał się stajenny – i jego też postawił na nogi.

Obaj chłopcy zmieszali się i trochę przestraszyli. Wyjąkali podziękowania.

– To wina lodu – orzekł Daniel. – Nic się nie stało.

Melinda przywołała jednego ze starszych służących, którzy stali po drugiej stronie ścieżki, bliżej domu.

– Trzeba tu żwiru, na ścieżce jest lód.

Mężczyzna skinął głową, cofnął się i podniósł przygotowane wcześniej wiadro ze żwirem, a następnie wyszedł na ścieżkę.

– Zmykajcie, chłopcy, a ja zajmę się tym oblodzonym odcinkiem.

Daniel puścił obu chłopców i położył dłoń na załadowanych saniach.

– Jedźcie dalej, popchnę was.

Przyłączyło się do niego kilku mężczyzn, którzy pomogli im ruszyć; odzyskując powoli pewność siebie – i znowu się uśmiechając, gdy ludzie z obu stron zaczęli rzucać okrzyki zachęty – chłopcy pociągnęli sanie.

Kiedy Daniel wrócił na miejsce, Claire miał ochotę go pochwalić – tyle że guwernantki i guwernerzy nie mieli zwyczaju prawić sobie komplementów za wykonywanie swoich obowiązków. Jednak zareagował niezwykle szybko i przyszedł chłopcom na ratunek, oszczędzając im wstydu – a młodzież męska w ich wieku bywa drażliwa.

Wątpiła, aby Raven albo Morris, mili i dobrzy ludzie, wykazali się podobnym refleksem i taktem.

Rozbawienie wzrosło, gdy przejechały piąte sanie, a za nimi pojawiły się szóste, ciągnięte spokojnie przez terminatorów od stolarza, którzy uśmiechali się szeroko.

Podbiegły do nich cztery dziewczęta i inne dzieci; Claire, Daniel i Melinda też podeszli i uśmiechnęli się z uznaniem, widząc na bierwionach dwa bardzo wyraziste wizerunki Cailleach jako staruchy.

Kiedy chłopcy założyli na siebie sznury i sanie pojechały dalej, Claire przyłączyła się do idącego za nimi tłumu. Z uśmiechem, ulegając ogólnej wesołości, ruszyła z boku tej czeredy, dotrzymując kroku

dziewczętom, nad którymi czuwała.

Melinda podążała z przodu, jak kwoka zaganiając trzy najmłodsze córki Cynsterów.

Claire czuła wszystkimi zmysłami, że Daniel jej nie opuścił i idzie po drugiej stronie.

Idąca głębiej w tłumie Louisa potknęła się, potrąciła Juliet, która z kolei wpadła na Claire.

Ta odruchowo ją złapała, ale sama przy tym straciła równowagę. Wydała stłumiony okrzyk, kiedy jej buty poślizgnęły się na skutej lodem ziemi.

Daniel ją złapał i bez trudu podtrzymał.

Wsparała się na nim, oszołomiona tą nagłą bliskością. Jego ramiona były jak dąb, solidny i mocny.

Tłum wokół nich się rozdzielił, płynąc dalej w stronę ganku; dziewczęta się obejrzały i na ich widok zachichotały, a potem poszły dalej.

Mimo otaczających ich ludzi przez chwilę poczuli się, jakby byli tylko we dwoje na bezludnej wyspie.

Mężczyzna dostatecznie silny, aby cię złapać i podtrzymać, gdy się potkniesz, pomyślała.

Claire, wciąż wsparta na Danielu, uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. W jego orzechowe oczy. Mimowolnie zauważyła – znowu z podziwem – regularne, rzeźbione rysy, kwadratową szczękę, usta jakby stworzone przez niebiańskiego artystę.

Ale jej uwagę przykuwały oczy, wpatrzone w nią z serdecznością i czymś jeszcze.

Wtedy ujrzała nie tylko je, ale i kryjący się za nimi umysł, osobowość. I dostrzegła...

Wyraźnie.

Gdyż nie krył się, nie chował, nie udawał.

Dostrzegła... prawdę – jego prawdę.

I gdy – obdarzona ową cenną przenikliwością – ujrzała to jak na dłoni, beztroski duch, który w niej tkwił, wyrwał się na wolność i oświadczył nieodwołalnie, że go pragnie.

Południe mijało i powietrze w lesie stało się zimne. Przerażliwie zimne. Lucilla i Marcus wiedzieli, co to zwiastuje.

Szybko orzekli, że zbliża się śnieżycy i że cała grupa musi natychmiast wracać do domu.

Pozostali spojrzeli na miny bliźniąt i – trzeba oddać im sprawiedliwość – zgodzili się bez słowa, choć nie widzieli jeszcze nawet śladu jeleni.

To było kwadrans wcześniej. Zawrócili na trakcie dla koni, którym jechali na północny zachód – znajdowali się już na zachód od ziem Carricków – i wycofali się do skrzyżowania z drogą biegnącą na wschód, przez las, który leżał na północnej granicy dworu; była to najbliższa i najszybsza droga powrotna do domu.

Lucilla jechała tuż za Prudence; kuzynka podążała za Michaeliem i Sebastianem, podczas gdy Marcus za siostrą zamykał kawalkadę. Sebastian, który jak zwykle wszedł w rolę przywódcy, postawił na czele Christophera, niewątpliwie najlepszego jeźdźca potrafiącego wybrać najbezpieczniejszą trasę, a młodszy chłopcy jechali za nim, a przed Michaeliem.

Zapowiadało się, że śnieżycy będzie gwałtowna; Lucilla to wiedziała, nawet nie widząc dobrze nieba, i była pewna, że Marcus sądzi podobnie. Mogła być przyszłą przedstawicielką Pani na tych ziemiach i mieć większą intuicję, ale i Marcus był przez Panią naznaczony; on także, jak siostra, potrafił wsłuchać się w głosy lasów, które rządziły tym terytorium.

Mieli już za sobą jedną trzecią drogi do domu; podążali traktem dla koni, który biegł mniej więcej wzdłuż północnych szczytów, gdy usłyszeli trzask dochodzący z zarośli niżej na stoku nienależącym do dworu. Lucilla podniosła głowę – a Sebastian gwałtownie zatrzymał wierzchowca. Stanęli wobec nieznanego zagrożenia.

Oboje, Lucilla i Marcus, podjechali do przodu, otaczając Sebastiana.

Prudence, która zazwyczaj podczas jazdy stawiała się jednością ze swym koniem, wydała okrzyk, przeklęła i wykonała skręt, po czym wprawnie zawróciła i zatrzymała się obok Lucilli. Zaraz za nią

podjechał Michael, który zawołał ostrzegawczo do pozostałych i także skręcił.

Pięcioro kuzynów ściągnęło wodze przestraszonym koniom. Siedzieli na grzbietach przestępujących z nogi na nogę wierzchowców, wypatrując wprawnym wzrokiem źródła hałasu, kiedy z gęstwiny między drzewami wyłonił się mężczyzna w szorstkim samodziale.

Człowiek podniósł głowę. Na ich widok zatrzymał się, przesunął po nich spojrzeniem, ale gdy jego wzrok padł na Lucillę, wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Och, dzięki Bogu i naszej Pani.

Czy to z ulgi, czy wyczerpania, mężczyzna – sądząc z ubrania, zagrodnik – zachwiał się na nogach. Nagle przykucnął z pochyloną głową, ciężko oddychając.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem Lucilla dźgnęła konia i ruszyła naprzód.

Sebastian podniósł rękę, jakby chciał ją zatrzymać, ale potem zrezygnował z tego zamiaru i pojechał za kuzynką.

Lucilla, nie odwracając się, wiedziała, że Marcus podąża za nią.

Zbliżywszy się na bezpieczną odległość do zagrodnika – który dyszał jak miech – zatrzymała się, przyjrzała mu się i powiedziała:

– Szukałeś mnie. – Nie miała co do tego wątpliwości. – Dlaczego?

Mężczyzna był wycieńczony, lecz wstał, choć chwiejąc się na nogach. Podniósł wzrok, spojrzał na Lucillę i wydyszał:

– Jaśnie pani... ja... moja Lottie... potrzebujemy twojej pomocy.

Teraz, z bliska, Lucilla zauważyła, że był trupio blady, a w oczach miał strach i niemal oślepiającą panikę.

– Co dolega twojej żonie? – zapytała spokojnie, ze współczuciem w głosie.

Popatrzył na nią błagalnie.

– Nie jest chora, pani... ona rodzi.

Lucilla zamrugała. Przyjrzała mu się ponownie, oceniając jego wiek na dwadzieścia parę lat.

– To jej pierwsze dziecko? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Uhm... i ciężko jej idzie. – Otarł usta drżącą ręką. – Mówi, że dziecko chce przyjść na świat za wcześnie. Zamierzaliśmy po Nowym Roku udać się do pana... tam byłaby położna. Lecz teraz...

Zagrodnik nagle opadł na kolana, złożył ręce i podniósł je proszącym gestem.

– Jaśnie pani, proszę... niech nam pani pomoże.

– Oczywiście. – Lucilla nie wyobrażała sobie, że mogłaby postąpić inaczej. – Jak daleko jest wasza chałupa?

Mężczyzna się podniósł i na jego twarzy, w miejsce paniki, pojawiła się nadzieja. Wskazał w dół stoku, na północy zachód.

– Niedaleko od drogi. Usłyszałem, że państwo jadą traktem, i zacząłem się modlić... A potem przybiegłem najprędzej, jak tylko mogłem.

– Lucillo? – Sebastian spojrzał jej w oczy. – A śnieżycy?

Kiwnęła głową.

– Tak. Ty i reszta powinniście wracać do dworu. Ja muszę pomóc... – Zerknęła na zagrodnika. – Jak się nazywasz?

– Jeb, jaśnie pani... Jeb Fields.

Mężczyzna był wysoki, chudy, tyczkowaty; w ciągu dziesięciu minut, kiedy biegł, musiał pokonać na długich nogach całkiem duży dystans.

Sebastian rozejrzał się wokół, gdy do grupy dołączyli pod wodzą Christophera młodszy chłopcy. Na krótko popatrzył w oczy Michaelowi, wymienił spojrzenia z Marcusem, po czym westchnął i dźgnął konia.

– Zostaniemy wszyscy razem, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. – Wyjmując jedną nogę ze strzemienia, podjechał do Jeba; wychyliwszy się z siodła, podał mu rękę. – Konno dotrzemy na miejsce szybciej. Wsiadaj, człowieku, i prowadź.

Lucilla zorientowała się, że Jeb naprawdę musiał być przerażony i straszliwie bać się o żonę, skoro bez mrugnięcia okiem chwycił dłoń markiza Earith i wsiadł za nim na grzbiet wierzchowca.

Sebastian, zbierając wodze, gdy Jeb już usadowił się za nim, zapytał:

– Którędy więc?

Zagrodnik wskazał nad jego ramieniem trakt dla koni.

– Za zakrętem od drogi odchodzi ścieżka. Tamtędy konno będzie najbliżej.

Sebastian bez słowa ruszył przed siebie kłusem. Lucilla zawróciła konia i pojechała za nim. Pozostali podążyli ich śladem.

Nikt nie mógł się Lucilli sprzeciwić, kiedy działała w imieniu Pani. Sebastian przekonał się o tym już dawno; w takich okolicznościach wszelkie dyskusje były stratą czasu i kończyły się porażką

A że nie lubił przegrywać, nauczył się, że lepiej nie zabierać głosu.

Nie musiało mu się to podobać. A ta konkretna sytuacja szczególnie mu się nie podobała, zwłaszcza gdy przez rzadziejące drzewa zobaczył, dokąd zmierzają.

Dom zagrodnika był zaledwie skromną chatą wzniesioną z bali i krytą gontem. Stał na polanie u końca wąskiej doliny, która rozszerzała się ku północy; był zwrócony frontem na zachód i z trzech stron otoczony gęstym lasem. Z pojedynczego komina wydobywała się cienka smużka dymu.

Jeb, skierowawszy ich na ścieżkę, przez całą drogę zawodził Sebastianowi do ucha, bredząc w panice; tak się bał o żonę i nienarodzone dziecko, że mimo irytacji chłopakowi było biedaka bardzo żal. Na tyle, że pospieszył konia. Mimo to upłynęło dobre dziesięć minut, zanim opuściwszy grań, ściągnął mu wodze przed drzwiami chaty.

Jeb zeskoczył niezgrabnie z końskiego grzbietu i pobiegł, by przytrzymać wierzchowca Lucilli.

Nie było to konieczne, lecz ona podziękowała mu skinieniem głowy; wyjęła stopy ze strzemion i zsunęła się na ziemię, zanim zdążyli jej pomóc Sebastian albo któryś z kuzynów.

Prudence zeskoczyła z konia chwilę później. Chwytając sakwy, Lucilla rzuciła jej naglące spojrzenie. Kuzynka machnęła ręką.

– Już idę.

Zostawiając Sebastianowi to, co robił najlepiej, czyli dowodzenie pozostałymi – w tym przypadku przypuszczalnie z pomocą Marcusa – Lucilla z sakwami w rękach zebrała spódnicę i pomaszerowała przez śnieg do chaty. Ponieważ polana znajdowała się po północnej stronie łańcucha gór i wyżej niż dwór, już powstały tu zaspasy.

Po przyjściu śnieżycy miały stać się jeszcze wyższe.

Jeb oddał Marcusowi wodze konia Licilli i pospieszył otworzyć chatę.

Kiedy podniósł zasuwę, pchnął proste drewniane drzwi i niezręcznie się skłonił, Lucilla dała mu znak, by szedł przodem.

– Powiedz Lottie, że jestem.

Nie miała pojęcia, co zastanie w środku, w jakim stanie jest Lottie, a już zwłaszcza co trzeba będzie zrobić, lecz najście bez zapowiedzi ciężarnej kobiety nie było w żadnym przypadku najlepszym posunięciem.

Jeb kiwnął głową i wszedł do chaty.

Lucilla zatrzymała się w progu; gdy wzrok przyzwyczaił się do panującego we wnętrzu mroku – wręcz ciemności – dostrzegła prostokątny stół z drewna, a za nim toporny, ale solidny kamienny kominek, wbudowany w ścianę naprzeciwko drzwi frontowych. Chociaż ogień ledwie się tlił, palenisko było zamieciono, a po obu jego stronach spoczywały ułożone porządnie polana. Zobaczywszy narzędzia

w kominku oraz naczynia, garnki, patelnie i miski stojące na półkach, upewniła się, że będzie miała wszystko, czego potrzeba; Jeb i Lottie Fields byli może ubogimi zagrodnikami, lecz posiadali niezbędne sprzęty domowe.

Słyszając cichy kobiecy głos, dochodzący z cienia po lewej stronie, Lucilla zorientowała się, że Lottie jest przytomna – ona także straszliwie bała się o swoje dziecko i samą siebie. Lucilla wkroczyła do chaty i zwróciła się ku parze młodych wieśniaków.

Lottie była równie blada jak jej mąż, jednakże nie tak chuda jak on. Leżała pod frontową ścianą, na łóżku zrobionym z prostej drewnianej ramy i wypchanego siennika. Wsparta na dwóch poduszkach, oddychała ciężko, z wielkim brzuchem nakrytym kilkoma cienkimi kocami. Szeroko otwartymi jasnoniebieskimi oczami spojrzała na Lucillę i odetchnęła z ulgą – po czym znowu zaczęła jęczeć, przymykając powieki i krzywiąc się z bólu.

– Zobaczmy. – Lucilla, odstawwszy sakwy na stół, podeszła do łóżka. Wiedząc, że Prudence idzie za nią, rzuciła: – Będę potrzebowała lepszego światła. – Skierowała wzrok na Jeba, który patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami. – Macie jakieś lampy? Czy choćby świece?

Znalazła się lampa i kilka łojowych świec. Prudence pomogła mu wyczyścić i napełnić lampę, potem przycięła knot i zapaliła go.

Tymczasem Lucilla przyklękła przy łóżku i ujęła dłoń Lottie.

– Kiedy zaczęły się bóle?

Kobieta szybko spojrzała na Jeba; upewniwszy się, że jest zajęty, ściszyła głos do szeptu:

– Wczoraj. Nie chciałam mu mówić, żeby się nie martwił... Myślałam, że przejdą. Ale nie przeszły.

Lucilla się uśmiechnęła i zrobiła uspokajającą minę.

– Zaraz cię zbadam. Czy bóle są coraz silniejsze? – Kiedy Lottie, przygryzając wargę, kiwnęła głową, Lucilla podjęła spokojnie: – Więc chyba nie dzieje się nic złego... Dziecko pcha się już na świat i nie chce czekać.

Rzęsy Lottie opadły, a potem się uniosły; spojrzała Lucilli w twarz i jej rysy się rozluźniły. Chwyciła ją za rękę.

– Mam taką nadzieję. Rada jestem, że Jeb znalazł jaśnie panią i że jaśnie pani przyjechała.

Nagle zabłysło światło. Gdy się zbliżyło, Lucilla się obejrzała i zobaczyła, że Jeb niesie lampę.

Jednocześnie do chaty przez próg wpadł cień.

Prudence odeszła od stołu i pospieszyła do drzwi. Przytrzymując je, powiedziała do kogoś:

– Nie chcemy was tutaj w tej chwili, zostańcie na dworze. – Po czym zatrzasnęła drzwi.

Powściągając uśmiech, Lucilla odwróciła się z powrotem do rodzącej. Jeb przystanął u stóp łóżka. Lucilla przywołała go gestem, aby podszedł do żony z drugiej strony.

– Stań tam i trzymaj lampę nad Lottie.

Kiedy Jeb wypełniał jej polecenie, Lucilla uśmiechnęła się do kobiety i odrzuciła koce.

– Będę mogła powiedzieć, co się dzieje, jeśli tam zajrzę. Pozwolisz, że to zrobię?

Lottie zacisnęła usta i kiwnęła głową. Leżała cicho, napięta i zdenerwowana, ale gdy Lucilla ją badała, szybko reagowała na polecenia i instrukcje.

Chwilę później, zobaczywszy wystarczająco, by utwierdzić się w swoich przypuszczeniach, Lucilla okryła kobietę kocami, przysiadła na piętach i odpowiedziała kolejno na zaniepokojone spojrzenia jej i męża. Uśmiechnęła się z taką pewnością, na jaką tylko było ją stać.

– Jest tak, jak myślałam... dziecko w drodze. – Zerknęła na Jeba. – Niezależnie od śnieżycy, która się zbliża, już i tak jest za późno, by przewieźć Lottie do domku położnej. Dziecko urodzi się tutaj.

Kobieta chwyciła ją za rękę.

– Jaśnie pani zostanie z nami?

Lucilla spojrzała jej w oczy i uścisnęła ją za rękę.

– Tak, oczywiście. Przecież po to tu jestem.

Odpowiedziała instynktownie, bez zastanowienia, ale gdy usłyszała te słowa, zrozumiała, że mówi prawdę. To Pani przysłała do niej Jeba i skierowała ją tutaj – miała się tu znaleźć, by pomóc przyjąć temu dziecku na świat.

– Asystowałam już w wielu porodach, uczono mnie, co należy robić. – Jeszcze raz uściskała rękę Lottie i położyła ją na jej okrytym kocami brzuchu. – Owszem, zostanę. Dziecko urodzi się za kilka godzin, ale wykorzystamy ten czas, aby się przygotować. – Wstając, spojrzała na Lottie. – Odpoczywaj. Zdrzemnij się między skurczami, jeśli możesz. A tymczasem Jeb, moja kuzynka i ja zajmiemy się wszystkim.

Lottie uśmiechnęła się słabo, ale przytomnie.

– Dziękuję, jaśnie pani. – Jej powieki się zamknęły.

Lucilla odwróciła się zadowolona.

Napotkała wzrok Prudence, stojącej po drugiej stronie izby.

– A ty zostaniesz?

– Naturalnie. Wiele razy pomagałam źrebiącym się klaczom i chociaż ludzie różnią się od koni, to nie aż tak bardzo.

– Masz rację. – Lucilla się zawahała, po czym spojrzała na Jeba, który odchodząc od łóżka Lottie, zbliżył się z lampą do stołu. – Kuzynka i ja... – zerknęła na Prudence – ...będziemy musiały porozmawiać z pozostałymi. Jeb, mógłbyś w tym czasie znaleźć sznur, który dałoby się przeciągnąć przez izbę? Zawiesilibyśmy na nim koce, aby odgrodzić Lottie od reszty.

Jeb zamrugął ze zdziwieniem, ale kiwnął głową.

– Mam sznur w oborze. – Wskazał gestem wąskie drzwi w tylnej ścianie chaty.

Lucilla uświadomiła sobie, że zza ściany rzeczywiście dochodzi szuranie kopyt i od czasu do czasu beczenie; do tej pory nie zwracała uwagi na te odgłosy. Zagrodnicy w tych stronach przeważnie wypasali owce należące do swoich panów; prawdopodobnie trzoda Jeba spędzała surowe zimy w oborze.

– To dobrze. Poszukaj też jakichś koców albo prześcieradeł. Ja tymczasem zajmę się resztą.

Miała na myśli kuzynów i brata, którzy, jeśli ich dobrze знаła, na pewno chcieli wiedzieć, jak się sprawy mają; podeszła więc do drzwi i otworzyła je, zanim zaczęliby się do nich dobijać.

I rzeczywiście, Marcus, Sebastian, Michael i Christopher stali w grupie przed chatą. Lucilla wyszła na dwór, zaczęła, by dołączyła do niej Prudence, po czym, stanowczym gestem zamknąwszy za sobą drzwi, spojrzała najpierw na Marcusa, a później na Sebastiana.

– Muszę tu zostać do narodzin dziecka – oświadczyła.

– A ja jej nie opuszczę – odezwała się Prudence. Jej ton, jeszcze bardziej zdecydowany niż Lucilli, wykluczał wszelką dyskusję.

Sebastian, z rękami w kieszeniach bryczesów, spojrzał w oczy Lucilli i Prudence, a następnie zerknął na Marcusa. Nie znalazłszy u niego wsparcia, zacisnął szczęki, odwrócił się i spojrzał w stronę lasu. Z jego wyrazistych rysów, odziedziczonych po ojcu, dość łatwo było czytać; chciał się sprzeciwić, ale wiedział, że to nic nie da.

Z cierpliwością, jaką dawała jej niezachwiana pewność, Lucilla czekała na jego kapitulację, ale podobnie jak Prudence była zbyt mądra, aby wywierać na niego presję.

Jako osiemnastolatek Sebastian był najstarszy z młodzieży i z tej racji nieuchronnie w oczach ich rodziców ponosił odpowiedzialności za decyzje, które wspólnie podejmowali. Był tu przywódcą, to nie ulegało wątpliwości. Jednak w takiej sytuacji przywództwo przybierało różne formy.

Po chwili namysłu Sebastian popatrzył spod zmrużonych powiek na Lucillę i ze zdecydowaniem na twarzy skinął głową.

– W takim razie ja też zostanę. – Ledwie spojrzał na Prudence, przeniósł wzrok na Marcusa i uniósł brew.

Marcus wyraził solidarność:

– Wobec tego ja też.

– A ja z wami – dołączył się Michael. Kiedy Sebastian spojrział na niego pytająco, odparł: – Jeśli burza śnieżna nie przejdzie i trzeba będzie wezwać pomoc, wyślecie nas. – Wskazał Marcusa i wyjaśnił:

– Nas obu. Byłoby szaleństwem wysłać w drogę jednego.

Marcus potwierdził mruknięciem.

– Istnieje taka groźba, więc, owszem, powinniśmy zostać we trzech.

– Doskonale.

Sebastian zwrócił się do ostatniego członka grupy.

Christopher się uśmiechnął.

– Czyli ja stoję na czele reszty. – Wskazał kciukiem młodszych chłopców, którzy nie zsiadli z koni. –

Wrócimy do domu i powiemy, gdzie jesteście i co się z wami dzieje.

Sebastian przyjrzał mu się uważnie i uniósł brwi.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. – Christopher skinął głową w stronę chaty. – Jeśli w najbliższych godzinach ma się tu urodzić dziecko, wolałbym znaleźć się gdzie indziej.

Lucilla widziała, że Sebastian, Marcus i Michael myśleli podobnie. Wszyscy trzej mieli podobne odczucia jak Christopher, ale choć przestępowali z nogi na nogę i marszczyli czoła, żaden nie zamierzał zmienić zdania.

– Świetnie. Więc postanowione. – Spojrzała na Christophera. – Musicie ruszać w drogę. Jeźdźcie najszybciej, jak się da. – Oboje z Marcusem zerknęli na północny zachód, gdzie pod szczytami przewalały się szare chmury.

– Jeśli zaraz ruszycie – zauważył Marcus, patrząc na chmury zmrużonymi oczami – powinniście dotrzeć do domu tuż przed śnieżycą.

– A więc komu w drogę, temu czas. – Żegnając się skinieniem głowy i zamaszystym salutem, Christopher wrócił do konia, którego wodze trzymał tymczasem Gregory, jego brat.

Pięcioro kuzynów patrzyło przed drzwiami chaty, jak Christopher dosiadł konia, zebrał grupę i poprowadził ją drogą w stronę gór.

Lucilla drgnęła i pochwyciła spojrzenie Michaela.

– Jeb ma oborę na tyłach chaty, trzeba tam wprowadzić konie i je uwiązać. Razem ze śniegiem przyjdzie wichura.

Marcus skinął głową.

– Też tak sędzę. Nie mamy za dużo czasu.

Prudence wahała się przez chwilę, potem jednak się poddała i podeszła do swojej kłaczy.

– Sama zajmę się Gypsy.

Znając jej miłość do koni – wszystkich koni – Lucilla tylko kiwnęła głową.

– Jeb i ja rozciągniemy sznur i przegrodzimy izbę. – Gdy pozostali odprowadzili konie, odwróciła się do drzwi. – Odemknę drzwi między chatą a oborą, abyście mogli wejść do niej bezpośrednio.

Wróciła do chaty, a pozostała czwórka powiodła konie do obory.

Rozdział piąty

Louisa, Therese, Annabelle i Juliet zeszły na palcach po głównych schodach, po czym tłumiąc śmiech, przemknęły przez hol i wślizgnęły się do Wielkiej Sali.

Był wczesny wieczór; na zewnątrz niebo pociemniało. Nadciągały szare chmury, które zasnuły okoliczne wzgórza i sprowadziły jeszcze większy mróz.

Tak jak przypuszczały, pół godziny przed kolacją sala była pusta.

Dziewczęta zdążyły się już ubrać na wieczór; pomogły sobie ułożyć włosy i znaleźć wieczorowe pantofelki.

– Musimy działać szybko. – Louisa skierowała się do kosza, w którym zostały dekoracje świąteczne.

Pozostałe trzy ruszyły za nią. Wciągnawszy skórzane rękawiczki, które wcześniej schowały do kieszeni, zabrały się do wyjmowania z niego wierzchniej warstwy ostrokrzewu.

Gdy dotarły do jemioli, Therese się zatrzymała i spojrzała na Annabelle.

– Przynieśmy drabiny.

Annabelle posłusznie skinęła głową. Zostawiły z Therese Louise i Juliet, które uważnie wyjmowały delikatne gałązki jemioli, oddzielając poszczególne pędy z opadającymi listkami i pękami białych owoców.

Pospiesznie wychodząc na korytarz, który prowadził do kuchni, Annabelle i Therese skręciły do zagraconego schowka, gdzie lokaje, pomagający dekorować salę zielenią, zostawili drabiny.

– Mam nadzieję, że jesteśmy dostatecznie wysokie, aby dosięgnąć dekoracji. – Annabelle chwyciła jedną z drabin.

– Jesteśmy. – Therese wzięła drugą. – Prawie dorównujemy wzrostem lokajom, a oni wchodzili zaledwie na drugi stopień z trzech, zauważyłam to.

– Rzeczywiście. – Annabelle dyszała, niosąc drugą drabinę do sali. – Poza tym zawiesimy jemiolę pod łukami, a nie nad nimi.

Louisa i Juliet, które już się niecierpliwiły, podeszły do Annabelle i Louise, gdy te wróciły do sali. Juliet pospieszyła z Annabelle ku wyjściu prowadzącemu do biblioteki.

Louisa zatrzymała Therese pod przejściem, którymi dziewczęta właśnie wkroczyły.

– Najpierw zajmijmy się tym.

Therese posłusznie ustawiła drabinę pod łukiem. Jedną ręką zbierając spódnice, a drugą biorąc gałązki jemioli, Louisa weszła na drabinę. Posługując się sznurkami, którymi związała pęk, szybko przymocowała go do jedliny nad przejściem.

Ostrożnie puściła jemiolę – jak się spodziewała, pęk zawisł na środku łuku.

– Tak! – zawołała radośnie Therese. Cofnęła się o krok, oceniła efekt krytycznym spojrzeniem i pokiwała głową. – Wisi na tyle wysoko, że nawet stryj Sylvester nie zawadzi o nią głową.

– Doskonale! – Louisa z błyszczącym wzrokiem szybko zeszła z drabiny. Zerknęła na Juliet, która wciąż była zajęta wieszaniem jemioli nad przejściem do biblioteki. – Zajmijmy się łukiem od strony holu, największy pęk pójdzie tam.

Obie z Therese zniosły drabinę na drugi koniec sali. Louisa instruowała Therese, która – jako wyższa z nich dwóch – mocowała na miejscu duży pęk jemioli.

Po chwili uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Idealnie!

Juliet i Annabelle przeszły już do następnego wyjścia, wiodącego od schodów, które prowadziły na trzy wyższe wieżyczki, do podwyższenia. Zostawiając je, by dokończyły zadanie, Therese wzięła drabinę i zniosła ją z powrotem do schowka, podczas gdy Louisa szybko wsadziła jedlinę i ostrokrzew

z powrotem do kosza, układając je tak, aby brak jemioli nie rzucał się w oczy.

Annabelle przyszła z pomocą Juliet, kiedy ta odnosiła drugą drabinę na miejsce, i robota była skończona.

Cztery dziewczęta zebrały się pośrodku sali, między stołami, i obracając się powoli, obejrzały wszystkie dekoracje.

Popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się szeroko.

– Doprawdy macie wszelkie prawo być z siebie zadowolone.

Słyszając te słowa – wypowiedziane dobrze znanym im wszystkim głosem – obróciły się szybko i spojrzały w stronę wejścia prowadzącego ku podwyższeniu.

Stała w nim Helena; popatrzyła na wiszącą jemiolę, po czym opuściła wzrok i uśmiechnęła się do nich promiennie.

– Dobrze się spisałyście, moje drogie. Bo co to za święta bez jemioli?

Helena chodziła o lasce; teraz trzymała ją w ręce. Żadna z dziewcząt nie mogła pojąć, dlaczego nie słyszały, jak schodziła po schodach, ale wtedy wdowa ruszyła przed siebie i przyłączyła się do niej Algaria, a wówczas zrozumiały, że to stara piastunka pomogła jej zejść.

Podnosząc głowę i patrząc na jemiolę, Algaria głośno prychnęła.

– Ja tam nigdy nie dbałam o takie rzeczy, ale dla innych to, jak głosi porzekadło: *Is blianach Nollaid gun sneachd*. – Opuściła wzrok i spojrzała znacząco na Annabelle.

Dziewczynka ściągnęła brwi z namysłem, a potem przetłumaczyła:

– Gwiazdka bez śniegu to nie Gwiazdka... albo: co to za Gwiazdka bez śniegu.

Algaria pokiwała głową z uznaniem.

– Całkiem niezłe.

Helena zadarła głowę, jakby nasłuchiwała odgłosów dobiegających z góry, i spojrzała na dziewczęta.

– Jeśli chcecie odgrywać role tajemniczych dobrych wrózek, to może powinnyście zniknąć, zanim zejda się pozostali.

Louisa zamrugnęła.

– Słuszna uwaga.

Helena wskazała laską przeciwległe wyjście.

– Biblioteka powinna stanowić na jakiś czas dobre schronienie, byście mogły potem wrócić i udawać zaskoczenie.

Louisa się uśmiechnęła.

– Dziękujemy ci, babciu!

Zawtórowała jej Annabelle, podczas gdy dwie pozostałe dziewczynki dodały unisono:

– Dziękujemy, ciociu Heleno!

Wdowa wygoniła je z sali, więc chichocząc, wybiegły do biblioteki.

Algaria powoli ruszyła na swoje miejsce po drugiej stronie stołu na podwyższeniu.

– To pocieszające – rzekła – że wciąż są na etapie chichotania i cieszą się takimi drobiazgami. Boże, miej nas w swej opiece, kiedy ta młodzież dorośnie.

Helena, patrząc za tamtą czwórką, pomyślała, że pewnie wtedy będzie już w niebie. Ale zamiast zastanawiać się nad nieuniknionym, przechyliła głowę i popatrzyła na jemiolę, wiszącą pod łukiem, za którym zniknęły dziewczęta.

– Mimo to uważam, że spełniły dobry uczynek, bardzo dobry.

Kiedy Prudence, Marcus, Sebastian i Michael weszli do izby przez drzwi prowadzące do obory, Lucilla z pomocą Jeba już przeciągnęła sznur przez całą długość chaty, przywiązując go do gwoździ w ścianach z bali, a potem rozwiesiła na nim koce i położyła drwa na ich dotykających podłogi brzegach, aby odgrodzić Lottie od reszty pomieszczenia. Niestety, to był dopiero początek tego, co musieli jeszcze

w chacie zrobić.

Przybyli z obory zaczęli tupać i rozcierać z zimna ręce. Zebrali się wokół stołu, stawiając na nim przyniesione sakwy.

Wyszedszy zza zasłony z koców, Lucilla zobaczyła, że wszyscy odwracają się ku frontowi chaty – i pod wpływem przeczucia zrobiła to samo.

Nagle zawył wiatr i uderzył w niczym nieosłoniętą frontową ścianę. Pod wpływem jego siły chałupa się zatrzęsała, zaskrzypiała i zatrzeszczała.

Kuzyni potoczyli wzrokiem dookoła, po balach wokół siebie, trzeszczących belkach podtrzymujących dach, ścianach ze zbyt licznymi szparami, by dało się je policzyć, i rozklekotanych okiennicach, zasłaniających pozbawione szyb okna.

– Wygląda na to, że nadeszła śnieżycyca – zauważył Michael.

Lucilla spojrzała na Marcusa i napotkała jego wzrok.

– Jeszcze nie – odezwał się. – To tylko wstęp... zapowiedź, jeśli wolicie. Najpierw wieje wiatr. Sama śnieżycyca przyjdzie za jakąś godzinę.

Sebastian, który odwrócił się od lichych okiennic po lewej stronie drzwi frontowych, rzucił mu stoickie spojrzenie.

– Więc będzie o wiele gorzej.

Marcus potwierdził skinieniem głowy.

Sebastian spojrzał znowu na okiennice i westchnął.

– W takim razie lepiej wykorzystajmy tę godzinę i zabezpieczmy chatę, jak się da.

– W głębi obory widziałem deski i blachę, gdzieś też muszą być narzędzia. – Michael spojrzał na Marcusa i Lucillę; Jeb stał za zasłoną, za którą leżała Lottie. – Możemy użyć tego, co znajdziemy, aby wzmocnić ściany?

Marcus zerknął na siostrę.

– Dowiem się – odrzekła.

Jeb, zapytany o to, zamrugął. Trzymając za rękę żonę, która zaciskała zęby, by przeczekać kolejny przypływ bólu, najwyraźniej nie mógł zebrać myśli i skupić się na niczym.

To Lottie, gdy fala bólu przeszła, wciągnęła powietrze i wydusiła:

– Po budowie obory w zeszłym roku zostały różne kawałki drewna. Jeb liczył, że użyje ich do napraw.

– Świetnie. – Lucilla poklepała ją po ręce i ucisnęła ramię Jeba. Wstając, poleciła: – Jeb, zostań tu z Lottie. My zabierzemy się do roboty i zrobimy za ciebie te naprawy. – Do kobiety zaś powiedziała: – Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu zawołaj.

Wyszła zza zasłony i zobaczyła, że Sebastian, Michael i Marcus, usłyszawszy jej rozmowę, ruszyli już do obory, by zobaczyć, co tam znajdują.

Prudence w końcu udała się za nimi; czuła się swobodniej w oborze niż w kuchni.

Podczas gdy inni znosili do izby deski i kawałki gontów oraz rozmaite narzędzia, Lucilla dorzuciła do ognia, który zapłonął porządnym płomieniem. Zadowolona, zabrała się do przeszukiwania półek.

Znalazła niewiele.

Odrobinę mąki, niewystarczającą nawet, by upiec większy bochenek chleba. Trochę rzepy. Kilka kasztanów. Garnek z resztą potrawy z zająca.

Zagląając pod pokrywkę, Lucilla się skrzywiła.

Prudence, która kładła na stole przyniesione narzędzia, zauważyła to i podeszła, by zajrzeć do garnka. Spojrzała na Lucillę i zapytała cicho:

– To wszystko?

Lucilla pokiwała głową i odrzekła równie cicho:

– I musi zostać dla Lottie.

Nakrywszy garnek, postawiła go z boku kominka.

– Dodam wody i zrobię z tego bulion. Czy teraz, czy później, będzie potrzebowała wzmocnienia.

Prudence wzruszyła ramionami.

– Jeśli przegłodziemy się przez jedną noc, nic nam się nie stanie.

– Na pewno. – Lucilla zacisnęła usta, odsuwając od siebie myśl, co będzie, jeśli zostaną zasypani śniegiem; obie z Prudence wiedziały, co jedzą prości ludzie, i gdyby zaszła taka konieczność, zamierzały zadowolić się tym samym.

Wiatr wiał coraz silniej; wył w chacie jak rozjuszony dziki zwierzę. Od czasu do czasu, pod wpływem silniejszego podmuchu, we frontową ścianę zacinął śnieg; zawierucha sprawiała wrażenie żywej istoty, która chce dostać się do środka każdą szczeliną i szparą.

– Wody. – Lucilla stwierdziła, że dzban na wodę jest do połowy pusty. Skrzywiła się. – Będziemy potrzebowali jej o wiele więcej, zwłaszcza gdy już pojawi się dziecko. – Podniosła głowę i wsłuchiwała się w świst wiatru. – Lepiej pójść po nią teraz.

Weszła za zasłonę; Jeb rozmawiał cicho z żoną, która przymknęła oczy, jakby spała.

– Jeb – zwróciła się szeptem do zagrodnika. Kiedy na nią spojrzął, podniosła dzban. – Gdzie jest studnia?

Okazało się, że między drzewami, za oborą. Lucilla zebrała wszystkie większe naczynia i wręczyła je kuzynom oraz bratu.

– Przynieście tyle wody, ile się da, ale proszę, nie zmarznijcie.

Jeb zaproponował, że też pójdzie, ponieważ jednak był znacznie chudszy niż młodzi Cynsterowie, żaden z nich nawet nie chciał o tym słyszeć.

Lucilla, taktownie powiedziawszy, że powinien zostać z żoną, patrzyła, jak czterech jej krewnych wychodzi do obory. Zamknęła za nimi wąskie drzwi, wróciła do kominka, dołączyła wody do resztek potrawy, zamieszała ją, a potem powiesiła nad ogniem, aby ją podgrzać.

Sebastian wyjrzał przez drzwi obory na dwór.

– Widzę tę studnię. Jest niedaleko.

– Ciągniemy słomki, aby wytypować, kto pójdzie – rzucił Michael.

Sebastian spojrzął na brata i pokręcił głową.

– Nie. Ja jestem najcięższy. – Wzruszył ramionami. – I najsilniejszy. Ja pójdę.

I Michael, i Marcus uważali, że to nie jest dobry pomysł; zapowiadało się, że wyniknie kłótnia.

Wszyscy byli ubrani w stroje łowieckie; żaden nie miał płaszcza ani nawet grubszych rękawiczek. Prudence, przyciskając do siebie garnek, włączyła się do rozmowy.

– Mogę coś zaproponować?

Spojrzały na nią trzy pary męskich oczu.

– Co takiego? – spytał Michael.

Westchnąwszy bezgłośnie, przedstawiła swój pomysł, który okazał się sensowny.

Nie przyznając się do tego głośno, chłopcy przystali na jej propozycję, by ustawić się w linii i przekazywać sobie naczynia w jedną stronę i drugą. Jak zauważyła Prudence, był to najszybszy sposób, aby wykonać zadanie przy najmniejszej stracie energii.

Sebastian – tak jak powiedział, najcięższy i najsilniejszy – ruszył pierwszy. Dotarł do studni, podniósł toporną pokrywę i opuścił wiadro w głąb cembrowiny. Pokręcił korbą, wydobył wodę, a następnie przelał ją do naczynia.

Michael stanął za nim; odbierał od niego napelnione naczynia i przekazywał Marcusowi, a potem oddawał te opróżnione. Marcus zanosił pełne naczynia Prudence – której wszyscy trzej zakazali wychodzić z obory – a ona odstawiała je ostrożnie, podczas gdy Marcus brał kolejny pusty garnek i zanosił Michaelowi.

Marcus nie musiał chodzić zbyt daleko, a Sebastian nie musiał oddalać się od studni. Pracowali szybko i sprawnie, w krótkim czasie wszyscy wrócili do obory, zatrzasnęli i zaryglowali miotane wiatrem drzwi.

Oglądając je w świetle starej latarni, którą znaleźli wcześniej, Sebastian mruknął:

– Ta strona chaty jest przynajmniej osłonięta stokiem i drzewami.

We czwórkę zanieśli pełne naczynia do chaty. Lucilla postawiła je w kącie, aby nie przeszkadzały.

Marcus i Prudence wrócili do obory, by zajrzeć do swoich koni i owiec Jeba.

Sebastian i Michael podeszli do ognia, by się ogrzać.

Patrząc w płomienie, Michael zauważył:

– Powinniśmy poutykać szpary w ścianach, zanim nastanie prawdziwa wichura.

– Uhm. – Sebastian odwrócił się od kominka i obrzucił krytycznym wzrokiem domek. – Myślę, że sama konstrukcja jest dostatecznie mocna, poza tym nie mamy materiału, aby cokolwiek na to zaradzić. Jednak okiennice, zwłaszcza po lewej stronie, nie wyglądają na solidne. Jeśli któraś z nich nie wytrzyma naporu wiatru, śnieg wedrze się do środka.

Michael, prostując się, pokiwał głową.

– Ty zajmij się okiennicą, a ja zadbam o ściany.

Wrócili Marcus i Prudence. Po krótkiej naradzie – której Lucilla się przysłuchiwała, nie zabierając jednak głosu – Sebastian i Marcus zabrali się do wzmacniania rozklekotanej okiennicy; robili to od środka, bez otwierania jej, co nie było łatwym zadaniem. Michael przystąpił do zabezpieczania ścian, utykając wszystkie napotkane szpary słomą albo zabijając je deskami.

Prudence odwróciła się do Lucilli i wetknęła głowę za zasłonę.

– Potrzebujesz pomocy?

Ta pokręciła głową.

– Przydasz się później, prawie na pewno, ale na razie...

Kuzynka ściszyła głos.

– Jak z nią?

Lucilla spojrzała jej w oczy.

– Czy ja wiem? – odrzekła szeptem. – Wszystko idzie, jak należy, ale coś mnie niepokoi. Ułożenie dziecka jest niewłaściwe. – Zamilkła, po czym dodała: – Próbowałam je obrócić, ale daremnie... już za późno. Myślę, że to będzie poród pośladowy.

Prudence wzruszyła ramionami.

– Ze źrebakami też tak bywa. Jeśli jest ktoś do pomocy, przeważnie wszystko kończy się dobrze. – Spojrzała na Lucillę uważnie. – Przyjmowałeś już kiedyś poród?

Ta się skrzywiła.

– Dwa razy przy tym byłam. Ale tylko się przyglądałam, a to co innego. – Popatrzyła kuzynce w oczy. – A ty?

Prudence spoważniała.

– Tak jak ty, też tylko się przypatrywałam.

Lucilla lekko wzruszyła ramionami.

– Będziemy musiały sobie poradzić.

– Hm, jeśli na razie mnie nie potrzebujesz, pomogę Michaelowi.

– Właściwie byłoby dobrze, gdybyś zajęła się ścianami za zasłoną. Trzeba je uszczelnić tak samo jak pozostałe.

Prudence zasalutowała i odwróciła się w stronę zasłony.

– Dobrze.

Zajrzawszy do bulionu z potrawki, Lucilla podeszła do Lottie, ale młoda kobieta, z Jebem przy boku, jakoś się trzymała; bóle jeszcze się nie nasiliły.

Prudence, z małym młotkiem w dłoni, przesuwała się wzdłuż ścian w ograniczonej przestrzeni, wbijając w szczeliny kawałki drewna.

Jednak Lottie była Szkotką; miała we krwi zasady gościnności. Po kolejnym bolesnym skurczu

spojrzała na Lucillę z przerażeniem.

– Właśnie sobie przypomniałam... Jeb nie zajrzał do swoich pułapek. Nic nie upiekłam, a nie ma mąki, bo nie spodziewaliśmy się śnieżycy i Jeb miał dziś pójść...

– Nie martw się – odparła Lucilla głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Właśnie rodzisz i masz inne obowiązki. – Kiedy Lottie zamrużyła, Lucilla spokojnie kontynuowała: – Nikt tu nie umrze z głodu. Mamy wodę i na razie to ona jest najpotrzebniejsza.

Lottie nie wyglądała na przekonaną.

– Ale jest Wigilia. I jaśnie pani... – zerknęła na Prudence, a potem wskazała ku zasłonie – oraz państwo powinniście zasiąść do wieczerzy.

Lucilla skwitowała to wzruszeniem ramion.

– Ale nie zasiądziemy. Jesteśmy tutaj. Postanowiliśmy tu przyjechać, postanowiliśmy zostać i nie mam wątpliwości, że tu powinniśmy być. Jeśli stracimy kolację, to trudno, tak było pisane.

Kiedy Lottie ściągnęła brwi, nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć, Lucilla uśmiechnęła się i poklepała ją po ręce.

– Skup się na swoim zadaniu i nie martw się o nas... nawet o Jeba. Zaparzę ci zioła, zaraz je przyniosę.

Wyszła zza zasłony, przyciągnęła sobie stołek, usiadła przy stole i wyjęła swoją sakwę spomiędzy innych. Przejrzała zioła, które zawsze ze sobą wozila. Jedne mogły się przydać w położu, aby Lottie szybciej doszła do siebie, inne – złagodzić bóle w następnych godzinach, jednak nie było prawie żadnych, które pomogłyby w najważniejszych momentach porodu.

Lucilla zaparzyła zioła na uspokojenie i wzmocnienie. Przelala napar do prostego blaszanego kubka i odstawiła, aby wystygł, a następnie, prostując się, spojrzała na pozostałych – Michael wciskał drewniany klin w szczelinę nad oknem po prawej stronie drzwi, Sebastian i Marcus naprawiali zaś okiennicę po lewej.

Gdy tak na nich patrzyła, obaj zrobili krok w tył i przyjrzeni się efektom swojej pracy. Okiennica wciąż się ruszała, lecz tylko pod wpływem silniejszych podmuchów i z pewnością nie klekotała jak poprzednio.

– Więcej nie możemy zrobić – orzekł Marcus.

Sebastian kiwnął głową i odwrócił się z młotkiem w ręce. Zobaczył, że Lucilla ich obserwuje, i spojrzał jej w oczy. Potem wskazał wzrokiem zasłonę i zapytał bezgłośnie:

– Jedzenie?

Pokręciła głową i odpowiedziała ruchem warg:

– Nie ma.

Sebastian się skrzywił i z rezygnacją opuścił ramiona. Obaj z Marcusem przyłączyli się do Michaela, szukając największych szpar w ścianach i uszczelniając je po kolei.

Lucilla zauważyła, że mimo spadku temperatury na dworze z powodu nadchodzącej burzy śnieżnej i lodowatego wiatru, w chacie zrobiło się cieplej – a przynajmniej nie robiło się chłodniej – znowu podeszła więc do kominka i dorzuciła do niego drew.

Kiedy zajęły się ogniem i strzeliły płomienie, wyprostowała plecy.

Patrząc w ogień, przypomniała sobie własne słowa: Postanowiliśmy tu przyjechać, postanowiliśmy zostać i nie mam wątpliwości, że tu powinniśmy być, tak było pisane. Wiedziała, że to prawda, jednakże droga, która ich tu zawiodła, sięgała znacznie dalej w przeszłość niż podjęte tego dnia decyzje.

Zaplanowali, że spędzą Boże Narodzenie w Szkocji, tak zdecydowali jeszcze w Somersham Place, głównej rezydencji księcia St. Ives i dawnej siedzibie rodu, na corocznym letnim zjeździe, rodzinnym święcie. Tamtego sierpniowego dnia, spacerując wokół jeziora, rozmawiali o pogwiazdkowych łowach i chłopcy orzekli, że trzeba poczynić do nich przygotowania jeszcze w Wigilię.

Tak więc już dawno temu ruszyli drogą prowadzącą do tej chaty podczas śnieżycy, z kobietą w środku, która miała wydać na świat dziecko.

Czując bijące z kominka ciepło, które rozprzestrzeniało się po całej izbie, Lucilla odwróciła się – w tej samej chwili rozległo się przeciągłe, zawodzące wycie wiatru.

Spojrzała porozumiewawczo na Marcusa. Już niedługo.

Marcus skinął głową.

Odwróciła się z powrotem do kominka, wzięła kubek, podmuchała na znajdujący się w nim napar i zaniósła go Lottie.

Co ma być, to będzie – pomyślała. Będą przedsięwziąć odpowiednie kroki w miarę potrzeby.

Pragnę cię.

Rzecz jasna Claire nie wypowiedziała tego na głos; w ostatnich latach nauczyła się tłumić tę część swojego ja, która miała teraz ochotę wypowiedzieć owe intuicyjne, zdradzieckie słowa, jednakże one w niej dźwięczały. Nie pozwalały jej myśleć o niczym innym. Dając pożywkę tej drugiej, tkwiącej w niej niefrasobliwej, swawolnej duszy.

Przywołując ją, aby się ujawniła.

Claire już prawie zapomniiała, jakie to uczucie, ta tęsknota i pragnienie, napędzane naiwną wiarą, przekonaniem, że wszystko, co czuje, jest dobre i słuszne.

Wszystko, czego pożąda.

Życie dało jej gorzką lekcję, otworzyło jej oczy i zmusiło, by przejrzała. Lecz, gdy chodziło o Daniela Crosbiego...

Nie tyle odwrócił bieg lat, ile w jakiś sposób dotarł głęboko i odemknął te zamki, które miała w środku, obudził, uwolnił i przywrócił do życia młodszą Claire – tę, która wierzyła w cud miłości.

Czuła, że coś się w niej zmienia, wiedziała, że wyłania się z niej tamta młodsza ona... ale wciąż nie mogła skłonić tej starszej i mądrzejszej, aby pogodziła się z tym i ustąpiła pola.

Nadal nie była pewna, czy zlekceważenie zdobytej mądrości i dopuszczenie do głosu młodzieńczej bez troski to słuszny krok.

Nie miała pojęcia, czy powinna zachęcać Daniela, czy, choćby najłagodniej, dać mu odprawę.

Gdy zabrzmiał gong wzywający na kolację, po drodze do jadalni zajrzała do pokoju Annabelle, jednakże był pusty; jej cztery podopieczne najwyraźniej już zeszyły. Ruszyła więc po schodach na dół i skierowała się do Wielkiej Sali. Dobiegały stamtąd zgiełk rozmów i śmiechy; ogarnęło ją ciepło dochodzące ze wszystkich kominków, przesycone dziwną wonią dymu z powoli palących się wizerunków Cailleach. W powietrzu pachniało też jedliną. Claire pozornie była wciąż skupiona na obowiązkach guwernantki, ale tak naprawdę – od czasu, gdy to bez troski ja podsunęło jej owe dwa słowa – myślała o tym, co powinna zrobić.

Co powinna odpowiedzieć Danielowi, gdy wreszcie będą mieli okazję porozmawiać.

Wchodząc do Wielkiej Sali, Claire zauważyła, że uczestnicy konnej wyprawy jeszcze nie wrócili. Mimo to guwernerzy i Melinda siedzieli przy tym stole co zwykle. Nie zamierzając tym razem unikać wyzwania, sprawdziła, czy pozostające pod jej opieką dziewczęta są obecne, i spokojnie podeszła do wolnego miejsca przy Danielu.

On, Raven i Morris wstali, gdy się zbliżyła. Daniel się uśmiechnął i podał jej rękę, służąc pomocą w przejściu przez ławę.

Wspierając się na jego dłoni, odnotowała uczucia, jakie to w niej wzbudziło – wręcz napawając się nimi – po czym uśmiechnęła się do pozostałych, przekroczyła ławę i cofając rękę, zajęła swoje miejsce. Panowie także usiedli.

Grupa była w trakcie ożywionej rozmowy; gdy wrócili do tematu różnych wcieleń Cailleach, jakie stworzyli chłopcy, Claire wymieniła uśmiechy z Melindą i zaczęła się przysłuchiwać.

Po procesji – i uświadomieniu sobie znaczenia tamtych dwóch słów – resztę popołudnia spędziła w wesołej, pełnej podniecenia atmosferze i lekkim napięciu. Przywiezione na ganek polana zostały

ułożone w holu, aby można je było podziwiać i wreszcie zdecydować, która podobizna Cailleach spłonie w którym kominku. W każdym z nich miały się znaleźć dwie podobizny ducha zimy i płonąć aż do Nowego Roku. Razem z Danielem i czterema dziewczętami Claire krążyła po sali, tak jak cała reszta zgromadzonych, i jeszcze raz oglądała rzeźbione polana, teraz ułożone w ciepłym świetle lamp. W końcu zwycięstwo przypadło Carterowi – którego Cailleach została jednogłośnie uznana za najlepszą i miała spłonąć w największym kominku Wielkiej Sali – a także jednemu z terminatorów od stolarza, biorącemu udział w rywalizacji. Resztę polan rozdzielono między pozostałe kominki: po jednym dziele młodych Cynsterów i jednym takim, które wyszło spod dłuta służących.

Potem przystąpiono do zapalania bierwion. To dostarczyło wiele okazji do śmiechu, gdyż bierwiona zabezpieczono przed szybkim spalaniem się i w efekcie nie chciały zająć się ogniem. Na szczęście jednak w domu było wystarczająco dużo starych wyg, które wiedziały, że należy położyć polana na palących się już drwach, i wkrótce wizerunki Cailleach już płonęły we wszystkich wyznaczonych do tego celu kominkach, a wśród zebranych zaczęły krążyć kubki z grzany cydrem i ciastka w kształcie słoneczek upieczone przez dziewczynki – ku wielkiemu zadowoleniu samych pańienek i wszystkich pozostałych.

Atmosfera odprężenia i wesołości sprawiła jednak, że przedłużająca się nieobecność uczestników wyprawy konnej stawała się dla domowników coraz bardziej niepokojąca.

Kiedy zapalono już wszystkie polana, niebo na dworze pociemniało. Niedługo później wzmógł się wiatr i Cynsterowie zaczęli się martwić o starsze dzieci. Panie coraz częściej spoglądały w stronę bocznych drzwi, jakby przez to mogły sprawić, że szybciej ujrzą w nich swoje potomstwo.

Zbliżała się pora kolacji, a wciąż nie było widać nienasyconej młodzieży, która w normalnych okolicznościach nie opuściłaby posiłku.

Chociaż rozmawiano o czymś innym, guwernerzy byli napięci, podobnie jak Melinda; Claire miała świadomość narastającego zdenerwowania. A jeśli coś się stało?

Raven zerknął w stronę głównego stołu.

– Książę i inni wyszli wcześniej na tylny dziedziniec, lecz w tej śnieżycy nie dostrzegli nic na horyzoncie.

– Wygląda na to, że pogoda się nie zmieni – zauważył Morris. – Wspiąłem się na najwyższą wieżę, ale nawet stamtąd niewiele widać.

– Są na tyle dorośli, aby zachować zdrowy rozsądek – orzekła Melinda. – Cokolwiek się stało, dowiemy się o tym, gdy tylko będą mogli nas powiadomić. To już nie są nieodpowiedzialne dzieci.

Claire potwierdziła ruchem głowy.

– To prawda. – Do uczestników wyprawy należał starszy brat Juliet, Justin. Chociaż był beztroski, jak należało się spodziewać po szesnastolatku, to jednak po matce odziedziczył trzeźwość umysłu, a po ojcu odwagę. – Justin nie przysporzyłby rodzicom i rodzeństwu powodu do niepokoju, gdyby to nie było konieczne. Wątpię też, aby ktokolwiek z pozostałych świadomie martwił rodzinę.

Raven spoważniał i już zamierzał coś dodać, kiedy nagle z hałasem otworzyły się jakieś drzwi. W tej samej chwili dobiegły młodzieńcze głosy i tupot butów.

Wszystkie rozmowy zamarły; każdy z obecnych spojrział w tamtym kierunku.

Pierwszy wszedł Christopher Cynster. Objął jednym spojrzeniem całą salę i wyczuł panujące w niej napięcie i niepokój.

Skierował wzrok na główny stół.

– Przepraszam... nic złego się nie stało. Nie zdarzyło się żadne nieszczęście ani nic takiego. Musieliśmy zboczyć z drogi, aby Lucilla mogła się zająć rodzącą kobietą, żoną zagrodnika, a potem nadciągnęła burza śnieżna... i przyjechaliśmy tylko my.

Na nogi zerwali się Vane, ojciec Christophera, i Devil Cynster; szybko przesunęli wzrokiem po pozostałych chłopcach, którzy tymczasem wkroczyli na salę.

Wstał także Richard i nakazał gestem, by zbliżyli się do kominków.

– Najpierw się ogrzejcie, a potem usiądźcie, nie musicie się przebierać.

Christopher ruszył z miejsca pierwszy; reszta chłopców również podeszła do kominków, by ogrzać dłonie. Później wszyscy pospieszyli, by zająć swoje miejsca. Christopher skierował się sam do pustego końca stołu przy podwyższeniu, ponieważ żadnego ze starszych chłopców nie było.

Księżę spojrzał na niego pytająco.

– Gdzie reszta?

Zatrzymując się przy miejscu, które zwykle zajmował, Christopher odparł:

– W chacie zagrodnika. Lucilla powiedziała, że musi zostać, póki dziecko nie przyjdzie na świat, więc oczywiście Marcus też został, podobnie jak Sebastian i Michael, w razie gdyby byli potrzebni. Prudence, poproszona przez Lucillę o pomoc, oczywiście nie mogła wrócić.

Claire zauważyła, że Christopher w krótkiej relacji dwukrotnie użył słowa „oczywiście”, sądziła jednak, że zrobił to nieprzypadkowo. Solidarność rodzinna była jedną z głównych cech rodu Cynsterów, której starsi z pewnością by nie zakwestionowali.

Devil, Vane i Richard oraz wszyscy inni, siedzący przy głównym stole, przyjęli jego wyjaśnienie, niechętnie kiwając głowami. Kiedy mężczyźni ponownie usiedli, Devil przywołał syna do siebie.

– Usiądź z nami i zaspokój naszą ciekawość.

Christopher usłuchał; służba czym prędzej umieściła dla niego nakrycie obok nakrycia wdowy, która nalegała, by wnuk ze względu na jej stare uszy usiadł obok niej.

To tylko pretekst, gdyż słuch miała znakomity. Jednakże widząc spojrzenie, jakie rzucił Helenie Christopher, Claire domyśliła się, że był wdzięczny, iż nie musi siedzieć w towarzystwie nie całkiem udobruchanych rodziców.

Potrawy zostały wniesione, kolacja się zaczęła i chociaż napięcie wyraźnie zelżało, w sali wciąż można było wyczuć pewien niepokój, wyczekiwanie i niepewność.

Od stołu, przy którym zasiadła reszta uczestników wyprawy, dobiegały niecierpliwie pytania o chatę zagrodnika i śnieżycę, a następnie odpowiedzi. Z kolei z podwyższenia dochodziły niskie głosy starszych Cynsterów oraz co jakiś czas wyższe, kobiecie; pomiędzy nimi następowały przerwy, gdy mówił Christopher.

Nie słysząc nic z tego wyraźnie, Claire nawet nie wyteżęła słuchu; wiedziała, że później dowie się wszystkiego – z najdrobniejszymi szczegółami – od Juliet. Była rada, że Christopher bezpiecznie sprowadził szesnastolatków do domu; odgłosy przeraźliwego świstu wiatru i uderzeń śnieżycy – szalejących na zewnątrz żywiołów – dochodziły nawet tu, do Wielkiej Sali, w samym sercu dworu, otoczonej tyłoma grubymi murami.

Siedzący obok niej Daniel zrozumiał sens słowa „rozterka”. Chociaż dręczył go niepokój co do stanowiska Claire – tego, co do niego czuje, i jakąż to przeszkodę widzi między sobą a nim – to jednocześnie martwił się o los starszych dzieci. Żadne z tamtych pięciorga nie było jego podopiecznym, jednakże znał ich wszystkich – a szczególnie trzech chłopców, już niemal młodych mężczyzn, z którymi miał do czynienia.

Sądząc z wyrazu oczu Morrisa, on także się niepokoił, chociaż jego wychowankowie, podobnie jak Daniela, byli już bezpieczni w domu.

O dziwo, Raven i Melinda, najbliżej związani z Lucillą i Marcusem – a także w pewnym stopniu z Sebastianem, Michaeliem i Prudence – zachowywali zimną krew. Raven machnął ręką i energicznie zabrał się do pieczenia.

– Wróć cali i zdrowi, nie trzeba się o nich martwić.

– O tak. – Melinda podsunęła Claire półmisek z pieczonymi warzywami. – Poradzą sobie, nawet podczas śnieżycy.

Claire ze zdziwieniem zauważyła:

– Wydajesz się dziwnie spokojna, że nic im się nie stanie.

Przeżuwając kęs, Raven kiwnął głową. Przełknął i odpowiedział:

– Są naznaczeni przez Panią. To znaczy, Marcus i Lucilla, ale ci dwoje na pewno nie dopuszczą, aby i pozostałym coś się stało, więc Sebastian, Michael i Prudence też są pod ochroną.

– Pod ochroną? – zagadnął Morris.

Patrząc w talerz, Raven pokiwał głową.

– To jedna z rzeczy, których się uczysz, mieszkając tu dłużej. – Podniósł wzrok i rzucił reszcie niewinne, skromne spojrzenie. – Cała rzecz w tym, że nie trzeba wcale wierzyć w Panią, wystarczy jej nie odrzucać i po jakimś czasie... – Nie kończąc, wzruszył ramionami i wrócił do krojenia wołowiny.

– Jeśli mieszka się tutaj wystarczająco długo – podjęła Melinda – widzi się za dużo, aby podawać w wątpliwość, że... działa tu jakaś tajemnicza siła, w którą wierzą miejscowi, i która, czy chcecie, czy nie, robi swoje i nie przestanie.

Raven potwierdził.

– Dobrze powiedziane. Możemy być pewni, że tych pięcioro wróci całych i zdrowych, nie wiadomo tylko kiedy.

Daniel wymienił spojrzenie z siedzącym naprzeciwko Morrisem i starszy mężczyzna także wzruszył ramionami, po czym zajął się jedzeniem.

Daniel opuścił wzrok na talerz, podczas gdy Claire rzekła:

– To uspokajające... że wystarczy tylko nie negocjować.

Zerknął na nią, lecz ona także pochyliła głowę i nie mógł się zorientować, czy w jej ostatnich słowach nie kryje się jakaś osobista aluzja.

Tak czy owak, zamierzał zaaranżować spotkanie – o które prosiła – aby mogli porozmawiać na osobności. „Później” w jego odczuciu oznaczało koniec kolacji, kiedy ich podopieczni zostaną odprowadzeni na górę i już nic im dwojgu nie przeszkodzi. Przez cały dzień skupiał uwagę na tylu rzeczach, że nie miał czasu dojść, co tak niepokoi Claire i według niej stoi na przeszkodzie ich małżeństwu. Pewnie coś w związku z jej poprzednim związkiem, acz i to stanowiło tylko domysł, bo wypowiadała się dość enigmatycznie.

Kolacja dobiegła końca. Gdy naczynia zostały wyniesione, Catriona – gospodyni i pani na Vale – wstała od stołu. Uśmiechając się pogodnie, spojrzała po sali; pod wpływem jej wzroku rozmowy powoli milkły. Zebrani, zaciekawieni, uciszali się nawzajem. Wreszcie Catriona przemówiła spokojnym, pięknie modulowanym głosem:

– Krewni i przyjaciele. Jest taka tradycja wigilijna, która w ostatnich latach popadła w zapomnienie, choć dobrze pamiętam ją z dzieciństwa. To *Oidche Choinnle*... gdyż dziś wypada Noc Świec. Zwyczaj nakazuje zapalić świece i postawić je w oknach, prawdopodobnie po to, by bezpiecznie sprowadziły nieznanym w nasze progi. Symbolizują one dobrą wolę i obietnicę ognia, przy którym można się ogrzać. Proponuję więc, abyśmy i dziś, gdy pięcioro członków naszej rodziny jest poza domem, a na naszych ziemiach szaleje śnieżycą, postawili je w oknach... – tu wykonała gest i służący wynieśli z kuchni pudełka białych prostych świec – a wtedy nasi najbliżsi wrócą bezpiecznie do domu. – Przerwała, gdy pokojówki i lokaje rozeszli się po sali, a po chwili kontynuowała: – We dworze jest wiele okien. Proszę, aby każdy z obecnych wziął świecę, zapalił ją i postawił na kamiennym parapecie jednego z nich.

Znowu przerwała, aby zaczerpnąć powietrza. Jej delikatny ciepły uśmiech sprawił, że w pokoju zapanował spokój. Potem podniosła rękę.

– Weźcie po świece, zapalcie je i ustawcie w pustych oknach, a potem wróćcie, napijcie się świątecznego grzańca i skosztujecie słynnych babeczek naszej kucharki.

Pierwsze zerwały się dzieci; zebrały się przy kominkach, zapaliły swoje świece, a potem pospieszyły do holu i rozeszły się po całym dworze.

– Przynajmniej nie mogą biegać – rzucił ironicznie Daniel do Claire i Melindy – bo inaczej zgasłyby

im świece.

Guwernerzy i guwernantki, każdy z zapaloną świecą w dłoni, rozproszyli się po domu, podążając za podopiecznymi, ale nie narzucając im dyscypliny; w spokojnej, pogodnej atmosferze po korytarzach krążyli dorośli Cynsterowie, młodzież, pokojówki, dzieci służących. Daniel widział nawet Algarię, Helenę i McArdle'a, którzy pomagali sobie nawzajem; przed wyjściem z sali obejrzał się i zobaczył, że powoli idą do biblioteki. Po tej stronie dworu było mnóstwo okien, ale większość zebranych udała się na górę, aby zadbać o okna w licznych wieżach i wieżyczkach.

Daniel wraz z innymi obszedł wyższe piętra. Znalazł puste okno i zatrzymał się przy nim, by postawić na parapecie świecę.

Claire przechodziła obok; przystanęła i spojrzała w mrok nocy.

– Dla kogoś na zewnątrz to miejsce, z płonącymi świecami w oknach, będzie wyglądało magicznie.

– Jak powiedziała nasza gospodyni, będzie przyciągało obietnicą bezpieczeństwa – zauważył Daniel.

Claire zerknęła na niego z uśmiechem, lecz potem zawołały ją dziewczęta i pospiesznie ruszyła dalej ze świecą w dłoni.

Daniel miał ochotę pójść za nią, jednakże usłyszał głosy kilku chłopców, które dobiegły od strony schodów, więc skierował się w tamtą stronę. Sprawdził, co się dzieje, ale wszystko było w porządku; przed powrotem do Wielkiej Sali chłopcy czekali po prostu, aby ostatni z nich postawił świecę w stopionym wosku wylanym na kamienny parapet.

– Nie chcę, by ominęły mnie babeczki! – oznajmił Calvin.

Powiódł grupę w kierunku schodów prowadzących do głównego holu.

Daniel krążył jeszcze po piętrze, zaglądając do różnych wież i wieżyczek.

Dotarłszy do północno-zachodniej wieży, usłyszał ciche głosy i spojrzał w górę. Za zakrętem schodów, przy oknie, dostrzegł księcia i księżnę. Księżę zdążył już gdzieś postawić świecę, gdyż ręce miał puste; stał obok żony, która wylała wosk na parapet, uważanie umieściła w nim swoją i przytrzymała. Potem uniosła głowę i popatrzyła za okno.

Żadne z nich się nie odezwało, lecz księżę położył rękę na ramieniu żony i razem tak trwali w milczeniu, spoglądając w ciemność.

Byli tam obaj ich synowie, w małej chacie zagrodnika w lesie, zdani na łaskę największej śnieżycy. Choć oboje wiedzieli, że ich dzieci są już prawie dorosłe, silne i na tyle mądre, by przetrwać, Daniel rozumiał, że się martwią.

Troska o potomstwo nie omijała nawet możnych tego świata.

Oddalając się cicho i zostawiając parę książęcą samą na wieży, ruszył dalej, by napotkać w sąsiedniej północno-zachodniej wieżyczce swoich gospodarzy. Richard Cynster, tak jak jego brat, księżę, stał we wnętrzu z Catrioną, która jak jej bratowa ustawiała w wylanym wosku świecę.

Patrząc na żonę ciemnoniebieskimi oczami, Richard się zawahał i rzekł cicho:

– Zdajesz sobie sprawę, że nie wrócą na czas, aby zobaczyć palące się świece.

Catriona lekko odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Liczy się myśl... i to dosłownie. W intencjach i uczynkach jest energia i to ma znaczenie. To robi różnicę.

Patrząc w twarz żony, Richard nie zaprzeczył. Daniel znał go i wiedział, że Richard zrobiłby wszystko, aby dzieci wróciły bezpiecznie do domu.

Odwrócił się i kontynuował obchód.

Upewniwszy się, że wszystkie dzieci Cynsterów, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy, wracają do Wielkiej Sali, szedł po głównych schodach i ruszył za nimi.

Wkraczając do Wielkiej Sali głównym wejściem, usłyszał cienkie głosy śpiewające starą kolędę *Here We Go A-Wassailing*^[3] – nader stosowną, gdyż właśnie wnoszono i stawiano na stołach ogromne wazy z grzany piwem. Na końcu podwyższenia, przed pustymi w tej chwili fotelami starszyny, zebrał się na

poczekaniu chór.

Uśmiechy na twarzach zebranych mówiły, że wszyscy się radują, gdy dzieci, od najmłodszych do najstarszych – z rodu Cynsterów i rodzin miejscowych – śpiewały wysokimi głosami, pod przewodnictwem kilku należących do dorosłych barytonów, tenorów, sopranów i altów.

Sam nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu, Daniel rozejrzył się i zobaczył Ravena i Morrisa, którzy wracali od strony biblioteki. Każdy towarzyszył jednej ze starszych pań, za nimi zaś podążał McArdle. Obie damy spoglądały na chór z wyraźnym zachwytem, a przynajmniej wdowa.

Policzywszy szybko głowy dzieci, Daniel się upewnił, że wszyscy ich podopieczni już wrócili. Teraz albo śpiewali jak anioły, albo popijali małe ilości grzanego piwa i ochoczo pałaszowali babeczki.

Pod wpływem ogólnej wesołości, uśmiechając się jeszcze szerzej, ruszył w stronę Claire i Melindy, które również sączyły grzańca i jadły przypieczone na złoto ciastka. Zanim jednak do nich dotarł, stanęła przed nim pokojówka, która podsunęła mu duży drewniany kubek z piwem i talerz babeczek; biorąc od niej piwo, Daniel poczęstował się ciastkiem, podziękował rozpromienionej dziewczynie uśmiechem i półukłonem, a następnie podszedł do Claire.

Rozmowa przybrała ogólny charakter; babeczki z korzennymi bakaliami były pyszne, a grzane piwo, złote, ale pachnące przyprawami, pomogło złagodzić pozostałe jeszcze napięcie. Chociaż zapalenie świec w oknach nie sprowadziło magicznym sposobem pięciorga starszych dzieci do domu, panowało powszechne poczucie, że zrobiono wszystko, by nieobecni wrócili cali i zdrowi.

Raven i Morris przyłączyli się do grupy. Daniel razem z innymi zerkał czujnie na podopiecznych, lecz przecież była Wigilia – i gdy tylko dzieci zjadły babeczki i dopiły piwo, sennie ruszyły ku schodom.

Melinda zachichotała.

– Dziś nie trzeba ich zapędzać do łóżek.

– W istocie. – Morris się uśmiechnął. – To jedyny wieczór w roku, kiedy guwernantki i guwernerzy nie muszą namawiać podopiecznych, by udali się spać.

Wyjście dzieci Cynsterów podziało na innych; niebawem rodziny domowników i służby, ze śpiącymi maluchami na rękach, także wymamrotały pożegnania i opuściły salę.

Podsuwając pusty kubek wciąż roześmianej służącej, Raven stłumił westchnienie.

– Ja też idę spać. To był długi dzień. – Uniósł brwi, patrząc na innych. – A wy?

Morris i Melinda kiwnęli głowami. Daniel zerknął na Claire i pochwycił jej spojrzenie.

– Zaraz przyjdziemy – odparł.

Patrząc mu w oczy, Claire potwierdziła i spojrzała na Melinę.

– Niedługo przyjdę.

Odwracając się, Melinda machnęła ręką.

– Nie spiesz się. Może i jest Wigilia, ale na wszelki wypadek zajrzę do dziewcząt, abyś ty nie musiała już tego robić. Nie martw się o nie.

– Dziękuję ci – odparła Claire.

Stojąc obok niej, Daniel patrzył, jak inni wychodzą do holu. Gdy zniknęli z pola widzenia, rozejrzył się wokół. Tłum szybko się przeredzał. W przeciwieństwie do młodszych Cynsterów, trójka seniorów ponownie usadowiła się w fotelach i nie licząc ich oraz kilku służących, wnoszących ostatnie półmiski, wazy i kubki, on i Claire należeli do nielicznych z towarzystwa, którzy jeszcze zostali.

Panie z rodu Cynsterów zabierały szale, a panowie prostowali nogi; najwyraźniej oni także szykowali się wyjścia.

Dotykając ramienia Claire, Daniel wskazał wnękę przy centralnym kominku.

– Usiądźmy tam. Wygląda na to, że wszyscy już idą, więc będziemy mogli swobodnie porozmawiać, na osobności, choć na widoku, by się tak wyrazić. – Miał nadzieję, że dzięki temu ostatniemu poczuje się spokojniejsza.

Claire skwapliwie skinęła głową i razem ruszyli w stronę kamiennej ławy we wnękę przy kominku.

Była na tyle duża, by mogli wygodnie usiąść na niej oboje, a kiedy to uczynili, zniknęli w cieniu szerokiego gzymsu, dzięki czemu miejsce to stało się jeszcze ustronniejsze.

Usłyszeli wybuch śmiechu; minęli ich książę i księżna, prowadzący innych Cynsterów w stronę głównego wyjścia, niewątpliwie zmierzając do salonu, w którym grupa ta zazwyczaj spędzała wieczory po kolacji.

Książę, idąc z księżną pod rękę, doszedł do łuku – i przystanął.

Daniel i Claire przyglądali się tej małej procesji. Książę uniósł głowę i na jego twarzy o surowych rysach z wolna pojawił się łobuzerski uśmiech.

Patrzył na wiszącą w górze pęk jemioli.

W skutek niepokoju o nieobecnych uczestników wyprawy konnej i z powodu panującego podniecenia nikt jej do tej pory nie zauważył.

Książę szybko opuścił wzrok – na małżonkę, która właśnie spojrzała tam, gdzie on.

– Och! – Otworzyła szeroko ciemne oczy.

– W rzeczy samej. – Objął żonę w wąskiej talii, pochylił się i pocałował ją namiętnie.

Pozostałe pary przyglądały się temu z pobłażliwymi uśmiechami.

W końcu książę podniósł ciemną głowę, a księżna wyrwała się z jego objęć, zaczerpując tchu ze śmiechem.

– Doprawdy, Wasza Książęca Mość! – Usiłowała zmarszczyć czoło, lecz była zbyt rozbawiona.

Devil Cynster, książę St. Ives, rzucił znaczące spojrzenie bratu i kuzynom, czekając, by oni z kolei przeszli pod łukiem. Nieskruszony, uśmiechnął się szeroko; znowu podniósł wzrok, wyciągnął rękę i zerwał gałązkę z białymi owocami, po czym wetknął ją do kieszeni.

– Zostało ich jeszcze mnóstwo – powiedział i nie oglądając się, pociągnął za sobą żonę. – Chodź, moja droga. Jak zwykle to my przecieramy szlaki.

Zostało to przyjęte śmiechem i okrzykami, ale kolejne pary poszły za przykładem gospodarzy, przed przejściem do salonu całując się długo, namiętnie, lecz jednocześnie czule pod wiszącą jemiolą.

Wreszcie Claire i Daniel zostali w sali sami, z wyjątkiem trójki najstarszych z towarzystwa, którzy jednak drzemali w fotelach przy kominku.

Na lepsze warunki do rozmowy nie mogliby liczyć.

Daniel zwrócił się ku Claire, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, położyła mu dłoń na ramieniu. Wciągnęła głęboko powietrze, spojrzała mu szybko w twarz i zaczęła przyciszonym głosem:

– Muszę panu coś wyjaśnić. – Zwilżywszy usta, ciągnęła: – Myślałam... nadal myślę... że... – Znowu zaczerpnęła powietrza i wypuściła je. – Że... nie wyszłabym... nie wyjdę powtórnie za mąż. Że nigdy nie będę tego chciała... i to niezależnie od konkurenta. Tu chodzi o mnie... o to, co czuję... czułam... po poprzednim małżeństwie, o to, co sobie obiecałam.

Przerwała, spojrzała na niego z ukosa i cofnęła rękę.

– Czułam... czuję... że przyjmując oświadczyzny poważnego i uczciwego dżentelmena, jak pan, postąpiłabym nieuczciwie.

Daniel ściągnął brwi. Otworzył usta, lecz Claire opuściła wzrok i zanim cokolwiek powiedział, dodała pospiesznie:

– Gdyż nie mogłabym dać mu tego, na co by zasługiwał.

Wreszcie odpowiadając na jego spojrzenie i patrząc mu błagalnie w oczy, jakby prosiła o zrozumienie, zaczęła wyjaśniać:

– Byłoby niewłaściwe, gdybym przyjęła oświadczyzny kogoś takiego, ponieważ nie mogę... – Zmarszczyła czoło, szukając odpowiednich słów. – Ponieważ nie jestem pewna... nie jestem w stanie obiecać... że byłabym dla niego prawdziwą małżonką... że zaoferowałabym mu należną miłość, wsparcie i szacunek. Nie wiem, czy w ogóle mogłabym ponownie wyjść za mąż. – Urwała. Potem, jakby nagle rozwiązał jej się język, rzekła cicho, patrząc coraz bardziej nieobecny wzrokiem przed siebie: –

Nie sądzę... Nie wierzę, że moje serce by było od tego zdolne. – Po chwili się poprawiła: – Że zrobiłabym to całym sercem.

Daniel nie wiedział, co o tym myśleć. Wszystko wskazywało na to, że pierwsze małżeństwo i śmierć męża odcisnęły na niej piętno; spodziewał się tego, nie sądził jednak, że to będzie tak brzemiennie w skutki. Że cień jej męża sięgnie z grobu tak daleko i nie pozwoli jej już nikogo poślubić.

Zastanawiał się nad tym oszołomiony i zbity z tropu; zanim jednak podjął świadomą decyzję, by się odezwać, z jego ust wyszły słowa:

– Czy pani zmarły mąż by tego chciał? – Obracając się na ławie, spojrzał Claire w oczy, nie pozwalając jej opuścić wzroku. – Chciałby, aby jego wspomnienie wstrzymywało panią do końca życia? Nie pozwoliło pani zaznać już szczęścia, choćby los je pani zsyłał?

Zaskoczona, Claire zamrugała – i zapatrzyła się w dal. Przez jedną długą chwilę miała wrażenie, jakby świat wokół niej zawirował; tylko spokojne spojrzenie Daniela trzymało ją na miejscu. Przez moment szok – wywołany uświadomieniem sobie prawdy, fundamentalnym objawieniem – był tak silny, że zabrakło jej tchu. Odetchnęła z wysiłkiem. Umykając spojrzeniem w bok i wciąż dochodząc do siebie, wymamrotała:

– Nigdy tak o tym nie myślałam.

Naprawdę.

Wydawało jej się, że przysięgając sobie, iż nigdy nie weźmie nawet pod uwagę ponownego małżeństwa, będzie się chronić. Czy to możliwe, że wręcz przeciwnie, wyrządza sobie krzywdę? Odmawia sobie czegoś? Odcina się od życia i tego wszystkiego, co mogłaby mieć?

Ta nagła refleksja była tak uderzająca, że Claire na chwilę otepiała. Zupełnie otepiała. Nie mogła myśleć.

A co dopiero mówić.

Gdy tak milczała, Daniel nachylił się ku niej.

– Rozumiem, że chce pani uszanować jego pamięć, wynieść wspólne wspomnienia na piedestał i nie dopuścić, by związek z innym mężczyzną to przysłonił. To bardzo szlachetne, ale niezyciowe. – Wzięła ją za rękę i w tym geście, w jego intensywnym spojrzeniu wyczuła szczerą, poważną intencję. – Rozumiem, że tak pani myśli, Claire, lecz co pani czuje?

Pragnę cię.

Te słowa ponownie zabrzmiały echem w jej głowie; miała je na końcu języka, ale była zbyt poruszona i dezorientowana, by je wypowiedzieć. Odwzajemniając jego spojrzenie, przełknęła ślinę i odpowiedziała ledwie słyszalnym zbolałym szeptem:

– Czuję się... rozdartą. – Gdy chciał się odezwać, szybko podniosła wolną dłoń i położyła mu palec na ustach. – Nie, proszę. Trudno mi o tym rozmawiać i nie jestem pewna, czy sama wiem, czego chcę. Przez długi czas żywiłam przekonanie, czułam całym sercem, że nie potrafiłabym ponownie stanąć przed ołtarzem. Że już mnie na to nie stać... nie, niech pan nic nie mówi. To nie tak, jak pan myśli. Nie chodzi o pana... chodzi o mnie. Nie wiem, czy mam jeszcze w sobie to coś, czego trzeba, by poślubić mężczyznę. Musiałabym zaufać... a nie jestem pewna, czy jeszcze umiem.

Wiele wysiłku kosztowało ją to, by siedzieć tam i patrzeć mu w oczy, podczas gdy miała ochotę wstać i uciec.

Pragnę cię.

Jedna jej część czepiała się tego – nie chciała ustąpić i pozwolić drugiej temu zaprzeczyć, odmówić sobie i jemu, mimo że tamta była wciąż przekonana, iż to nieuniknione, że tak trzeba.

Nie ma szansy, nie ma przyszłości. Ani dla niej, ani dla nich obojga.

Ale on patrzył jej w oczy.

Poczuła, że coś w niej pęka, rozpada się, jednak nie miała siły – albo odwagi – by pojąć, czego chce tak naprawdę.

– Sama nie wiem.

Te słowa były wyrazem duchowego zamętu, bolesnej rozterki; Daniel instynktownie mocniej uściskał jej dłoń.

– Nic nie szkodzi.

Zraniono ją. Zrozumiał to nagle z całą jasnością. Nawykł radzić sobie z rozterkami innych; może nie była uczennicą, podopieczną – ale przecież kimś... ważniejszym. Poczował się do opieki nad nią bardziej niż nad nimi.

Nawet jeśli jeszcze tego nie pojęła ani nie godziła się na to.

W tej samej chwili ujrzał przed sobą własną drogę.

– Nic nie szkodzi – powtórzył z jeszcze większą pewnością.

Popatrzył jej w twarz i wyczytał dostatecznie dużo z jej miny, z zachmurzonych pięknych oczu, by się zorientować, że nie pora, by wywierać na nią presję. Jeszcze na to za wcześnie.

Musiał się zastanowić, pomyśleć – a ona była zbyt rozemocjonowana; oboje potrzebowali czasu.

Rozejrzał się po prawie pustej sali, po czym spojrzął znowu na Claire i uśmiechnął się uspokajająco.

– Jest już późno. Powinniśmy pójść na górę. Melinda będzie się zastanawiać, co się z panią dzieje.

Claire przełknęła ślinę, skinęła głową i wstała; zabierając dłoń z jego uścisku, zwróciła się w stronę wyjścia. Robiąc pierwszy krok przed siebie, opancerzyła się znowu; była dawną panią Meadows, wdową i guwernantką.

On także wstał. Ruszył z nią ku wyjściu.

Jego wzrok ściągnął ruch na skraju podwyższenia.

McArdle chrapał, ale dwie damy... Uświadomił sobie, że coś wskazują, gwałtownie machają rękami. Spojrzał w tamtą stronę – i ujrzał jemiolę.

Claire doszła tymczasem do wyjścia. Daniel wyciągnął rękę, ujął ją za łokieć i zatrzymał.

Odwróciła się, unosząc brwi.

Wtedy pochylił się i pocałował ją pod jemiolą.

Miał wrażenie, że przez całe życie czekał, by to zrobić, by poczuć, jak jej usta słabną, a potem – cóż za cudowna niespodzianka – odwzajemniają pocałunek.

Może nie pożądliwie, lecz z przekonaniem.

Na moment serce przestało mu bić, a za chwilę zaczęło walić jak młotem.

Raczej instynktownie niż świadomie podniosła rękę i musnęła palcami jego policzek, nie przerywając pocałunku.

Nie chciał, by to się skończyło, ale też bał się ją spłoszyć. Pamiętał, że nie może jej przynaglać, jeszcze nie.

Nie mógł się jednak powstrzymać i przyciągnął ją do siebie – tylko trochę. By poczuć w ramionach obietnicę, jaką ze sobą niosła.

Nie mógł oprzeć się pokusie, by przedłużyć tę chwilę, by sprowokować Claire do odpowiedzi, może bardziej instynktownej niż zamierzonej, ale mimo to odpowiedzi.

Natychmiast wyczuł, kiedy się zreflektowała i oprzytomniała – wtedy od razu się wycofał.

Podnosząc głowę, spojrzął Claire w twarz. Wciąż czuł pulsowanie krwi w skroniach, pragnienie. Spojrzał jej w oczy, po czym powiedział spokojnie:

– Będę panią zdobywał. – Była to prawda, sama prawda. – Chcę mieć panią za żonę i tak łatwo nie zrezygnuję... z pani, z nas obojga. Będę panią przekonywał.

Wyczuwając przepełniające ją napięcie, czule przesunął palcem po jej policzku.

– Chcę, by pani to wiedziała.

Claire zamrugła.

– Jeśli nie będę mogła? Jeśli powiem „nie”?

Nie opuścił wzroku; patrzył na nią jeszcze intensywniej.

– Będę prosił, aż powie pani „tak”. – Wziął jej rękę i uniósł, przesunął ustami po palcach, cały czas spoglądając w jej twarz. – Nie odejdę, Claire... nie zrezygnuję z pani.

W jego oczach było oddanie i miłość. Claire dostrzegła to i wyczuła.

Nic nie mogła powiedzieć – nic nie było do powiedzenia.

Nie w tej chwili. Nie tego wieczoru.

Powoli się cofnęła, uwolniła z jego objęć; on jej na to pozwolił, opuścił ramiona. Odwróciła się bez słowa i ruszyła po schodach.

Daniel poszedł za nią.

Helena na podwyższeniu opadła na oparcie fotela. Uśmiechała się z zadowoleniem.

– Wyśmienicie! Uda mu się!

Algaria prychnęła, lecz nic nie powiedziała.

Rozdział szósty

Wiatr wył i dobijał się do chaty. Śnieg walił w ściany.

Lucilla była świadoma, że na zewnątrz szaleją żywioły, że chłopcy szepczą z niepokojem, siedząc ze zdenerwowanym Jebem wokół stołu przy kominku, ale gdy klęczała przy łóżku za zasłoną z koców, nie miała czasu zajmować się takimi drobiazgami; dziecko było już w drodze i sposób, w jaki zamierzało przyjść na świat, z całą pewnością nie ułatwiał mu zadania.

Trzymała Lottie za rękę – czy raczej Lottie ścisnęła jej palce, próbując przetrwać kolejny z coraz boleśniejszych skurczów. Prudence, niezachwiana jak skała, siedziała po drugiej stronie łóżka i trzymała kobietę za drugą dłoń. Znalazła skórzany pasek, który Lottie mogła gryźć, a gdy ta dyszała między skurczami, próbując nabrać tchu, przemywała jej twarz szmatką zwilżoną stopniakim śniegiem.

Im dłużej trwał poród, tym bardziej Jeb się denerwował, tak że w końcu nie było z niego żadnego pożytku. To Lottie, mimo osłabienia, uspokajała jego, zamiast on ją. Wreszcie włączyła się Lucilla, która wysłała go na drugą stronę zasłony, by dołączył do pozostałych; Lottie pokiwała na to głową i kiedy Jeb zniknął, trzy kobiety mogły skupić się na porodzie.

– Au! – wykrzyknęła Lottie, przygryzając skórzany pasek.

Gdy kolejny ból nagle ustąpił i kobieta, chwytając powietrze, opadła bezwładnie na łóżko, Lucilla zbadała ją szybko, a potem okryła kocem.

– Wszystko idzie jak trzeba. – Lekko uściśnęła Lottie za rękę i spojrzała wymownie na Prudence.

Mówiła prawdę, lecz dziecko się nie obróciło. To musiał być poród pośladkowy. Małeństwo nie znalazło się jeszcze w kanale rodnym, ale wkrótce miało się tam przesunąć – a wtedy należało działać szybko, aby przeżyło. Gdyż tylko wtedy można mu było pomóc.

– Jak się sprawy mają, moje panie? – zapytał Marcus zza zasłony. – Potrzeba wam czegoś?

– Wystarczy, że będziecie dokładać do ognia i grzać wodę. – Lucilla spojrzała na Lottie. – Jeszcze kilka godzin.

Kobieta popatrzyła jej w oczy; gdyby już nie była bardzo osłabiona, chyba padłaby bezwładnie.

– Pomyśl o jutrzejszym ranku. – Prudence pogłaskała ją po rękę. – Obudzisz się i zobaczysz swoje nowo narodzone dziecko w koszyku, a potem weźmiesz je na rękę.

Lottie, z paskiem w ustach, uśmiechnęła się słabo.

– Gdybym wiedziała, że to taka ciężka robota, dwa razy bym się nad tym zastanowiła.

Na ustach Lucilli pojawił się uśmiech.

– Na pewno byś się zdecydowała. Bo chociaż wydanie dziecka na świat jest bolesne, przekonasz się, że warto przez to przejść.

– Uhm. – Lottie anemicznie kiwnęła głową. Oczy jej się zamknęły.

Lucilla spojrzała na Prudence.

– Zaparzę jeszcze ziół. Dobrze jej zrobią, jeśli po przebudzeniu zdoła wypić kilka łyków.

Prudence skinęła głową. Lucilla wstała. Wyprostowawszy nogi, plecy i szyję, odwróciła się i wyszła zza zasłony.

Nagle rozległo się mocne uderzenie w drzwi frontowe.

Wszyscy skierowali wzrok na grube deski. Czyżby spadł jakiś konar złamany przez wiatr?

Nastąpiło kolejne walnięcie i zasuwka powoli się uniosła.

Sebastian, który siedział na taborecie po tamtej stronie stołu, wstał szybko i złapał drzwi, zanim otworzył je wiatr.

Na progu stała zaśnieżona postać, która wpadła do środka. Był to człowiek. Obok niego wpychało się duże, porośnięte gęstą sierścią zwierzę wielkości małego kuca.

Marcus ruszył Sebastianowi na pomoc; razem, zmagając się z wiatrem, w końcu zdołali zatrzasnąć drzwi i zasunąć rygiel.

Zwierzę otrząsnęło się, pryskając śniegiem i kawałkami lodu. Okazało się, że to wielki chart, sięgający człowiekowi do łokcia; potoczył bursztynowymi oczami po chacie, potem usiadł i popatrzył na nich wszystkich.

Lucilla zwróciła spojrzenie na nieznanego. Jaki człowiek wyprawia się z domu w taką pogodę?

Był wysoki – jak Sebastian – jednakże reszta sylwetki skrywała się pod grubą, obszytą futrem peleryną, która dziwnie się układała, jakby znajdowało się pod nią coś jeszcze. Twarz mężczyzny przysłaniał kaptur.

Sądząc po ruchu kaptura, przybysz lustrował obecnych w chacie od prawej do lewej strony. Zaczął od Michaela i Jeba. Potem jego wzrok spoczął na Lucilli i tam się zatrzymał. Znieruchomiał. Jednakże zaraz potem, gdy upewnili się, że drzwi są zamknięte, do izby wrócili Sebastian i Marcus, a wtedy mężczyzna skierował uwagę na nich.

Po pełnej napięcia chwili ciszy podniósł rękę i zdjął kaptur.

Najszybciej zareagował Jeb.

– Pan Carrick! – Zamrugął. – Co jaśnie pan robi na dworze w taką noc?

Grube, wijące się włosy przybysza były obsypane śniegiem. Bursztynowe oczy z cętkami, osadzone pod ciemnymi kreskami brwi, patrzyły na Jeba poważnie i spokojnie. Obrazu urzekająco urodziwej twarzy dopełniały iście patrycjuszowski nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe oraz kwadratowa szczęka.

Thomas Carrick ponownie spojrzał na Lucillę. Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym skłonił głowę.

– Panno Cynster.

Zanim zdążyła odpowiedzieć – wiedziała, kim on jest, lecz nie widziała go od lat – Carrick zwrócił wzrok na Marcusa i skinął głową.

– Cynster.

Marcus odpowiedział tym samym.

– Carrick.

Ten spojrzał następnie na Sebastiana, który stał teraz po jego lewej stronie. Uniósł brew, wyrażając tym uprzejmie pytanie.

Marcus dokonał prezentacji.

– Thomas Carrick... Sebastian Cynster, markiz Earith, nasz kuzyn. A to – kiwnął głową w drugą stronę stołu – Michael Cynster, brat Sebastiana.

– I jeszcze – odezwała się Lucilla, wskazując za zasłonę – Prudence, nasza kuzynka, która siedzi przy Lottie.

Carrick ponownie spojrzał jej w oczy.

Lucilla zdała sobie sprawę, co przede wszystkim chciałby wiedzieć.

– Jechaliśmy wzdłuż grani, wtedy Jeb nas usłyszał i sprowadził tutaj. Oboje z Lottie potrzebowali pomocy, więc jesteście.

Carrick wykonał półukłon.

– Dziękuję za to.

Ponownie skierował uwagę na Jeba; krzywiąc usta – czy miał to być zwykły grymas, czy wyraz skromności, tego Lucilla nie wiedziała – odpowiedział na jego wcześniejsze pytanie.

– Żaden z pasterzy nie widział cię od kilku dni, a ponieważ nie pokazaliście się z Lottie przed śnieżycą... Wiedziałem, że wkrótce spodziewacie się dziecka, a że jest Wigilia, pomyślałem, że może potrzebujecie pomocy.

Carrick wykonał zamaszysty gest; rozchylił pelerynę, wyjął spod niej tobołki z nasączonego olejem płótna i rzucił na stół.

– Przywiozłem jedzenie i picie. Pomyślałem, że się wam przyda.

Chłopcy, patrząc na tobołki, podeszli do stołu. Lucilla też się zbliżyła. Wyglądało na to, że Carrick zabrał ze sobą z doliny połowę spiżarni.

– Jak się jaśnie panu udało to wszystko przewieźć w tym śniegu? – zapytał Jeb.

Carrick, zdejmując pelerynę i wieszając na kołku przy drzwiach, wskazał ruchem głowy front chaty.

– Wziąłem sanie. Zostawiłem je tam.

– Nie przyjechałeś, panie, konno? – zagadnął Sebastian.

Carrick pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne brać konia w taką pogodę.

Razem z innymi przystąpił do rozpakowywania starannie zawiązanych pakunków. Na stole pojawiły się sery, chleb, babeczki bakaliowe, kruche ciastka, osełka masła, szynka, bekon, placek i różne pieczone mięsiwa.

Michael, sięgając po pakunek w kształcie flaszki, zerknął na Carricka.

– To nie lada ryzyko wybrać się samemu w drogę podczas zawiei.

Carrick nie oderwał wzroku od sznurka, który rozwiązywał.

– Nie jestem sam. – Gdy po tej odpowiedzi zapadła cisza, uniósł w uśmiechu kąciki ust i spojrzał za plecy Michaela na psa, który – widocznie uznawszy, że jego panu już nic nie grozi – tymczasem usadowił się przy kominku. – Wziąłem z sobą Hestę. Wyciągnęłaby mnie z każdej zasy.

Wszyscy spojrzeli na wielką sukę, która z lekko uchyloną mordą, ukazując duże zęby, popatrzyła na nich spokojnie.

– Przemysłnie. – Sebastian odwinął jedną z trzech butelek. Podniósł ją.

– Whisky. Jesteś, panie, podwójnie mile widziany.

Carrick uśmiechnął się przelotnie.

Michael odpakował mniejszą butelkę. Zmarszczył czoło.

– Dżin. Nie przepadam za nim.

Carrick zerknął na Lucillę.

– Położna powiedziała, że to może się przydać.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Owszem.

Wyciągnęła rękę po butelkę. Podczas gdy panowie układali jedzenie, odkorkowała dżin i przytknęła go do nosa; poczuła silny aromat jałowca. Podchodząc do garnka z ziołami, który wcześniej zalała wrzątkiem i postawiła na brzegu kominka, wzięła kubek Lottie i nalała do niego małą ilość trunku. Zakorkowawszy butelkę i odstawivszy ją na bok, dołała do kubka naparu, zamieszała napój, po czym wstała i wróciła do stołu.

Obrzuciła wzrokiem rozłożone na blacie pożywienie i gdy Jeb przyniósł blaszane talerze, poleciała:

– Odkrójcie dla Lottie, Prudence i dla mnie kawałek placka, chleba i sera. Postarajcie się, aby zostało trochę szynki na kości. Jeb i Lottie będą mogli zrobić z niej potrawkę, wraz z pozostałymi resztkami mięsa.

Panowie, którzy już przyciągnęli taborety do stołu, tylko pokiwali głowami i odpowiedzieli pomrukami. Zostawiając ich, aby się posilili – szczerze wdzięczna Thomasowi Carrickowi, że pomyślał o Jemie i Lottie, i że zadał sobie trud, by przedrzeć się do nich podczas śnieżycy – Lucilla ponownie wślizgnęła się za zasłonę.

Lottie właśnie zaczerpnęła tchu po kolejnym ataku bólu. Lucilla podała jej kubek i kobieta pociągnęła z niego łyk – a wtedy wytrzeszczyła oczy i spojrzała na nią pytająco.

– Dołałam do naparu trochę dżinu, który przywiózł pan Carrick. To ci pomoże. – Zakładając, że Lottie i Prudence słyszały wszystko, co się działo za zasłoną, spojrzała na kuzynkę. – Musisz być głodna, może dołącz do nich i zjedz trochę placka, zanim go pochłoną.

Prudence zastanowiła się nad tą propozycją i pokręciła głową.

– Na razie zostaną. Lottie i ja przynajmniej już wiemy, co i jak. Lepiej ty się posil i przynieś jedzenie dla Lottie, może coś przełknie. Potem ja pójdę.

Lucilla kiwnęła głową i wstała, zgadzając się z kuzynką, że będzie tu potrzebna później.

– Dobrze. Wezmę, na co mam ochotę, i przyniosę coś dla Lottie. Zaraz wracam.

W Thomasie Carricku było coś, co ją niepokoiło. Nie widziała powodu – i nie czuła chęci – by jeść w męskim gronie przy stole.

Gdy wyłoniła się zza zasłony, natychmiast poczuła na sobie jego wzrok – jakby nasłuchiwał i chciał na nią spojrzeć, gdy tylko znowu się pojawi. Już wstawał; nagle śmiesznie pochlebiona, dała mu znak, by usiadł. Wszyscy inni zapomnieli o manierach.

Starając się zapomnieć o obecności Thomasa Carricka, wypierając ją ze świadomości, zlustrowała półki i zobaczyła drewnianą tacę. Zdjęła ją. Następnie znalazła wysłużone deski do krojenia. Położyła dwie z nich na tacy, a jedną na końcu stołu, po czym nałożyła na nie po kawałku placka oraz serów, plastry szynki i chleb. Na deskę dla Prudence dorzuciła jeszcze udko kurczęcia.

Zadowolona, że będą miały czym się posilić, Lucilla już zamierzała podnieść tacę, zostawiając deskę dla kuzynki na stole, kiedy Carrick, siedzący obok Marcusa przy drugim końcu stołu, obok kominka, i cały czas ją obserwujący, rzekł:

– Przywiozłem także miód pitny, gdybyście, panie, go wołały.

Dużą dłonią pchnął butelkę i kilka kubków w stronę tacy.

Lucilla przystanęła. Lepiej było, by żadna z nich nie zmarzła, a miód z pewnością mógł w tym pomóc. Nie patrząc na Carricka, skłoniła głowę.

– Dziękuję.

Zanim zdążyła wziąć butelkę miodu, Carrick zrobił to sam. Odkorkował ją, nalał złotego trunku do dwóch kubków i podniósł głowę.

– Dwa czy trzy? – zapytał.

– Tylko dwa. – Lucilla wzięła pierwszy kubek i sięgnęła po drugi; palcami musnęła dłoń Carricka, gdy go jej podawał. Powstrzymując potrzebę zaczerpnięcia tchu – przygryzienia wargi czy innej reakcji – spokojnie postawiła oba kubki na tacy. Z jakiegoś nieodgadnionego powodu poczuła się zmuszona dodać: – Wątpię, by Lottie w tej chwili była w stanie go wypić, ale później miód jej dobrze zrobi, zwłaszcza przy tej pogodzie.

To, co przywiózł, nie było przypadkowe; w ogóle to, że przyjechał – zmagając się z zawieją śnieżną, by do nich dotrzeć, wykazana troska – wszystko to zasługiwało na wyraz uznania, choćby i zawoalowany.

– W takim razie – mruknął niskim głosem, niższym nawet niż Sebastiana – cieszę się, że go przywiozłem. – Pochwycił jej wzrok. – Jak sobie radzie Lottie?

Lucilla spojrzała mu w oczy. Nie, nie pytał, by zatrzymać ją dłużej, ani nie robił tego dla zabicia czasu. Naprawdę chciał wiedzieć – i jako jedyny z mężczyzn wykazywał zainteresowanie. Rezerwa, jaką chciała wobec niego zachować, powoli zniknęła.

– Całkiem dobrze.

Ona także mówiła cicho i ich krótka rozmowa utonęła w głośniejszej dyskusji o miejscowych łowach, która wynikła między Michael'em a Marcusem.

Carrick nie opuszczał wzroku; Lucilla czuła się dziwnie bezbronna, gdy tak patrzył jej w oczy i po chwili jeszcze ciszej zapytał:

– Coś jest nie tak, prawda? – Po czym uniósł ciemną brew.

Z jego oczu, wyrazu twarzy wyczytała pewność – wiedział. Przyjechał zdjęty przecuciem, tak jak ona. Oboje zostali wezwani.

Powoli skinęła głową.

– To poród pośladowy, ale Lottie jest silna i jeśli dopisze nam szczęście, wszystko będzie dobrze.

– Ile to jeszcze potrwa?

Podniosła rękę.

– Godzinę. Może dłużej.

Carrick przechylił głowę i opuścił wzrok.

– Dziękuję pani.

Lucilla popatrzyła przez moment na jego ciemną głowę, po czym wzięła tacę i poszła pomóc Lottie wydać dziecko na świat.

Siedzący obok Carricka Marcus spojrzął za nim i zauważył, że ten odprowadza Lucillę wzrokiem.

Marcus, będąc blisko, wyczuwał wokół niego podobną aurę, jaką czuł wokół siostry, matki i Algarii, a nawet, w mniejszym stopniu, wokół ojca, Richarda. Zawsze wydawało mu się, że to cecha, jak mówili miejscowi, naznaczonych przez Panią. Ponieważ Thomas Carrick był jednym z nich, urodził się i wychował w tych stronach, może i on należał do owych wybrańców, choć nie żyło ich tak wielu. Marcus zastanawiał się, czy siostra również wyczuwa tę aurę wokół Carricka; aczkolwiek jeszcze nie znalazła się tak blisko niego. Jak dotąd dzieliła ich szerokość stołu.

Marcus wrócił do toczącej się obok rozmowy, którą Sebastian niezbyt zręcznie skierował na temat psów myśliwskich, i powściągnął uśmiech, gdy kuzyn – uwielbiający psy, zwłaszcza duże – pochylił się i spojrzął na Carricka.

– Pańska Hesta to chart? – zapytał.

Carrick potwierdził.

– Tak, hodujemy je, to znaczy, nasza rodzina.

Przez następne cztery godziny rozmawiali o polowaniach i jeleniach oraz wszystkim innym, co tylko pozwalało im odwrócić uwagę od dochodzących zza zasłony odgłosów i – co ważniejsze – tego, co oznaczały.

Carrick widocznie uznał, że najlepiej pomoże zagrodnikom, jeśli odciągnie uwagę Jeba od tego, co się działo, gdyż stale go o coś zagadywał.

Sebastian odszedł od stołu i przykląkł obok psa, głaskając go po łbie; spojrzął spod uniesionych brwi na Marcusa, gdy on i Michael – również zafascynowani zwierzęciem – niebawem do niego dołączyli. Zapytał przyciszonym głosem:

– Kim właściwie jest Thomas Carrick i w ogóle jego rodzina?

Marcus spodziewał się tego pytania. Odpowiedział szeptem:

– Carrickowie są panami ziem po tej stronie północnej granicy dworu. Ich dobra są mniej więcej tej samej wielkości co nasze, tylko bardziej skaliste i nieurodzajne. Ród nie jest bardzo zamożny, ale radzą sobie. Zajmują się hodowlą owiec, mają wielu rozproszonych zagrodników z małymi chatami, poza tym żyją podobnie jak my.

– Zagrodników, czyli najemnych chłopów? – zapytał Sebastian.

Marcus skinął głową.

– Właśnie. – Obejrzał się przez ramię, lecz Carrick wciąż zajmował rozmową Jeba. Odwracając się z powrotem do Sebastiana i Michaela – oraz psa, który patrzył na niego uważnie – ciągnął: – Thomas jest bratankiem Szalonego Manachana Carricka, głowy rodu. Cała rodzina powszechnie uchodzi za... cóż, łagodnie mówiąc, za ekscentryków.

– Czyli pomyłonych – mruknął Michael.

Marcus przytaknął.

– Manachan nie jest pomyłony, rzecz jasna, ale to nieobliczalny stary despota, który lubi gorszyć sąsiadów. Thomas – wskazał mężczyznę przy stole – ma opinię jedyne go poczytalnego Carricka w okolicy. Niestety, nie on jest dziedzicem Manachana, ale jego kuzyn Nigel, a ten to już prawdziwy szaleniec, choć w jego szaleństwie jest metoda.

Sebastian milczał przez chwilę, głaskając charta, a potem mruknął:

– A zatem Carrickowie są inteligentni, lecz uznają tylko swoje zasady.

Marcus zamrugał, a potem skinął głową.

– Doskonałe podsumowanie.

Wstał, by wrócić do stołu, gdy powietrze przeszył okropny, stłumiony okrzyk.

Jeb się wzdrygnął, podniósł się, jakby chciał wstać, i usiadł z powrotem,

Marcus napotkał spojrzenie Carricka, usiadł na stołku obok Jeba i pociągnął go za rękaw.

– Zauważyłem w twojej oborze owce. Mają taką gęstą miękką wełnę. Pasiesz je na wysoko położonych łąkach?

Jeb zamrugał, skupił się na pytaniu, a potem odpowiedział z roztargnieniem.

W ten sposób Marcus i Thomas Carrick postarali się pomóc Jebowi przetrwać pierwsze godziny ojcostwa.

Wysoko w jednej z wież, na wysuwającym łóżku w pokoiku Melindy Spotswood, Claire leżała pod pierzyną i patrzyła niewidzącym wzrokiem w ciemność.

Na wąskim łóżku po przeciwnej stronie pomieszczenia Melinda spoczywała na boku i patrzyła w ścianę.

Claire nie mogła zasnąć od godziny, odkąd się położyła.

Nagle Melinda westchnęła. Nie odwracając się, zapytała:

– Dlaczego nie śpisz? Niemal słyszę, jak myślisz.

Claire zerknęła przez mrok w jej stronę.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Po chwili Melinda zagadnęła: – Czy mogę ci jakoś pomóc... choćby tylko słuchając?

Claire się zawahała. Coś przyszło jej do głowy.

– Myślałaś kiedykolwiek o tym, by wyjść za mąż, mieć własną rodzinę, a nie przez całe życie zajmować się dziećmi innych?

– O, tak. – Niespodziewanie w głosie Melindy pojawiła się ciepła, nostalgiczna nuta. – Byłam kiedyś zaręczona z pewnym młodym człowiekiem. Nie mogłam się doczekać, kiedy go poślubię i będę wychowywać nasze dzieci. – Jej ton złagodniał. – Byliśmy zaręczeni przez dwa lata i już mieliśmy wyznaczyć datę ślubu, gdy Napoleon uciekł z Elby i mój narzeczony poszedł na wojnę. Później oświadczało mi się kilku mężczyzn, ale ja wciąż kochałam tamtego.

Melinda zerknęła przez ramię na Claire.

– Ale przecież wiesz, o czym mówię.

Claire była zadowolona, że wokół panuje ciemność.

Odwracając głowę, Melinda ciągnęła:

– Chociaż straciłam ukochanego i opłakiwałam go, najważniejsze, że zaznałam miłości. Wiedziałam, jak to jest: kochać i być kochaną, żywić tę nadzieję, która się w tobie rodzi i podnosi cię na duchu, przeżywać radość, jaką daje oczekiwanie na upragnioną wspólną przyszłość. Miałam to wszystko i nawet jego śmierć nie mogła mi tego odebrać. To doświadczenie nauczyło mnie jednego i przekazuję to swoim podopiecznym, każdej z nich... że jeśli trafia ci się szczęście, nie wzbraniaj się przed nim. Nie tylko je przyjmij, lecz wręcz chwytaj obiema rękami, bo nie wiesz, co niesie przyszłość, a tymczasem możesz się nim cieszyć. Jeśli to zrobisz i weźmiesz, co zsyła ci los, to niezależnie od tego, co się stanie, przynajmniej będziesz miała na starość wspomnienia, tak jak ja. A jeśli to odrzucisz, a później los cię pominie i nie dostaniesz następnej szansy na szczęście i miłość, to co cię ogrzeje podczas samotnych dni i nocy?

Claire zastanowiła się nad jej słowami.

– Dziękuję ci – wymamrotała po chwili.

Melinda zaśmiała się cicho; kiedy układała się wygodnie w łóżku, zaszeleściła pościel.

Claire wciąż patrzyła przed siebie, odtwarzając w pamięci – jakżeby nie – przebieg swojej ostatniej rozmowy z Danielem. Udało jej się wyłożyć istotę problemu – to, że ma za mało wiary, nie potrafi zaufać na tyle, by wyjść ponownie za mąż. Żywiła nadzieję, że rozumiał, iż to nie jemu nie ufa, lecz sobie. Że nie wierzy, iż po doświadczeniach z pierwszego małżeństwie będzie jeszcze potrafiła kogoś pokochać – tak jak należy.

A wtedy on zachwiał tą jej pewnością, tak że teraz miała mętlik w głowie.

Czy pani zmarły mąż by tego chciał? Chciałby, aby jego wspomnienie wstrzymywało panią do końca życia? Nie pozwoliło pani zaznać już szczęścia, choćby los je pani zsyłał?

Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, aby tak na to spojrzeć, i gdy Daniel w ten sposób przedstawił całą sprawę – tak podsumował jej stanowisko – życie, które dotychczas wiodła, straciło fundament, a przyszłość stanęła pod znakiem zapytania.

Tylko głupiec popełnia dwa razy ten sam błąd. Kiedyś się zakochała i wyszła za mąż, co doprowadziło do katastrofy. Jeszcze niedawno była pewna, że nie pójdzie drugi raz tą drogą.

Jednakże jej uczucie do Randalla było dziewczęcym rojeniem, czymś ulotnym i nietrwałym – ostatecznie pozbawionym podstaw. Wówczas nie miała świadomości tego, ale teraz musiała to przyznać. Podczas gdy to, co czuła do Daniela – ta nagła wrażliwość zmysłów, poczucie jego bliskości, gdy tylko podchodził, intensywność doznań, jakie w niej budził – było czymś nowym, czego wcześniej nie знаła.

Tak, tylko głupiec nie uczy się na błędach, ale czy wyciągnęła właściwe wnioski? Czy nie zrozumiała opacznie tej nauki i nie usprawiedliwiała własnego tchórzostwa – nie chcąc ryzykować, że znowu zostanie zraniona i będzie cierpieć?

Byłaby niemądra, gdyby pozwoliła Randallowi, nieprzyzwoitemu kłamcy – który zrujnował jej życie – by jeszcze po śmierci przeszkodził jej... zaznać szczęścia i miłości z Danielem. Bo czyż nie to Daniel jej oferował? A jeśli tak, czy nie powinna pójść za roztrofną radą Melindy?

Powiedziała Danielowi prawdę; poczuła, że jego słowa podważyły sens jej egzystencji i zachwiała ją.

Miała wrażenie, że musi znowu odnaleźć swój wewnętrzny kompas, a z nim kierunek, w którym zmierza.

Że od czasu śmierci Randalla błądzi w mroku, zagubiona.

Jeśli Melinda nie myliła się – a trzeźwa, racjonalna część Claire potrafiła dostrzec prawdę, stając wobec niej – to skoro Daniel oferował miłość, należało odsunąć od siebie lęk – lęk przed ponownym zranieniem, nie, cierpieniem – i zaryzykować. Przyjąć jego propozycję.

Przyjąć jego zaloty, a następnie oświadczyć, jeśli z nimi wystąpi.

Wszystko jednak zależało od tego, czy on naprawdę ją kocha. Kiedyś myślała, że jest kochana, ale tylko głupio się łudziła.

Niezależnie od rady Melindy, byłaby naprawdę naiwna, gdyby drugi raz popełniła ten sam błąd.

A zatem, czy Daniel ją kocha?

Skąd mogła to wiedzieć?

Może powinna go spytać, dlaczego chce pojąć ją za żonę. Gdyby ją przekonał, że żywi do niej miłość, przynajmniej na tyle, by mu zaufała, może by zaryzykowała i odpowiedziała „tak” na jego propozycję?

Lecz czy naprawdę ją kocha? Jak miała się o tym przekonać?

Z tym pytaniem w głowie zasnęła.

Rozdział siódmy

Dźwięki dochodzące zza zasłony mogły przerazić nawet najdzielniejszego mężczyznę.

Thomas przynajmniej zjawił się tam świadomie, poza tym nie mógł uciec przed tą próbą, natomiast trzech młodzi Cynsterowie przypadkiem utknęli w tej małej przestrzeni, z kobietą w czasie porodu, i z powodu szalejącej na dworze zawiei nie mieli jak się stąd wydostać.

Musiał przyznać Sebastianowi, Michaelowi i Marcusowi Cynsterom, że nie wycofali się do obory. Wcześniej Marcus zrobił wszystko, by zająć uwagę Jeba, nakłaniając go do pokazania owiec o długim runie, które hodował. Teraz jednak nieszczęśnik siedział przy stole naprzeciwko Thomasa, ściskając dłońmi kubek whisky, by w ten sposób powstrzymać je od drżenia. Twarz miał bladą jak trup, gdy z rosnącą trwogą spoglądał na zasłonę, za którą znajdowała się jego żona.

Ta najpierw wydawała urywane krzyki, a teraz miotała ledwie zrozumiałe przekleństwa – przeważnie pod jego adresem. I pod adresem mężczyzn w ogólności. Niektóre bardzo wymyślne.

Thomas słyszał, że takie rzeczy zdarzają się nawet w najlepszych małżeństwach. Mężczyźni zwykle byli tego nieświadomi – gdyż zazwyczaj przy takich okazjach znajdowali się gdzie indziej.

Niestety, tej nocy nie było to możliwe.

Lecz przynajmniej przebywali w cieple. Upomnieni przez tę drugą pannę – Prudence, która wyłoniła się zza zasłony, odnosząc pustą tacę – by dorzucali do ognia i cały czas gotowali wodę, Thomas i trzech Cynsterowie posłusznie wypełniali polecenie i mimo szalejącej na dworze śnieżycy w chacie było całkiem znośnie.

Ukradkiem zerknął na zegarek. Godzina, może więcej, powiedziała Lucilla; według jego oceny już część tego czasu minęła.

Hesta, która wyciągnęła się sennie po jednej stronie kominka, nagle podniosła łeb.

Thomas to zauważył i stężał.

Okiennice za jego plecami otworzyły się nagle i uderzyły o ścianę domku.

Do środka wpadło lodowate powietrze ze śniegiem, które uniosło zasłonę.

Trzy kobiety krzyknęły.

Natychmiast znalazł się przy drzwiach. Zatrzymał się tylko na moment i zawołał do Hesty, by leżała, po czym wypadł na dwór.

Drzwi się nie zatrzasnęły, lecz nie dbał o to; zauważył, że Cynsterowie skoczyli za nim, i był pewien, że przytrzymają je do jego powrotu.

Musiał zamknąć okiennicę i ponownie ją zabezpieczyć, bo inaczej dziecku, gdy się narodzi, groziło zamarznięcie, a w każdym razie śmiertelne przeziębienie.

Na dworze panowało istne szaleństwo. Uderzony podmuchem wiatru, Thomas zachwiał się. Zaparł się jednak, wbijając buty w śnieg, i ruszył przed siebie. Potem skręcił i zaczął posuwać się wzdłuż frontowej ściany chaty.

Zaspy sięgały mu prawie do kolan. Każdy krok był walką.

Dotarł do pierwszej okiennicy, chwycił ją i nie zważając na to, że straszliwie marzną mu palce, odciągnął od ściany. Zmagając się z wiatrem, zmienił pozycję i z desperacją naparł na deski całym ciężarem, próbując je zawrzeć.

Spojrzał na drugą okiennicę; nie mógł jej dosięgnąć, przytrzymując pierwszą.

– Ja się zajmę tamtą!

Obrócił głowę i zobaczył Sebastiana Cynstera, który minął go, brnąc przez śnieg.

Patrzył, jak ten próbuje odciągnąć okiennicę od ściany, ale przeszkadza mu w tym wiatr.

Sebastian miał z osiemnaście lat. Thomas zbliżał się do dwudziestki. Aczkolwiek byli tego samego

wzrostu, nawet taka niewielka różnica wieku miała wpływ na ich budowę; Thomas był potężniejszy, zwłaszcza w ramionach.

Sebastian wydawał się najmocniej zbudowany z obecnych w domku i najsilniejszy, jednakże Thomas przewyższał go tężyzną.

Zwilżając usta, już spierzchnięte, zawołał poprzez wichurę:

– Chodź, przytrzymasz tę! Ja zajmę się tamtą!

Sebastian się zawahał, ale na szczęście tylko przez moment. Z pewnością niełatwo mu było pogodzić się z tym, że Thomas poradzi sobie z czymś, z czym on nie mógł; był jednak na tyle pewny siebie, by nie unieść się ambicją, co Thomas przyjął z wdzięcznością.

Sebastian dotarł do niego i całym ciężarem przygwoździł okiennicę. Thomas ją puścił; obchodząc tamtego z pochyloną przed wiatrem głową, z trudem pokonał odległość dzielącą go od następnego okna.

Chwycił okiennicę – choć prawie nie miał już czucia w palcach. Zaciskając zęby, zaparł się i pociągnął. Daremnie. Przeklął cicho i szarpnął ponownie – a tu nagle wiatr ustał.

Thomas potknął się i prawie upadł, kiedy okiennica, przyciskana do ściany siłą wiatru, odchyliła się i zatrzasnęła.

Sebastian uderzył otwartą dłoń w drugą okiennicę, podczas gdy Thomas odzyskał równowagę i grunt pod nogami.

Tamten, gdy tylko oparł się o drugą okiennicę, sięgnął ku zasuwie. I przeklął.

– Jest uszkodzona – oznajmił.

Thomas podniósł głowę. Żelazna obręcz, w którą wchodził skobel, została wyrwana. Jednak znowu zawiął zimny wiatr; musieli zabezpieczyć okiennice, a żaden z nich nie mógł dłużej przebywać na mrozie. Starając się nie oddychać zbyt głęboko – by nie wciągać do płuc lodowatego powietrza – opuścił wzrok na gruby drewniany parapet.

Podniósł głowę i zawołał, przekrzykując wiatr:

– Mam pomysł! Dasz radę utrzymać je obie zamknięte?!

Sebastian, opierając się całym ciałem na okiennicach, spojrział na niego i tylko kiwnął głową.

Thomas zaczerpnął płytko powietrza, odepchnął się od ściany chaty i skręcił za róg, gdzie zostawił sanie. Podziękował niebiosom za to, że po tamtej stronie domku było zaciszniej i nie nawiało tyle śniegu; mimo że miał zgrabiące palce, w niespełna minutę wyjął ze skrzyni u podstawy sanie to, czego potrzebował.

Wsadził do kieszeni kliny, które wtykało się pod płozy, i wziął drewniany młotek. Z pochyloną głową wrócił za róg. Znowu uderzył go wiatr, tak że musiał walczyć z lodowatym podmuchem.

Sebastian tymczasem przywarł do obu okien. Patrzył, jak Thomas brnie ku niemu i uśmiechnął się przelotnie, kiedy zobaczył, że wyjął z kieszeni klin i wetknął go pod pierwszą okiennicę.

Dwie minuty później wbił po dwa kliny do każdego okna.

Sebastian się odsunął. Obaj zaczęli chwilę, ale choć wiatr szarpał i miotał okiennicami, kliny trzymały.

Spojrzał na Thomasa i wskazał drzwi. Ten, wetknąwszy młotek do kieszeni, odpowiedział skinieniem głowy. Nie mógł mówić.

Ruszyli ku wejściu, ale Thomas się zachwiał.

Sebastian się zatrzymał, wyciągnął do tyłu rękę i chwycił Thomasa za ramię.

– Idźmy razem! – wydyszał. – Tak będzie nam łatwiej!

Wsparci na sobie, idąc, stawiali większy opór wiatrowi.

Dotarli do drzwi i padli na nie; otworzyły się natychmiast i obaj zostali wciągnięci do środka.

Thomas znalazł się przy stole, posadzony na stołku; zajął się tym Marcus. Sebastian wylądował na sąsiednim taborecie, zawleczony tam przez brata.

– Najpierw ręce! – nakazał kobiecy głos zza zasłony.

– Tak, wiemy – mruknął Marcus.

Ujął dłonie Thomasa i włożył jedną po drugiej do miski z letnią wodą. Czy może zimną? Thomas nie potrafił powiedzieć.

Zanim pojął w pełni, co się dzieje, Marcus chwycił go za brodę, uniósł jego twarz i zaczął ją czymś smarować. Thomas próbował się bronić, jednak tamten warknął:

– Nawet nie próbuj. Jeśli chcesz kłócić się z Lucillą, to możesz później.

– Doprawdy!

Michael w ten sam sposób zajął się bratem.

– Cieszcie się, że nie zjedliśmy całego masła. Bo inaczej natarlibyśmy was smalcem.

Thomas wciąż próbował odzyskać dech i zdolność myślenia. Gdy dotarło do niego zimno, które przeniknęło przez płaszcz, zaczął drżeć.

– Gdy tylko zaczną się trząść, posadźcie ich przed kominkiem – rozległ się głos Lucilli, głośny i wyraźny. – Zdejmijcie im płaszcze. Owińcie ich kocami, które wam rzuciłam.

Thomas i Sebastian, wyjąwszy ręce z misek, zostali rozebrani z płaszczy i usadzeni w pobliżu ognia. Hesta podeszła i usiadła przy swoim panu; położyła na jego udzie ciężki łeb i spojrzała na niego niemal oskarżycielsko. Gdyby psy marszczyły czoła, zrobiłaby to. Thomas wyciągnął rękę i pogłaskał ją po uszach. Jego dłonie, acz zaczerwienione od zimna, nie wykazywały oznak odmrożenia.

Sebastian także oglądał swoje długie palce.

– Dobrze, że nie byliśmy tam dłużej.

Jednakże tyle czasu wystarczyło aż nadto. Thomas zapamiętał sztuczkę z wodą i tłuszczem.

Tymczasem Michael i Marcus dokładali do ognia.

Prudence wypadła nagle zza zasłony.

– Ciepłą wodę! Szybko! – Wskazała pełną do połowy misę przy palenisku. – Tę.

Michael szybko podszedł.

– Jak z dzieckiem? – zapytał, podając jej naczynie.

– Już prawie przyszło na świat. – I zniknęła z misą za kocami.

Lucilla klęczała przy łóżku i modliła się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu. Trzymała jedną ze śliskich nóżek, ale powstrzymywała pokusę, by ją pociągnąć; aby wyciągnąć maleństwo, musiała chwycić je za biodra, a przynajmniej za oba uda.

Nie chciała jednak zwlekać – dziecko nie miało wiele czasu. Gdy Prudence postawiła obok misę z wodą, Lottie zgrzytnęła zębami i wydała stłumiony jęk.

– Przyj! – poleciła jej Lucilla. – Dalej, Lottie, jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Kobieta zaczerpnęła powietrza. Trzymając ją za ramiona, Prudence wcisnęła się za nią, by Lottie miała się na czym wesprzeć.

Lottie się natężyła.

Lucilla, wpatrzona w wyłaniające się dziecko, czekała. Kiedy poczuła, że Lottie słabnie, przesunęła palcami w górę maleńkich nóżek – i trafiła na kości biodrowe. Chwyając je delikatnie, zaczęła ciągnąć.

Działając jak najszybciej, wydobyła noworodka – malutką dziewczynkę. W następnej chwili trzymała ją na rękach.

Pospiesznie odwinęła pępowinę z szyi dziecka; jego twarzyczka była czerwona, ale jeszcze nie sina. Prędko obmyła dziecku buzię, chwyciła je za nóżki, podniosła i klepnęła w pupkę.

I nic.

Spojrzała na Prudence.

– Mocniej! – sapnęła Lottie.

Wyciągnęła się i wymierzyła córeczce głośnego klapsa.

Dziecko drgnęło, zaczerpnęło powietrza i zapłakało piskliwie.

Lucilla poczuła wielką ulgę. Uśmiechnęła się do Lottie, po czym spojrzała na Prudence.

Obie, niezmiernie uradowane, uśmiechnęły się do siebie.

A później umyły dziecko, zajęły się Lottie i zaczęły robić porządki.

Następne godziny przyniosły wrażenia, które Lucilla miała zapamiętać na całe życie. Moment, w którym zawiniętego w powijaki noworodka oddała w ramiona Lottie. Wyraz matczynej radości na twarzy kobiety. Podobna, pełna niedowierzania i zachwytu mina Jeba.

Cały czas krzątając się za zasłoną przy Lottie i dziecku, Lucilla przypomniała sobie coś i podeszła do znacznie bardziej już odprężonego grona przed kominkiem.

– Kiedy urodziło się dziecko? Jeszcze w Wigilię czy już w Boże Narodzenie?

Być może nie przypadkiem to Thomas Carrick odpowiedział na jej spojrzenie.

– Dziewczynka przyszła na świat dziesięć minut po północy, więc będzie obchodzić urodziny w dzień Bożego Narodzenia.

Lucilla, która już miała lekki uśmiech na ustach, poczuła, że uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Dziękuję panu.

Dzieci urodzone w Boże Narodzenie niosły ze sobą szczególną radość, szczególną nadzieję – przynajmniej w tych okolicach.

W pewnej chwili śnieżycy jakby zaczęła słabnąć. Wreszcie, gdy Lottie zajęła się swoją malutką córeczką leżącą w starej kołysce w kącie, pościel została zmieniona, a okolice łóżka posprzątane, Lucilla i Prudence jeszcze raz przyjrzały się kobiecie, spojrzały na siebie z uśmiechem i wyszły z za zasłony, by zostawić matkę i dziecko w spokoju.

Wkraczając do większej części chaty, Lucilla natknęła się na Jeba, który prawie na nią wpadł.

– Mogę znowu do nich zajrzeć? – spytał.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu; kiwnęła głową. Jeb już raz został wpuszczony za zasłonę, jednakże wycofał się stamtąd, by Lucilla i Prudence mogły zrobić porządek.

Teraz niepewnie podszedł do zasłony i zajrzał za nią, a potem z nabożnym wyrazem twarzy, wyraźnie nie mogąc oprzeć się temu, co go tam przyciągało, zniknął z widoku.

Prudence, która stanęła obok Lucilli.

– To takie urocze.

Lucilla, wciąż uśmiechnięta – zaczęła się zastanawiać, czy to jej przejdzie – zwróciła się w stronę pozostałych i coś sobie uświadomiła. Spojrzała na drzwi wejściowe.

– Wiatr ustał. Czy zawieja przeszła?

Gdy tak nasłuchiwała, słyszała tylko ciszę.

Jej brat i kuzyni – a także Thomas Carrick – stali przy kominku z kubkami w dłoniach. Marcus, Sebastian i Michael unieśli głowy i wyteżyli słuch. Thomas za jej przykładem spojrzał na drzwi; przypuszczała, że ocenia sytuację wszystkimi zmysłami, podobnie jak ona.

Sebastian odstawił kubek i podszedł do wyjścia. Wyjrzał na dwór, po czym doniósł:

– Jest wciąż ciemno. Wiatr ustał, ale nadal pada śnieg i niebo zakrywają gęste chmury.

– Wkrótce się przejaśni – oznajmił Thomas.

Nikt nie podjął z nim dyskusji.

Ponownie zwracając wzrok na męskie grono, Lucilla szybko oceniła ich formę – a także własną i Prudence. Nikt nie zmrużył oka, a mimo to pod wpływem triumfu i euforii nie widać po nich było żadnego zmęczenia.

To dobrze – gdyż przed odjazdem i spoczynkiem mieli jeszcze dużo do zrobienia.

Przenosząc wzrok na stół, sprawdziła, co pozostało z wiktuałów przywiezionych przez Thomasa. Podeszła bliżej.

– Chciałabym ugotować z tego posiłek – rzekła – aby Lottie nie musiała podnosić się z łóżka.

Prudence stanowiła marną pomoc przy gotowaniu; zaczęła więc dyrygować tymi, którzy nie pomagali Lucilli, aby zaprowadzić w chacie jako taki porządek. Marcus, Sebastian i Michael chętnie wypełniali jej

polecenia, podczas gdy Thomas Carrick, co Lucillę zaskoczyło, zgłosił się do niej jako kuchcik.

Z myślą o swoim zadaniu przejrzała zapasy.

– Dzięki panu mamy dużo mięsa. – Ściągnęła brwi. – Szkoda, że nie ma więcej jarzyn do potrawki.

Thomas podniósł palec.

– Chwileczkę. – Podeszedł do zasłony. – Jeb?! – zawołał cicho. – Gdzie twoja piwniczka na warzywa?

Jak się okazało, Jeb nie tylko miał piwniczkę, lecz jeszcze nieźle zaopatrzoną; kiedy Lucilla zeszła za Thomasem po drabinie – Marcus pełnił straż na górze – odkryła całkiem sporo warzyw korzeniowych i roślin bulwiastych. Wybrała te, które według jej oceny mogły poprawić smak potrawki i uzupełnić resztki bożonarodzeniowej uczy; Thomas zaoferował swoje kieszenie, a kiedy były już pełne, wziął część produktów w ręce.

Lucilla, idąc z powrotem po drabinie, ponownie zastanowiła się nad swoimi odczuciami wobec Thomasa Carricka. Budził w niej jednocześnie zaciekawienie i niepokój, i w sumie nie bardzo wiedziała, co myśleć o swoim dziwnym do niego stosunku.

Niezależnie od wszystkiego to nie był ich czas. Wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Oboje byli zbyt młodzi; nawet te odczucia, które uważała za niepokojące, były tylko zapowiedzią tego, co miało przyjść. Tak przypuszczała; czuła to w kościach.

Dlaczego więc znaleźli się tutaj? Po co Pani – gdyż z pewnością to była jej sprawka – sprowadziła ich tu razem w takich okolicznościach?

Dotarłszy do ostatniego szczebla, ujęła dłoń brata i weszła z powrotem do obory. Marcus i Michael mieli nakarmić i napoić trzodę Jeba; Lucilla dostrzegła w dalszym kącie Michaela – niewątpliwie najwytworniejszego z nich wszystkich – który siedział na zydlu i doił krowę.

Thomas wyłonił się z piwniczki; ponieważ miał w rękach cebule, Lucilla schyliła się i pomogła bratu zamknąć klapę.

Z niechętnym pomrukiem Marcus wrócił do karmienia owiec.

Obrzucając Thomasa spojrzeniem, Lucilla ruszyła z nim do chaty. Kiedy stanęli pod drzwiami, odezwał się cicho:

– Przekażę położnej, by zajrzała do Lottie i dziecka.

Gdy Lucilla spojrzała na niego przez ramię, dodał:

– I zrobię, co mogę, aby przenieść Jeba do Carrick Manor, przynajmniej do wiosny.

Kiwnęła głową.

– Tak byłoby najlepiej. Dopóki dziecko jest takie małe, razem z matką będzie potrzebowało ochrony przed zimnem. Może pan powiedzieć Jebowi, że takie jest moje zdanie.

Thomas pochylił głowę.

– Dziękuję pani. To pomoże.

Lucilla otworzyła drzwi i pierwsza weszła do chaty.

Przez następną godzinę oboje kroili i gotowali. Okazało się, że Thomas jako myśliwy sprawnie posługuje się nożem; powierzyła mu więc odkrawanie resztek mięsa od kości. Zamierzała ugotować z nich potrawkę, a z kości – zupę.

I przez cały ten czas – czując wszystkimi zmysłami obecność Thomasa, stojącego obok niej przy stole – rozmyślała o nim.

Znała go; rozpoznała natychmiast; poznali się, gdy byli dziećmi, i w następnych latach widywali się wiele razy na miejscowych jarmarkach i podobnych wydarzeniach. Ostatnim razem, kiedy go widziała, miał z piętnaście lat, były wysoki i chudy. Teraz stał się jeszcze wyższy, lecz już bynajmniej nie chudy.

Brutalnie ucinając ten tok myśli, skupiła się na nim samym, na mężczyźnie, którym się stał – i który bez sprzeciwu razem z nią siekał cebule.

Miejscowi nazywali go „tym zdrowym na umyśle Carrickiem” – jako jedyny dorosły z tego rodu nie był uważany za szaleńca. Jego rodzice osierocili go, gdy miał dziesięć lat, wychowywał się w domu

stryja. Manachan Carrick uchodził za nieobliczalnego; jej wydawał się inteligentny, sprytny i przebiegły, a także w najwyższym stopniu ekscentryczny, całkowicie nieodpowiedzialny i nieprzewidywalny. Inni właściciele ziemscy się go bali i miała wrażenie, że Manachanowi się to podobało.

Thomas jednak był zupełnie innym typem człowieka. Przede wszystkim został wybrany przez Panią, co zresztą Lucillę dziwiło. Gdyż ani Manachan, ani żaden z jego licznych synów nie dostąpili tego zaszczytu, wiedziała to. Podczas gdy w przypadku kobiet – jak ona sama, jej matka czy Algaria – naznaczenie przez Panią oznaczało opiekę i przewodnictwo nad innymi, w przypadku mężczyzn wiązało się to z trzymaniem straży i pełną oddania ochroną, która wchodziła im w krew.

Dlaczego Thomas miałby być naznaczony przez Panią, tego nie wiedziała; takich wybrańców nigdy nie było wielu. A jednak on do nich należał i oto był tutaj, tak jak ona, i wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że jest w tym jakiś cel – zamiar Pani.

Sebastian i Prudence kręcili się wokół nich, sprawdzając stan okiennic i ścian po naprawach i sprzątając chatę. Sebastian przeniósł ciężką skrzynię, by Prudence mogła się za nią dostać, potem się wyprostował, podszedł do drzwi frontowych i je otworzył. Wyrzwał na dwór i mruknął:

– Wiatr zmiótł śnieg przed domem, zasy py nie są takie wysokie. Przynajmniej nie będziemy musieli się przez nie przekopywać.

Wyszedł na zewnątrz, zostawiając drzwi na w pół otwarte, ale chwilę później wrócił i zamknął je starannie.

– Przejaśnia się, ale jeszcze nie na tyle, by jechać. – Napotkał wzrok Lucilli. – Ruszymy, gdy tylko będzie można.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że wszyscy we dworze ich wypatrują i nikt – ani oni sami, ani ich rodziny – nie spocznie spokojnie, dopóki nie wrócą bezpiecznie.

Gdy zagniała ciasto na kluski – Thomas przywiózł nawet mąkę – przebiegła w myślach listę tego, czego noworodek i Lottie najbardziej teraz potrzebują.

Patrząc na ciasto, które wałkowała, w końcu spytała:

– Zostanie pan tu?

Thomas się skrzywił, ale też nie podniósł głowy.

– Będę musiał, przynajmniej na kilka dni. Aby dostać się stąd na ziemie Carricków, należy przejechać przez dolinę, która skierowana jest na północ, i na pewno będzie kompletnie zasypana śniegiem. Najpierw się tam wybiorę i zbadam teren. Kiedy tylko będę miał pewność, że przez nią przejadę, ruszę w drogę, a potem wyślę ludzi, aby pomogli rodzinie przenieść się ze zwierzętami na teren dworu.

Lucilla skinęła głową.

– To rozsądny plan.

Kątem oka zauważyła, że Thomas zrobił grymas, ale odparł jedynie:

– Tak sędzę.

Dopiero po godzinie Lucilla, odstawivszy do ostudzenia dwa garnki z potrawką i wielki sagan zupy, zajrzała do Lottie, Jeba i ich córeczki. Dziecko spało, a rodzice, mimo zmęczenia, byli zbyt uszczęśliwieni, by zasnąć.

Lucilla się uśmiechnęła.

– Niedługo ruszamy w drogę.

Sebastian i Marcus zgodzili się, że na tyle już się przejaśniło, by zaryzykować wyjazd.

Lottie podniosła głowę.

– Jaśnie pani, ja i Jeb... tak się zastanawialiśmy, czy pani i... – spojrzała na Thomasa, który stanął za Lucillą – pan Carrick nie zechcielibyście zostać rodzicami chrzestnymi naszej małej.

Lucilla się uśmiechnęła.

– Z przyjemnością.

Zerknęła na Thomasa.

On także skłonił głowę.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Lottie.

Lucilla popatrzyła znowu na rodzinę i stwierdziła, że czuje coś ponad zwykłą satysfakcję, jakieś pragnienie.

– Prześlijcie do dworu wiadomość, kiedy będzie chrzest, wtedy przyjadę.

Zwykle chrzcilo się dzieci około sześciu tygodni po urodzeniu i wiedziała, że będzie jeszcze wtedy w Szkocji.

– Dziękuję. – Jeb wstał. – Jestem wdzięczny naszej Pani i wam wszystkim za to, że pomogliście nam w potrzebie. – Zdawał się pokorny, a jednocześnie dumny, gdy skłonił się przed nimi.

Lucilla odpowiedziała uśmiechem, po czym podeszła, schyliła się i złożyła pocałunek na różowym czole noworodka.

– Witaj na tym świecie, maleńka. Niech twoje życie będzie długie i owocne, a twoje dni wypełnione śmiechem i radością, by nie trapiły cię żadne troski. – Było to stare błogosławieństwo dla dzieci.

Wciąż z czułym uśmiechem Lucilla spojrzała na Lottie, uścisnęła jej rękę, a potem zerknąwszy jeszcze na Jeba, odwróciła się i podeszła do zasłony.

Thomas Carrick patrzył na nią, kiedy się do niego zbliżała; ona, chociaż miała opuszczoną głowę, przy każdym kroku była świadoma jego spojrzenia.

Nic jednak nie powiedział, tylko skłonił głowę, gdy go mijała.

Lucilla, wychodząc zza zasłony, usłyszała jeszcze, jak mówił Jebowi i Lottie, że zostanie z nimi jakiś czas, a Jeb podziękował mu wylewnie.

Wciąż uśmiechnięta – tym razem z innego powodu – skierowała się do przeciwnej części chaty. Hesta leżała przed kominkiem, lecz chłopcy gdzieś zniknęli. Zastała ich za drzwiami, na dworze. Wszyscy czterej stali w śniegu i urzeczeni rozglądali się wokół.

Wyszedłszy dwa kroki dalej, by do nich dołączyć, sama nie mogła powstrzymać zachwytu.

Chmury wreszcie się rozproszyły. Wysoko na niebie migotały gwiazdy, a księżyc świecił srebrnym blaskiem, przydając krajobrazowi prawdziwej magii. Zatrzymała się i wraz z innymi chłonęła ten obraz.

Upajała się pięknem natury.

Niedostępne szczyty, spowite opalizującą bielą, wznosiły się dumnie coraz wyżej, niknąc w dali na nocnym niebie. Patrzyli na zachód; horyzont był granatowoczarny, usiany milionami gwiazd niczym brylantami.

Bliżej zaś wszystko wyglądało jak z zimowej baśni. Wszędzie leżał śnieg – na drzewach, na skałach. Pokrywał wyższe gałęzie, z których wisały długie sople, lśniące w świetle księżyca.

Gdyby nie śnieg, blask nie byłby taki silny, ale ta biel go odbijała i zwielokrotniała, przekształcając w olśniewającą iluminację i srebrząc każdą krawędź, wydobywając z mroku każdy cień.

Ostatnim akcentem była głęboka cisza – obezwładniający brak jakichkolwiek dźwięków, zwłaszcza po kakofonii burzy śnieżnej.

Mozna było odnieść wrażenie, że znaleźli się w całkiem nowym świecie, stworzonym przez główne żywioły. I czuło się ziemię, samą matkę naturę, widziało się ją w całym majestacie.

Lucilla poczuła dławienie w gardle. Jej wyczulone zmysły były przytłoczone wrażeniami.

Kącikiem oka dostrzegła, że kilka kroków dalej przysiadła Hesta; uniosła szary włochaty łeb i nastroszyła uszy, jakby i na nią działała ta chwila.

Ktoś się zbliżył; Lucilla spojrzała w prawo i zobaczyła Thomasa. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, by wiedzieć, że jest równie zdumiony i urzeczony, że tak samo się zapomniał i skupił na bieżącej chwili jak ona.

I Marcus. Odszukała spojrzeniem brata bliźniaka i mimo dzielącej ich odległości wiedziała, co on czuje – również dał się uwieść temu niesamowitemu pięknu.

Ponownie spojrzała na wierzchołki gór i ogarnęło ją wzruszenie.

To należało do nich. Do niej, Marcusa i Thomasa.

By wiedzieli, strzegli tego, dbali o to.

Ta ziemia była zarazem ich przeszłością i przeznaczeniem; w tamtej chwili pojęła to z całą jasnością.

Ta ziemia stanowiła ich miejsce. Tu przynależeli. Tu zawsze miała być ich przystań i ich dom.

Czas się jakby zatrzymał i wszyscy trwali pod urokiem chwili.

Wreszcie Sebastian, stojący najdalej od chaty, odwrócił się do pozostałych. Spojrzał na Michaela i Prudence, a później ruszył z powrotem przez zasy wysokie do połowy łydek.

– Powinniśmy jechać. – Spojrzał Marcusowi w oczy. – Między drzewami i na południowych stokach będzie mniej śniegu, ale i tak potrwa, zanim się przez niego przedrzemy.

Marcus kiwnął głową i odwrócił się w stronę chaty.

– Osiodłajmy konie.

Czar prysł; Lucilla także się odwróciła i Thomas zrównał z nią krok.

– Osiodłam pani konia – mruknął. – A pani niech weźmie sakwy.

Lucilla skinęła głową. Rzuciła do pozostałych:

– Pójdę po nasze rzeczy.

Po powrocie do chaty cicho zamknęła za sobą drzwi i na palcach podeszła do zasłony; zostawili ją, by chronić dziecko przed powiewami wiatru. Zajrzawszy za nią, zobaczyła, że jej troje podopiecznych wreszcie zasnęło. Wycofała się z uśmiechem – znowu – i wzięła z kąta sakwy. Obrzuciła wnętrze chaty ostatnim spojrzeniem i weszła przez wewnętrzne drzwi do obory.

Sebastian, Michael, Marcus i Prudence zakładali swoim wierzchowcom popręgi. Prudence nikomu nie pozwalała siodłać swoich koni, od kiedy urosła na tyle, by mogła robić to sama. Thomas przygotował czarną klacz Lucilli do drogi i czekał przy dużym pniaku.

Lucilla rozdała wszystkim sakwy i podeszła do Thomasa.

– Dziękuję panu.

Wziął od niej jej sakwy i przytroczył do grzbietu klaczy. Lucilla sprawdziła popręg; upewniwszy się, że jest dobrze założony, odwróciła się i zobaczyła, że Thomas wyciąga do niej rękę, by pomóc jej wejść na prowizoryczny schodek.

Na moment się zawahała, po czym zaczerpnęła powietrza i podała mu dłoń w rękawicze.

Mimo że dzieliła ich warstwa kozłej skóry, ten dotyk powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć – potwierdził to, co podejrzewała.

Wstępując na pniak, wysunęła palce z ręki Thomasa i wskoczyła na siodło. Wsadziła stopy w strzemiona, zebrała spódnice, wzięła wodze i wreszcie spojrzała mu w twarz.

I ujrzała w jego głębokich bursztynowych oczach to, co już wiedziała.

Wytrzymała jego wzrok, a potem skinęła głową. I wypowiedziała słowa, które przyszły jej na myśl:

– Do zobaczenia.

Nie odpowiedział, tylko skłonił powoli głowę.

Pniak do wsiadania stał nieopodal drzwi obory. Inni, już w siodłach, podjechali więc do niej.

Thomas się cofnął. Popatrzył na nich wszystkich.

– W imieniu rodu Carricków dziękuję wam za pomoc. – Napotkał spojrzenie Sebastiana. – Szukaliście stad jeleni. Przedwczoraj widziałem jedno z większych za granią, na zachodzie. Może nadal tam jest.

Sebastian, Marcus i Michael się uśmiechnęli. Sebastian skłonił głowę.

– Dziękujemy panu. – Spojrzał przed siebie. – A teraz musimy się pożegnać.

Szybko mu salutując, odjechał pierwszy.

Pozostali ruszyli za nim. Lucilla zamykała kawalkadę.

Dotarli do linii drzew i zwolnili, gdy z Marcusem na czele wjechali na trakt dla koni, teraz w dużej części zasypany śniegiem.

Lucilla zabroniła sobie tego, lecz zanim ruszyła za Prudence, obejrzała się ku chacie.

Thomas nadal stał w tym samym miejscu i patrzył na nią.

I wiedziała, że nie odejdzie, póki ona nie zniknie z pola widzenia.

Syciła się przez chwilę jego widokiem, zapamiętując go, po czym odwróciła się i skierowała klacz między drzewa.

Rozdział ósmy

Dopiero wzeszło słońce, kiedy Devil Cynster otworzył drzwi kuchenne we dworze i wyszedł na zewnątrz. Zmarznięty śnieg skrzypiał pod jego wysokimi butami. Z rękami w kieszeniach szynela powoli dobrnął przez zasy do kuźni i domu kowala w północno-zachodnim krańcu tylnego dziedzińca.

Teren wokół niego, spowity bielą, był dziewiczy i nietknięty, a niebo w górze tak intensywnie błękitne, że aż raziło oczy.

Wiatr ucichł, śnieżycą minęła. Panował przenikliwy mróz, lecz powietrze było kryształowo przejrzyste.

Na wschodzie wznosiło się słońce, rzucając na pogrążoną w ciszy ziemię złotoróżowy blask.

Dotarłszy do rogu, gdzie spotykały się północne i zachodnie ogrodzenia, Devil się zatrzymał. Zmrużywszy jasnozielone oczy, zlustrował ciemniejszą, choć usianą tu i tam śniegiem linię lasu.

Po chwili usłyszał kroki na śniegu.

Czekał, unosząc kąciki ust, i nie był zdziwiony, kiedy przyłączył się do niego kuzyn, Demon. Spojrzał w jego niebieskie oczy.

– Honoria się martwiła. Pomyślałem, że wyjdę i się rozejrzę.

Demon pokiwał głową.

– Felicjty też się niepokoi. Trudno się dziwić.

Prudence, ich starsza córka, w ten piękny pogodny świąteczny poranek była wciąż poza domem. Demon spojrzał w dal, wypatrując jej.

Z czasem, jeden po drugim, dołączyli do nich inni. Gabriel, Vane i Lucifer, wszyscy mówili o zaniepokojonych żonach, które wysłały ich na dwór, aby sprawdzili... ale co takiego konkretnie, żaden nie powiedział.

W końcu do zebranych w rogu dziedzińca przyłączył się Richard. Po chwili, zlustrowawszy linię lasu, oznajmił:

– Dziesięć minut temu przypominano mi, że nasze dzieci... te, które w Wigilię zatrzymały się, by pomóc rodzinie zagrodnika... potrafią sobie radzić.

Vane spojrzał na niego uważnie.

– Powiedziała, czy wróć do domu bezpiecznie?

Wszyscy wiedzieli, że ma na myśli Catrionę, a pani na Vale nie była z tych, którzy rzucają słowa na wiatr. Jeśli zaś chodziło o tę ziemię, to jeśli już się wypowiadała, naprawdę wiedziała, co mówi.

Richard skinął głową.

– Powiedziała, że dziś wróć. Mam wam to przekazać i zwrócić uwagę, że wystawanie na mrozie nic nie da. Powinniśmy wszyscy schronić się pod dach i pozwolić, aby przygoda naszych dzieci toczyła się swoim biegiem.

Pozostali przestąpili z nogi na nogę.

– Zanim tu przyszedłem – dodał Richard – wspiałem się na najwyższą wieżę i zlustrowałem okolicę przez lornetkę. Nie dostrzegłem żadnego ruchu.

Pomrukując albo wzdychając w odpowiedzi, pozostali powiedli wzrokiem po horyzoncie, ale oczywiście niczego nie zobaczyli.

Richard odwrócił się pierwszy; reszta po kolei ruszyła za nim i wszyscy powlekli się do domu.

Pochód zamykał Devil. Przy kuchennych drzwiach się zatrzymał, aby jeszcze raz spojrzeć na białe pola w stronę ciemnych obrzeży lasów, nad którymi wznosiły się wyższe wzgórza. W zimowym krajobrazie nic się jednak nie poruszało.

Wszedł do dworu.

Było jeszcze zbyt wcześnie nawet na kubek kawy – służba też miała święta. Wszyscy więc minęli kuchnię i rozdzielili się, wracając do swoich wież czy apartamentów, w których zostawili zaspane małżonki.

Devil wkroczył do dużego apartamentu, który zajmowali z Honorią. Cicho zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz, rzucił go na krzesło i usiadł na taborecie, by ściągnąć wysokie buty.

Honorcia spała na boku, z podciągniętymi nogami, zwrócona do okna. Gdy odstawiał drugi but, uderzył obcasem o podłogę i wtedy żona się poruszyła.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego sennie spod uchylonych powiek. Zmarszczyła czoło, kiedy zobaczyła, że mąż się rozbiera.

– Czy coś się stało? Gdzie byłeś?

– Nie, nic się nie stało – odparł z opuszczoną głową, rozpinając guziki przy mankietach.

Ponieważ na tym zakończył, Honorcia obróciła się na plecy i przyjrzała mu się bacznie.

– I?

Zacisnął usta, ale zrezygnowany przyznał:

– Wyszedłem sprawdzić, czy nie wracają.

– Ach tak. – Honorcia popatrzyła na niego ze zrozumieniem i lekką pobłażliwością. – Rozumiem, że na razie ich nie widać.

– Richard rozejrzał się po okolicy z najwyższej wieży i nic nie zobaczył.

– Domyślam się, że wszyscy wyszliście na dwór, by ich wyglądać?

Devil zdjął koszulę i rzucił jej spojrzenie, które mówiło wyraźnie, że nie wierzy, iż o to spytała.

Honorcia tylko się zaśmiała.

Jednakże śmiech zamarł jej na ustach, kiedy Devil ściągnął bryczesy i zbliżył się szybko jednym długim krokiem.

Podniósł pierzynę i wskoczył do łóżka, biorąc ją w ramiona.

Piszcząc, Honorcia znalazła się w jego objęciach i aż zabrakło jej powietrza. Spojrzała w zielone oczy męża.

On popatrzył na nią i przywołał na twarz swój słynny uśmiech.

– Wesołych świąt, moja pani.

Pochylił się i ją pocałował.

Podczas śniadania w Wielkiej Sali panowała świąteczna, radosna atmosfera. Dzięki staraniom gospodarzy przy wszystkich nakryciach spoczywały małe upominki, a dzieci znalazły już bardziej osobiste prezenty przy łózkach, zostawione tam przez rodziców i rodzeństwo.

Salę przepełniał gwar i wzajemna życzliwość.

Każdy zwrócił uwagę na pustą część stołu przy podwyższeniu, gdyż Christopher znowu został zaproszony do grona starszych. Jednakże wtedy wstała Catriona, która powitała wszystkich i zapewniła, że nieobecni członkowie rodzin wrócą do domu na świąteczny lunch. Przyjęto to okrzykami radości, później zaś zaczęto swobodnie rozmawiać i się śmiać.

Wchodząc do sali, Claire uległa powszechnej wesołości; uśmiechnięta podeszła do siedzącego na zwykłym miejscu Daniela i przeciągle spojrzała mu w oczy.

– Wesołych świąt, Danielu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej; w jego spojrzeniu pojawiła się czułość.

– Wzajemnie, Claire.

Podążyła mu dłoń; on ją ujął i pomógł Claire przejść przez ławę.

Usiadłszy przy nim, dała się ponieść radości, z jaką obudziła się o poranku, i zapomniała o troskach. Nastął czas, by się weselić, by grzać się we wzajemnej sympatii łączącej ją i Daniela, a także pozostałych: Melinę, Ravena i Morrisa. Wszyscy cieszyli się z drobnych prezentów i wyrazów

wdzięczności A otrzymali je zarówno od swoich wychowanków, jak i zadowolonych rodziców.

Nie była to pora, by się martwić i roztrząsać dylematy; Claire otworzyła serce i pozwoliła sobie na chwilę szczęścia. Uległa wpływowi Daniela, serdeczności w jego oczach i zwyczajnej przyjemności.

On zaś, z Claire siedzącą przy jego boku, świadom, że przez kilka następnych godzin nic ich nie rozdzieli, czuł się tak zadowolony, że porzucił natarczywe zaloty, przynajmniej na najbliższy czas w tym najradośniejszym dniu w roku. Jako syn księdza, zawsze w bożonarodzeniowy ranek chodził do kościoła, lecz w Vale nie było świątyni ani nawet kaplicy domowej. Domownicy tworzyli jednak swoistą kongregację i miał wrażenie, że w wyniku połączenia pogańskiego święta Yule, wiary w Panią i wszystkich elementów chrześcijańskiej tradycji powstało coś, co dawało głębsze, bogatsze i prawdziwsze, a co za tym idzie, bardziej znaczące przeżycie.

Spontanicznie utworzony poprzedniego dnia chór zebrał się ponownie. Jego członkowie śpiewali kolędy o bijących dzwonach, boskich narodzinach i radości. Głosy brzmiały czysto, te wyższe jasno i wyraźnie, niższe zaś stanowiąc dla nich silny kontrapunkt.

Daniel chłonał ten niezwykły, świąteczny nastrój i cieszył się każdą chwilą.

Siedzące przy sąsiednim stole Louisa, Therese, Annabelle i Juliet były zachwycone prezentami.

Gdy każda z nich już opowiedziała, co dostała, Louisa rozejrzała się po sali i westchnęła z zadowoleniem.

– Choć kosztowało to nas sporo wysiłku, warto było przekonać starszych, by urządzili tu Boże Narodzenie.

Annabelle uniosła brwi.

– To nie będzie tylko Boże Narodzenie, na dzisiejszym dniu się nie skończy. Mamy jeszcze przed sobą Hogmanay i Nowy Rok!

Juliet pochyliła się i spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Z twojego tonu wynika, że Hogmanay jest jeszcze lepszy niż Gwiazdka... – Z uśmiechem rozłożyła ręce i wskazała wesołych kuzynów przy stole. – A to chyba niemożliwe.

W oczach Annabelle pojawił się błysk.

– Tylko poczekaj. Przekonasz się sama.

– Ja tam wolę cieszyć się każdym dniem po kolei – odezwała się Therese. – Wszystko tu wygląda niby tak samo jak u nas, a jednak inaczej. – Potoczyła spojrzeniem po sali. – Po części dlatego, że jest tu nie tylko rodzina, lecz także służba. Obchodzimy święta wszyscy razem. – Wskazała głową chór. – Można by odnieść wrażenie, że świętuje cała wieś.

– Tak – potwierdziła Annabelle – to należy do tradycji. A w Hogmanay z pewnością im więcej ludzi, tym lepiej. – Uśmiechnęła się ponownie niczym upojona jakimś rozkosznym sekretem.

– Drażnisz się z nami – odparła Louisa, ale z uśmiechem. – Więc co nas czeka jutro? – zapytała.

– Dziewczęta... – Wszystkie cztery odwróciły się i zobaczyły, że u szczytu ich stołu stanęła Catriona, która widząc, że zwróciła ich uwagę, podjęła: – Chciałabym was zapytać, czy zastąpicie Lucillę i Prudence, pomagając Algarii, pani Broom i mnie przygotować paczki na Dzień Świętego Szczepana.

Dziewczęta wymieniły szybkie spojrzenia. Louisa odrzekła w ich imieniu:

– Tak, oczywiście.

Przygotowywanie paczek dla służy i chłopów z okazji Dnia Świętego Szczepana stanowiło tradycję po obu stronach granicy. Louisa spojrzała jednak na pusty koniec stołu i posmutniała.

– Ale... czy Lucilla i Prudence po powrocie nie będą chciały wziąć w tym udziału?

Podniosła wzrok i popatrzyła na Catrionę; pod pozorami radości skrywała niepokój o braci, których jej brakowało. Często byli utrapieniem, jednak już nie mogła się doczekać, kiedy ich zobaczy. Miała dla nich prezenty i liczyła, że sama też coś od nich dostanie, lecz nade wszystko pragnęła, aby już wrócili... a Lucilla i Prudence były z Sebastianem i Michaeliem. Utkwiła spojrzenie w twarzy Catriony.

– Nie wrócą na czas, aby wziąć w tym udział?

Catriona spojrzała w jej duże jasnozielone oczy i dostrzegła kryjące się w nich emocje. Uśmiechnęła się.

– Wrócą na lunch, tak jak powiedziałam, lecz jestem pewna, że obie... i chłopcy też... padną ze zmęczenia, gdy tylko się posilą. Wątpię, aby któreś z nich spało ostatniej nocy.

– Ach tak. – Louisa się rozpogodziła.

Zerknęła na Therese, a potem znowu spojrzała na Catrionę.

– W takim razie, kiedy mamy się stawić i gdzie?

Przedpołudnie upłynęło pracowicie. Śniadanie podano wcześniej, by posprzątać w kuchni przed wystawnym lunchem. Dla służących – z kuchni, pokoi, ogrodów i całego majątku – było to jedno z najważniejszych wydarzeń w roku.

Na szczęście nie tylko skończyła się śnieżycy, lecz także wyszło słońce, które wprawdzie świeciło słabo z powodu pory roku i położenia geograficznego, lecz odbijało się od szronu i zamieniało wiszące ze wszystkich okapów sople w brylantową koronkę.

Dzieci, zarówno samych Cynsterów, jak i służby, ochoczo wyszły na dwór i olśnione stanęły z otwartymi ustami – po czym, pod wpływem sugestii Ravena, przystąpiły do lepienia bałwanów wzdłuż podjazdu. Rywalizacja była czasami ostra, ale koleżeńska, a jej efekty – od dramatycznych po humorystyczne.

Ponieważ Louisa i pozostałe czternastolatki Cynsterów były zajęte po okiem Catriony, Claire włożyła pelisę, rękawiczki, dzianinową czapkę oraz szalik i wyszła na dwór, by przyłączyć się do Daniela, który czuwał nad dziećmi lepiącymi bałwany. Nie pozwalając sobie za dużo myśleć, podeszła do niego i wzięła go pod rękę; kiedy spojrzał na nią zaskoczony, uśmiechnęła się do niego wesoło. Popatrzył jej w oczy, a ona dostrzegła w nich nadzieję; nic jednak nie powiedział, tylko przyciągnął ją do siebie i ucisnął jej ramię. Potem zawołało go jedno z dzieci, więc odwrócił głowę i odpowiedział na jego pytanie.

Resztę przedpołudnia spacerowali. Ponieważ śnieg był zmrożony, zwłaszcza wzdłuż podjazdu, inne panie także wzięły panów pod ramię; to, że ona wsparła się na Danielu, nie wzbudziło więc niczyjej uwagi.

To jednak zupełnie inna przyjemność spędzać czas – jak podczas śniadania – będąc po prostu sobą, bez skrępowania, bez żadnych ograniczeń.

Prowadząc Claire wzdłuż szeregu bałwanów, Daniel pomyślał, że na tym właśnie polega magia Vale; dolina leżała tak daleko od jakiegokolwiek miasta, w tak surowej krainie, że wszelkie konwenanse z bardziej cywilizowanego świata tu wydawały się sztuczne.

Potem rozległ się wielki gong; jego dźwięk poniósł się echem we dworze i doszedł na zewnątrz przez otwarte okna.

Dzieci wydały chóralny okrzyk radości, co wszyscy dorośli przyjęli z uśmiechami. Bałwany oraz kwestia tego, który jest najlepszy, zostały szybko zapomniane i hałaśliwa gromada, z idącymi tuż za nimi rozbawionymi dorosłymi, wróciła do domu.

Wkroczywszy wraz z ostatnimi do środka, Daniel wraz z Claire pomógł jednemu z lokajów zamknąć wielkie drzwi frontowe. Potem zerknął na niego.

– Czy reszta wyprawy konnej już wróciła? – zapytał.

Lokaj pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Ale skoro nasza pani powiedziała, że wrócą na lunch, to muszą już być blisko.

Daniel odwrócił się znowu do Claire. Kiedy wzięła go pod ramię i ruszyli za lokajem do Wielkiej Sali, pochyliła się ku niemu i szepnęła:

– Taka wiara musi być bardzo krzepiąca.

Daniel spojrzał na nią, ale patrzyła przed siebie.

– To prawda – mruknął i zaprowadził ją na miejsce.

Stoły były zastawione i pomiędzy nakrytymi półmiskami leżały gałązki choiny. Powietrze przesycił zapach sosny, jodły i świerku, potęgując świąteczny nastrój.

Mimo zapewnień Catriony i wiary w jej słowa wszyscy kierowali spojrzenia na stół przy podwyższeniu, jego pustą część.

– Jada! – Od schodów po stronie podwyższenia dobiegł okrzyk Calvina. Chłopiec, rozpromieniony, zwrócił się w stronę stołu, przy których siedzieli starsi Cynsterowie. – Pełniłem straż na szczycie naszej wieży, w pracowni Cartera! Wziąłem lornetkę i dostrzegłem ich, jak przedzierali się przez śnieg. Wyjechali już z lasu i są niedaleko.

Kiedy skończył swój raport, obecni zaczęli wstawać. Ruszyli do drzwi prowadzących na zewnątrz – bocznych, frontowych, kuchennych. Ogarnięci radosnym wyczekiwaniem – i ulgą – wszyscy Cynsterowie z wyjątkiem wdowy wylegli na tylny dziedziniec, a za nimi podążyła większość służby, pragnąc zobaczyć powrót członków wyprawy i dowiedzieć się, co im się przydarzyło.

Każdy, kto stał w tłumie na dziedzińcu, miał nadzieję usłyszeć nową bożonarodzeniową opowieść ze szczęśliwym zakończeniem.

Demon, który rozglądał się z rękami wspartymi na biodrach, pokiwał głową zadowolony.

– Dobrze, że już wracają. Śnieg jest zbyt głęboki, aby jechać choćby kłusem.

Stojąca obok niego Felicity, jego żona, dodała:

– Chyba że gonią ich wilki.

Demon spojrzął na nią; uśmiechnęli się do siebie, po czym oboje unieśli głowy i wypatrzyli Prudence, najstarszą córkę, która jechała ku nim przez śnieg.

Sebastian, tak jak się tego spodziewano, prowadził kawalkadę. Miał potężnego wierzchowca, któremu łatwiej było pokonywać zaspy. Jego śladem podążała Prudence, a za nią Lucilla. Jej czarna kłacz – najdrobniejsza z koni i zazwyczaj nieustępliwa – w tych warunkach najwyraźniej z zadowoleniem korzystała ze szlaku przetartego przed dwa większe konie; szła za nimi posłuszenie.

Za Lucillą bez trudu jechał Michael, tyły zaś zabezpieczał Marcus, który wyraźnie czuwał nad pozostałymi i patrzył, jaką drogę przez śnieg wybiera Sebastian.

Byli już w zasięgu słuchu.

– W samą porę! – zawołał książę.

Sebastian się uśmiechnął, choć z wyraźnym zmęczeniem.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało. – Wskazał głową kierunek, z którego przybyli. – Zaspy wzdłuż łańcucha gór i w niższych partiach lasu były większe, niż się spodziewaliśmy.

– Mniejsza o to – oznajmiła księżna. – Najważniejsze, że już jesteście w domu, cali i zdrowi.

Rupert i Alasdair otworzyli tylną bramę i jeźdźcy przejechali przez nią jeden po drugim. W ich oczach i na twarzach widać było zmęczenie, ale i triumf.

Kiedy zatrzymali konie, wszyscy zebrani otoczyli ich, wiwatując i wołając: „Witajcie w domu!” i „Wesołych świąt!”.

Richard pierwszy dotarł do swojego najstarszego dziecka. Zdjął Lucillę z siodła – zauważając przy tym, że nawet nie zaprotestowała. Na jej twarzy malowało się znużenie, ale i coś jeszcze coś – swoiste uniesienie.

Lucilla zadrżała.

– Zmarłam.

Ojciec uściskał ją mocno. Potem podeszła Catriona. Objęła Lucillę i odsunęła ją od siebie na długość ramienia. Pani na Vale spojrziała córce w oczy, po czym uśmiechnęła się z miłością i aprobatą. Kładąc rękę na jej jasnorudych włosach o odcieniu miedzi, pogłaskała ją czule.

– Dobrze się spisałaś. A teraz wejdź do środka i ogrzej się przy ogniu. Najpierw zjemy, a potem ty i reszta położycie się spać.

W tej chwili wyrósł przed nimi Marcus. Catriona go uściskała i przyjrzała mu się uważnie. Później, z nieco innym uśmiechem, pokiwała głową.

– Dobrze. Ty także idź do domu. Opowiecie nam o swej przygodzie, ale najpierw się rozgrzejcie i napijcie się czegoś.

– Grzanego piwa! – Marcus spojrzała na ojca. – Zostało go dla nas trochę?

Richard klepnął go po ramieniu.

– Na pewno, spytaj kucharkę.

Z tłumu wystąpili ochotnicy, którzy sprawnie odprowadzili zmęczone konie do stajni, rozsiodłali je i zajęli się nimi. Tymczasem reszta, z przybyłymi jeźdźcami pośrodku, wróciła gromadnie do Wielkiej Sali.

Ci, którzy pozostali w domu, nie próżnowali: zastawili stół dla przybyszów, tak że czekały już na nich pełne półmiski i gorące korzenne wino, a także kubki z podgrzany piwem z poprzedniego wieczoru.

Zajmując swoje miejsce na ławie, Marcus podniósł kubek.

– Nasze zdrowie! – Pociągnął łyk i zrobił zdziwioną minę.

Polby, kamerdyner, który kręcił się w pobliżu, dbając, by powracającym do domu bohaterom niczego nie brakowało, zauważył to i uśmiechnął się szeroko.

– Jest mocniejsze po nocy. Kucharka powiedziała, że dobrze wam robi.

– Nie ma nic lepszego – odparł Michael, przymykając powieki i delektując się kolejnym łykiem. Otworzył oczy i uśmiechnął się do Polby'ego. – I proszę, przekaż kucharce, że jeśli chce wyleczyć kogoś z przeziębienia, to nie ma jak grzaniec.

– Doskonale. – Zadowolony, że młodzi mają wszystko, czego potrzebują, Polby wycofał się z uśmiechem i ruszył ku swojemu miejscu na ławie.

Na podwyższeniu Catriona wstała od stołu. Gwar rozmów powoli ucichł i na sali zapadła pełna wyczekiwania cisza. Pani domu się uśmiechnęła i spojrzała na zgromadzonych z wielką sympatią i serdecznością.

– Dziś przypada dzień, w którym należy się radować, dziękować za to, co przyniósł mijający rok i patrzeć z nadzieją w przyszłość. W cokolwiek wierzycie, jakiegokolwiek wyznajecie boga, skorzystajcie z tej okazji i złożcie mu podziękowania. – Przerwała i w sali nie słychać było nawet szmeru.

Wielu pochyliło głowy i ich usta zaczęły poruszać się w cichej modlitwie; inni tylko przymknęli oczy, podczas gdy pozostali czekali, spokojni i bezpieczni.

Wreszcie Catriona się uśmiechnęła i mówiła dalej, czysto i wyraźnie, aby dotrzeć do najodleglejszych słuchaczy:

– Jesteśmy dziś podwójnie wdzięczni, ponieważ nasi młodzi poszukiwacze przygód wrócili cali i, jak wszyscy wiemy, mają do opowiedzenia własną historię bożonarodzeniową. – Opuściła wzrok w stronę stołu obok podwyższenia. – Jednak mamy przed sobą ciepłe jedzenie, a oni na pewno umierają z głodu. – Przez salę przetoczyła się fala śmiechu i Catriona uniosła ręce. – Zapraszam wszystkich, jedźmy, świętujmy i wysłuchajmy historii, którą, gdy tylko będą gotowi, uraczą nas nasi niedawno przybyli członkowie rodziny.

Richard, siedzący obok niej, wstał, gdy kończyła przemówienie. Podniósł kielich i zawołał:

– Moi drodzy, biesiadujmy i weselmy się razem!

Zewsząd dobiegły wiwaty i wszyscy chętnie spełnili życzenie gospodarza.

Michael nałożył sobie indycze udko i rozejrzał się po siedzących przy stole.

– Jak to przeprowadzimy?

Christopher uśmiechnął się wesoło.

– Mnie tam nie było, więc nie mam nic do roboty. Zamierzam jeść, pić i dobrze się bawić.

Sebastian, który siedział obok, trącił go niby przypadkiem, gdy ten sięgał po półmisek z pulardami

w czerwonym winie.

– Ej! – Christopher dźgnął go w rewanżu.

– Chłopcy, chłopcy! – Prudence z drugiej strony stołu pogroziła im obu kością kurczęcia. – Mielicie być dzentelmenami.

Sebastian i Christopher, nieskruszeni, przyjęli to wzruszeniem ramion i razem z Marcusem oraz Michaeliem zabrali się do pałaszowania wszystkiego, co tylko w ich zasięgu nadawało się do jedzenia. Jednakże, nałożywszy sobie kopiaste talerze i przełknąwszy kilka kęsów, Sebastian w końcu zaproponował:

– Może będziemy przekazywać sobie pałeczkę? Ja zacznę i kto będzie chciał, może się włączyć i podjąć opowieść. – Spojrzał na swój talerz. – W ten sposób wszyscy będą mieli rozrywkę, a my zjemy, zanim jedzenie wystygnie.

Lucilla kiwnęła głową.

– Nie wyobrażam sobie, abyście wy opowiedzieli o porodzie, ale ani ja, ani Prudence nie wiemy, co się działo, kiedy ty i Thomas Carrick wyszliście zrobić porządek z tamtą okiennicą, więc taki system pomoże nam przedstawić wszystko.

Pozostali z pełnymi ustami zgodzili się z nią.

Sebastian otarł usta serwetą i wstał. Przystąpił nad ławą i skierował się ku wolnej przestrzeni przed centralnym kominkiem. Zwrócony plecami do ognia, spojrzał na podwyższenie i zobaczył, że rodzice patrzą na niego uśmiechnięci. Spoglądając na nich, skłonił głowę.

– Wasze książęce mości. – Rozłożył ręce i zwrócił się do pozostałych. – *Mesdames et messieurs*, oto nasza opowieść bożonarodzeniowa.

Ten początek został przyjęty ze śmiechem. Zachęcony, Sebastian kontynuował:

– Zaczęło się od wyprawy po lasach w poszukiwaniu zwierzyny. Jednak nadeszła śnieżycyca i... – Tu barwnie opisał pojawienie się Jeba zagrodnika oraz jego błagalną prośbę o pomoc, wskutek której zawrócili z drogi i pojechali z nim do chaty.

Wtedy wstał Marcus. Sebastian wrócił na ławę, do swojego talerza, podczas gdy tamten opisał szczegółowo chatę Jeba, poczynawszy od skromnej konstrukcji, po rozchwiane okiennice i dobudówkę z oborą na tyłach. Przetawił także jej położenie.

– Tak więc front domku był narażony na atak nadchodzącej zawiei – zakończył.

Wówczas podniosła się Lucilla, która zastąpiła brata przed kominkiem.

– Weszłam do środka i zbadałam żonę Jeba, Lottie. Poród już się zaczął i zorientowałam się, że dziecko przyjdzie na świat przed świtem i że nie jest we właściwej pozycji. Wiedziałam jednak, że muszę zostać. Potrzebowałam pomocy Prudence, a Marcus, Sebastian i Michael zdecydowali, że zostaną z nami, aby czuwać nad naszym bezpieczeństwem. Christopher, co wiecie, pojechał z resztą do domu.

Ten wstał od stołu i uzupełnił:

– A wróciliśmy bez szwanku w samą porę na kolację.

Sebastian sarknął:

– Jakżeby inaczej.

Christopher wymownie wzruszył ramionami, co zostało przyjęte dobrodusznym śmiechem, po czym usiadł z powrotem.

Lucilla kontynuowała opowieść:

– Więc nasza piątka i Jeb podjęliśmy przygotowania nie tylko na narodziny dziecka, ale także na atak śnieżycy. – Pokrótce opisała przedsięwzięte środki: przedzielenie izby zasłoną, zgromadzenie zapasu wody.

Po niej wstał Michael i opowiadał dalej.

– Chociaż w chacie panowały czystość i porządek, nie była solidna. – Opisał naprawy, których dokonali, by zabezpieczyć się przed zawieją.

Tu na chwilę podniosła się Prudence, by wspomnieć, że w chacie prawie nie było jedzenia i że wszystko wskazywało na to, że matka będzie mogła pożywić się tylko ciekim bulionem.

– No i oczywiście herbatkami ziołowymi Lucilli. Naprawdę pomogły.

Potem Marcus opowiedział o zwierzętach w oborze.

– A później – podjął Sebastian, który wrócił na scenę – kiedy śnieżycy osiągnęła punkt kulminacyjny i wiatr uderzał w chatę, jakby chciał ją roznieść, rozległo się pukanie do drzwi.

– Raczej walenie! – zawołał Michael.

Sebastian kiwnął głową, a następnie przedstawił dramatyczne pojawienie się Thomasa Carricka z zapasem żywności i trunków.

– Stał na progu niczym dobry król Wacław^[4], z wielkim chartem przy boku. W taką pogodę nie mógł przyjechać konno, więc by przywieźć żywność, wziął sanie.

Wstając, by zastąpić Sebastiana, który nie bardzo chciał przekazać jej głos, Lucilla zauważyła, że początkowe napięcie przy stole na podwyższeniu wyraźnie zelżało na wieść o przybyciu do chaty kolejnego mężczyzny i że starsi Cynsterowie, nie wyłączając jej ojca, trochę się odprężyli; na ich twarzach malowało się zadowolenie. Stając przed kominkiem, zaczęła:

– Zapasy przywiezione przez Thomasa Carricka uratowały nas. Był wśród nich miód pitny, dżin i whisky. Ta ostatnia niestety – skierowała surowe spojrzenie na Sebastiana, Michaela i Marcusa – skończyła się, gdy opuszczaliśmy chatę.

W sali rozległy się śmiechy.

– Mieliśmy więc wśród nas dobrego króla Wacława i jego psa – ciągnęła, obejmując spojrzeniem zebranych. – Mieliśmy parę ubogich zagrodników, z biedną niewiastą, rodzącą przed Gwiazdką dziecko w nędznej chacie, niewiele lepszej od stajni. Mieliśmy zwierzęta za drzwiami... owce, kozę i starą mleczną krowę. Mieliśmy – wskazała Marcusa, Michaela i Sebastiana – trzech mędrców...? – Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza pozostali Cynsterowie. – Wobec tego – kontynuowała, gdy śmiech przycichł – mnie i Prudence przypadła chyba rola aniołów stróżów.

Znowu rozległy się śmiechy i oklaski. Na twarzach zebranych widać było rozbawienie.

Wtedy wstał Michael i zgonił Lucillę z honorowego miejsca przed kominkiem.

– Niezależnie od tego, czym zajmowały się za zasłoną anioły, muszę wam opowiedzieć więcej o psie... gdyż nie jest to zwykły pies. – Z sali dobiegły jęki; wielu wiedziało, że Michael ma bzika na punkcie tych zwierząt. On jednak niezrażony zapewnił towarzystwo: – To jest pies nad psy. – Opisał Hestę barwnie i z werwą, po czym odmalował postać Jeba i jego rosnące zdenerwowanie, wspominając o licznych próbach odwrócenia jego uwagi od wyraźnie cierpiącej żony.

– Były one jednak prawie bezskuteczne – skwitował. – Lecz gdy jęki i krzyki osiągnęły apogeum i wszyscy siedzieliśmy jak na szpilkach, czekając, aż się skończą, nagle okiennice się otworzyły i do środka wpadł śnieg.

Od tego miejsca relację kontynuował zaproszony ponownie przez Michaela Sebastian. Tylko on spośród zebranych wiedział, co się działo, gdy obaj z Thomasem Carrickiem mocowali się z okiennicami; Lucilla, słuchając z takim samym zainteresowaniem jak cała reszta, aż zadrżała. Znała Sebastiana na tyle dobrze, by czytać pomiędzy wierszami jego gładkiej opowieści, i domyśliła się, że on i Thomas mogli poważnie ucierpieć na skutek mrozu i wiatru.

Kiedy okiennice w jego relacji zostały zamknięte i obaj z Thomasem wrócili do chaty, ponownie przejęła wątek.

– Nie wiem, co by się stało, gdyby nie udało się zamknąć okiennic, gdyż powietrze było lodowate, a wiatr bardzo silny. Jednakże pozostali dorzucali do ognia, a niebawem dziecko uznało, że już pora.

Opisała poród jako „niełatwy”.

– Ale dzięki wspólnym wysiłkom, Lottie, Prudence i moim, na świat przyszła śliczna dziewczynka. – Lucilla z uśmiechem spojrzała po sali. – Nastąpiło to dziesięć minut po północy.

Z licznych damskich ust dały się słyszeć czułe westchnienia: „bożonarodzeniowe dzieciątko”.

Następnie przed kominek wyszła Prudence. Z typowym dla siebie praktycyzmem opowiedziała, jak w następnych godzinach wszyscy razem doprowadzili chatę do porządku, zadbali o to, by Jeb i Lottie mieli coś pożywego do jedzenia, i nakarmili zwierzęta gospodarskie.

– Carrick zapowiedział, że zostanie, dopóki śniegi nie stopnieją na tyle, by mógł sprowadzić ludzi, którzy zabiorą Lottie, Jeba i ich dziecko do Carrick Manor.

W tym miejscu zastąpił ją Marcus.

– Chyba żadne z nas nie zauważyło, kiedy śnieżyca ustała. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że wiatr ucichł, więc wyszliśmy na dwór i zastaliśmy ciszę.

Lucilla słuchała, jak brat sugestywnie przedstawia tamtą magiczną chwilę; on także odbierał przyrodę zmysłowo.

Później z kolei podniósł się Sebastian i zwięźle opowiedział o ostatnich poczynaniach w chacie – narabaniu drewna i wydojeniu krowy przez Michaela, który jakimś cudem nie został przez nią kopnięty.

Potem przywołał do siebie pozostałych – włącznie z Christopherem.

– Nie moglibyśmy zostać w chacie, gdyby nie Christopher, więc jego zasługa jest równie duża – oznajmił.

Ten skłonił się przy wtórze wiwatów i śmiechu.

Pozostał przed kominkiem z pozostałą piątką, gdy stojący pośrodku Sebastian rozłożył ręce.

– Powrót przebiegał wolno, ale obyło się bez żadnych incydentów. Oto nasza bożonarodzeniowa opowieść... o tym, jak zostaliśmy wezwani, by z pomocą wszystkich świętych i bogów w świąteczny ranek sprowadzić na świat nowe życie.

Wykonał ukłon i pozostali uczynili to samo, a w Wielkiej Sali rozległy się oklaski, radosne okrzyki i tupanie.

Padły liczne słowa uznania i starsi Cynsterowie pałali dumą ze swoich potomków – przedstawicielei następnego pokolenia – a oni sami z uśmiechami przyjęli komplementy, po czym wrócili na miejsca.

Siedząca przy głównym stole Catriona skinęła na służących, którzy zebrali się w wejściu od kuchni, by wysłuchać relacji. Zaraz potem wniesiono płonące puddingi śliwkowe i dzbany ze słodkim sosem z mleka i jajek. Wtedy wygłodniała gromada się uciszyła.

Claire, która delectowała się wyśmienitym puddingiem – nigdy nie jadła lepszego – skorzystała z okazji, gdy Daniel skierował wzrok w drugą stronę, i przyjrzała się jego profilowi.

Uda się jej zorientować, czy ją kocha? Musiał przecież istnieć jakiś sposób.

Opuściła głowę, zanim przyłapał ją na tym, że mu się przypatrywała. Zrozumiała, że musi coś zrobić, w taki czy inny sposób dowiedzieć się tego, co chciała; podczas bezsennej nocy wyszła poza granicę, gdzie mogła się jeszcze wycofać. Czy był to efekt rady Melindy czy skutek jej własnej determinacji, tego nie wiedziała, ale już nie wyobrażała sobie, że mogłaby odwrócić się od Daniela.

Musiała się zorientować, co jest między nimi, by potem nie żałować do końca życia.

Jak jednak miała uzyskać odpowiedź na pytanie, od którego wszystko zależało?

W milczeniu zjadła pudding z sosem, pogrążona w myślach.

Daniel patrzył na nią, coraz bardziej zbity z tropu. Nie miał pojęcia, czy jest bliski powodzenia czy całkowitej porażki.

Żywił jednak nadzieję i nakazał sobie cierpliwość; wywieranie na nią presji mogło okazać się niemądrym posunięciem. Dzień obfitował w emocje – wprowadzie inne niż te, na jakie liczył; w tak poważnej sytuacji wszelkie próby skupienia uwagi Claire na sprawach osobistych byłyby według niego poważnym błędem.

Co by się jednak stało, gdyby Alasdair albo Rupert zostali nazajutrz odwołani i on albo ona musieliby wyjechać ze swymi pracodawcami? Gdyby nie przyjęła jego propozycji podczas pobytu we dworze?

Gdyby teraz nie uzyskał jej zgody, by – choćby tylko – zalecać się do niej, mógłby nie mieć

w najbliższym czasie podobnej okazji, żeby starać się o jej rękę.

Musiał więc poczynić kroki, aby ją wybać, i to jak najszybciej.

A tymczasem... Gdy bankiet – bo tak należy to nazwać – wreszcie się skończył, Daniel pomógł Claire wstać i przejść przez ławę.

Wykorzystując krótką chwilę, kiedy wszyscy wokół byli zajęci czymś innym, delikatnie uściskał jej dłoń i zapytał tak cicho, by tylko ona słyszała:

– Chciałbym dowiedzieć się o pani jak najwięcej... poznać pani lęki, a także pragnienia. – Pochwycił jej wzrok, gdy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – Nigdy nie zrezygnuję ze swoich marzeń... o pani. – Popatrzył na nią badawczo. – Nie dam się zniechęcić, dopóki stanowczo nie odpowie pani „nie”. – Jeszcze raz uściskał jej dłoń i ją puścił. – Niech pani o tym pamięta, moja najdroższa Claire.

Ona patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem, pod naporem wychodzących z sali, odwróciła się do drzwi.

Chciałbym dowiedzieć się o pani jak najwięcej... poznać pani lęki, a także pragnienia.

Gdy szła w tłumie do wyjścia, z Danielem za plecami, odtwarzała w myśli te słowa, by zapadły jej w serce. By zapadły w duszę.

Zaczerpnęła powietrza i przechodząc pod jemiolą do holu, pomyślała, że może im zawierzyć.

Zanim Lucilla ruszyła za pozostałymi – którzy udali się do swoich pokojów i łóżek, już całkiem wyczerpani występem przed rodziną – została zatrzymana przez Algarię.

– Idź sama – powiedziała do Prudence. – To na pewno nie potrwa długo.

Gdyby było inaczej, mogłaby zasnąć na siedząco.

Kiwając głową ze zmęczeniem, Prudence wyszła z sali.

Lucilla wstąpiła na podwyższenie; jej rodzice i pozostali Cynsterowie udali się już do salonu albo biblioteki. Mijając puste ławy, dotarła do końca głównego stołu i przysiadła, by znaleźć się na poziomie wzroku babki i Algarii, które patrzyły na nią bystro, jedna jasnozielonymi oczami, a druga czarnymi.

McArdle spał w fotelu najbliżej kominka, zwrócony do ognia, i chrapał.

– Powiedz nam. – Algaria zarzuciła szal na zgarbione plecy. – Chcemy poznać szczegóły porodu, które pominęłaś. Twoja babka nie dostanie waporów, gdy je usłyszysz, więc mów.

Lucilla zdołała powściągnąć uśmiech, ale widząc rozbawione, pobłażliwie spojrzenie, jakie wdowa rzuciła Algarii, z trudem zachowała powagę. Spokojnie opisała poród, ze wszystkimi szczegółami, tak jak oczekiwała tego Algaria, uwzględniając także to, co zaobserwowała u Lottie, a także wymieniając skład ziołowych herbat, które parzyła, i proporcje trunków opartych na miodzie i dżinie, które zaleciła kobiecie pić w połogu.

Starsze damy słuchały, nie przerywając, ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy, co trochę ją peszyło.

Kiedy zakończyła relację, Algaria pokiwała głową z wyraźnym zadowoleniem.

– Doskonale. Zrobiłaś wszystko zgodnie z zasadami. – Obdarzyła ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów. – Zapamiętałaś moje nauki i dobrze je wykorzystywałaś. Niczego więcej nauczyciel nie może sobie życzyć.

Zaskoczona taką pochwałą ze strony Algarii, Lucilla się zawahała, z potem zadała pytanie, które tłuło jej się po głowie od co najmniej dwunastu godzin – odkąd na tyle zbliżyła się do Thomasa Carricka, by wyczuć, że on także jest naznaczony przez Panią.

– Jedno mnie ciekawi... – Spojrzała na Algarię. – Dziwię się nawet, że nie zapytałam o to wcześniej, ale jak daleko poza Vale rozciąga się królestwo Pani? – Czy obejmuje także tereny na północy? Na przykład ziemie Carricków?, dodała w myślach.

Algaria uniosła brwi, jakby i ona wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Potem jednak wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, że nie ogranicza się do Vale. Nie sądzę jednak, by miało wyraźne granice. – Przyszpiliła

Lucillę spojrzeniem. – Lepiej zapytaj, jak daleko sięga jej oddziaływanie. Znalazłaś się poza nim... straciłaś z Panią łączność... tam w chacie? Wyczuwasz to przecież, kiedy jeździsz do Londynu.

– Ach, rozumiem.

– No i? – ponagliła ją Algaria.

– Nie, nie znalazłam się poza nim, ani będąc w chacie, ani w żadnym innym miejscu, gdy w Wigilię objeżdżaliśmy okolice. Tak więc władza Pani sięga aż tam.

Po ziemie Carricków, pomyślała.

– Cóż, więc masz odpowiedź. – Algaria opadła na oparcie fotela. – A teraz idź odpocząć. Jesteś wykończona, widzę to.

Nie ukrywając już zmęczenia, Lucilla uśmiechnęła się i wstała.

Dowiedziawszy się, że podobnie jak ona i Marcus, Thomas Carrick także jest wybrańcem Pani – nie rozumiała tylko dlaczego – dygnęła przed babką i Algarią. Dopiero gdy się odwracała, uświadomiła sobie, że Helena, która słuchała wszystkiego w milczeniu, w przeciwieństwie do Algarii usłyszała, co trzeba.

Lucilla, zbyt zmęczona, by się zastanawiać, co jej irytująco przenikliwa babka może zrobić z tą wiedzą, ruszyła do swojego pokoju.

Rozdział dziewiąty

Po południu, kiedy cały dwór wypoczywał po obfitym posiłku, Daniel wreszcie odnalazł Claire; siedziała we wnęce okiennej w jednej z wieżyczek. Kiedy ją zobaczył, wyglądała za okno, jednakże usłyszawszy jego kroki na kamiennej posadzce, odwróciła się. I uśmiechnęła, acz z pewną rezygnacją.

Odpowiedział uśmiechem – tak lekkim, na jaki tylko mógł się zdobyć, gdyż przez cały dzień narastało w nim napięcie, które niedawno osiągnęło punkt kulminacyjny. Daniel miał wrażenie, że jego pierś ścisną żelazna obręcz niepozwalająca mu oddychać. Wskazał miejsce obok niej na obitej tkaniną ławce.

– Pozwoli pani?

Unosząc w uśmiechu kąciki ust, Claire skłoniła głowę.

– Ależ proszę.

Usiadł. Obrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Patrzył tak przez kilka sekund, po czym opuścił wzrok ku rękom, które złożyła na kolanach.

Pod wpływem niepohamowanego impulsu wziął jej dłoń, przyciągnął do siebie i ujął w obie ręce. Nie protestowała, nie broniła się ani przed jego dotykiem, ani śmiałym gestem. Czując coraz silniejsze pragnienie i ośmielony przyzwoleniem, zaczął cicho:

– Wiem, że nie powinienem pani poganiać, że powinienem dać pani tyle czasu, ile będzie pani potrzebowała na przemyślenie...

Widocznie usłyszała coś w jego głosie, gdyż odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz. Położyła drugą rękę na jego dłoniach, ściskając je lekko.

Daniel zaczerpnął tchu i podniósł głowę. Spojrzał Claire głęboko w oczy.

– Ale muszę spytać... muszę wiedzieć. Czy mogę mieć nadzieję? Że jest dla nas przyszłość?

Claire popatrzyła w jego ciepłe orzechowe oczy i zobaczyła – nieskrywane, zupełnie jawne – oddanie i głębokie, nieprzemijające uczucie. Silne, niezachwiane, niezawodne.

I wówczas wzajemnie poczuła miłość, która już istniała, więź, której szukała przez całe dorosłe życie.

– Ja... – Patrząc mu w oczy, tak jak on jej, zapragnęła uczciwości, zwykłej prawdy. Mając wrażenie, że stoi przed nieuniknionym krokiem, pokonała wahanie i zaczęła: – Muszę wiedzieć...

Ale przerwał jej przeraźliwy krzyk.

Oboje zareagowali instynktownie. Odwrócili się do okna, stanęli na palcach, by spojrzeć w dół. Zobaczyli. Zamarli na chwilę, po czym oboje szybko ruszyli z wieżyczki po schodach.

Daniel biegł pierwszy, a ponieważ miał długie nogi, od razu znacznie ją wyprzedził. Ona, unosząc spódnicę do łydek – do diabła ze skromnością, nie mogła wszakże ryzykować, że się potknie – popędziła za nim, modląc się, by zdążyli na czas dotrzeć nad potok.

Widok, który ujrzeni z okna, zwiastował nieszczęście. Z dworu wymknęła się duża grupa dzieci – nie Cynsterów, ale domowników – które bawiły się w zaspach śniegu. Iskrzące się warstwy lodu zamieniły tarasowe ogrody między dworem a potokiem w zimową krainę z baśni. Część dzieci oczywiście przyciągnął potok – jego zdradzieckie brzegi, gdyż pomimo mrozu pod cienką warstwą lodu i śniegu płynęła woda. Później być może zamarzłby na tyle, by można było po nim jeździć na łyżwach, lecz obecnie stanowił śmiertelną pułapkę dla nierozważnych.

Jeden z chłopców wpadł już do wody, a co najmniej dwaj następni byli tego bliscy.

Dwie dziewczynki, które krzyczały i szlochały, leżały na pękającej tafli lodu i ich nogi unosiły się już nad lodowatym nurtem.

Dysząc ciężko, Claire dotarła na parter i popędziła korytarzem prowadzącym do bocznych drzwi, które stały otworem, niewątpliwie zostawione tak przez Daniela, który już wypadł na dwór.

Z przodu Polby, idąc szybko w stronę wyjścia, wykrzyknął:

– Wielkie nieba! Zostawiać drzwi niezamknięte w taką pogodę...!

– Polby! – Claire dobiegła do niego i chwyciła go za ramię. – Nie zamykaj drzwi. – Odpowiadając na jego zdziwione spojrzenie, rzuciła bez tchu: – Dzieci... wpadły do strumienia. Pan Crosbie pobiegł im na pomoc. Ja też idę. Zawołaj innych... kogo tylko możesz. Potrzeba zwłaszcza mężczyzn, którzy by je wyciągnęli.

Chciała pomóc, ale będąc w ciężkiej zimowej sukni, nie mogła ryzykować wejścia do wody głębiej niż po kolana.

Polby wytrzeszczył oczy, ale natychmiast zrozumiał. Nie czekając dłużej, Claire puściła go i pobiegła do wyjścia.

Stanął na progu, by szybko ocenić sytuację, po czym zeszła z ganku na śliski śnieg. Bywała we dworze dostatecznie często, by znać z grubsza układ tej części ogrodu – w innych porach roku dużego zielnika. Pamiętała, gdzie przebiegają ścieżki, lecz teraz wszystko przykrywał śnieg, pod którym kryły się niebezpieczne połacie lodu; musiała więc stąpać ostrożnie.

Zaciskając usta przed pierwszym powiewem zimna, napomniała samą siebie surowo, że nie pomoże, jeśli złamie nogę. Miała wystarczająco dużo doświadczenia, by powściągnąć impuls nakazujący jej pośpiech, jednakże czuła palącą potrzebę, by jak najszybciej dotrzeć do miejsca, w którym mogłaby zobaczyć, co się dzieje, a potem pomóc Danielowi – a także się upewnić, że nic mu nie grozi.

Patrząc w dół z wieżyczki, mieli całą scenę jak na dłoni; idąc od strony domu, musiała przebyć niemal połowę zielnika, by ujrzyć brzeg potoku.

Dotarłszy wreszcie do tego punktu, z którego rozciągał się widok na strumień, przystanąła i objęła wzrokiem miejsce zdarzenia. Serce podeszło jej do gardła.

– O Boże.

Daniel wskoczył do lodowatej wody. Przyciskając do piersi chłopca, rozpaczliwie walczył, by utrzymać swoją i jego głowę nad powierzchnią wody.

Potok był znacznie głębszy, niż przypuszczała; co gorsza, dostrzegła skały – ciemnoszare, ostre, które gdzieś tam wystawały – niepozorne zagrożenia czające się w spienionej wodzie.

Już dwaj następni chłopcy wpadli do rwącego strumienia; desperacko trzymali się wielkiego kamienia, starając się utrzymać głowy nad wodą.

Dwie dziewczynki, wcześniej leżące na załamującym się lodzie, zostały złapane przez inne dzieci i tkwiły po pas w lodowatej wodzie; tamte nie były jednak na tyle silne, aby je wyciągnąć.

A mróz był dotkliwy, zimno przenikało aż do kości.

Ani Claire, ani Daniel nie mieli na sobie płaszczy czy rękawiczek, nie mówiąc już o butach na dwór. Ruszając po śliskim śniegu w ostatniej części zielnika, Claire odsunęła od siebie myśl o chłodzie i skupiła na tym, by dotrzeć nad potok.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Daniel ślizga się i potyka na kamiennym dnie potoku, usiłując wyciągnąć chłopca na brzeg. Zmieniła kierunek, zmiierzając tam, dokąd znosiła ich woda.

Dotarłszy nad potok, zlustrowała brzeg; w kilku miejscach pod śniegiem znajdował się cienki lód, który załamałby się pod jej ciężarem. Zbadała stopą, gdzie może pewnie stanąć, i gdy Daniel się zbliżył, wyciągnęła rękę po chłopca.

Dzwoniąc zębami z zimna, Daniel znalazł podparcie na dnie potoku. Dłonie chłopca były tak zgrabiłe, że nie mógł się niczego chwycić. Daniel także szybko przemarzał, lecz dwaj pozostali chłopcy nie przetrwaliby w wodzie długo, gdyby natychmiast po nich nie wrócił.

Żaden z nich nie był na tyle duży, na tyle ciężki, by stawić opór rwącej wodzie.

Potykając się, Daniel zebrał wszystkie siły, podniósł chłopca i podał go Claire.

Ona pochyliła się i natężyła, by złapać chłopca za rękę, ale zorientowała się, że to na nic, i chwyciła go za nadgarstki.

– Trzymam go! – zawołała.

Daniel na moment się zatrzymał.

– Proszę się upewnić, że stoi pani stabilnie.

Nie chciał, by wpadła do wody.

Claire stanęła pewniej, po czym kiwnęła głową.

– Niech mi go pan poda!

Daniel przekazał jej chłopca. Claire wyprostowała się sprawnie, obróciła w miejscu i przerzuciła malca bezpiecznie na brzeg.

Daniel natychmiast ruszył po następnego chłopca. Kątem oka zauważył kilkoro innych dzieci na brzegu, które stłoczone i przerażone, nie mogąc pomóc kolegom, zbliżyły się do Claire. Przywołała je do siebie. Z oddali usłyszał, że wydaje im krótkie polecenia, aby zaopiekowały się uratowanym chłopcem; był za słaby, aby ustać na nogach.

Zbliżając się do dwóch malców uczeplonych skały pośrodku kipieli, Daniel szybko ocenił, którego należy ratować najpierw; chociaż mieli zaledwie po osiem lat, nie mógł przenieść na brzeg obu naraz.

Woda poniżej skały była tak głęboka, że sięgała mu prawie po szyję; starając się utrzymać równowagę w rwącym nurcie, chwycił chłopca, którego uznał za drobniejszego i który ledwie trzymał się ostrej skały.

– Ty następny! Puść się, a ja zaniosę cię na brzeg. – Do drugiego zaś rzucił: – Zaraz po ciebie wrócę.

Chłopiec, którego złapał, patrzył na niego z przerażeniem na drobnej buzi, wyraźnie już siniejącej.

Daniel odzyskał podparcie, podniósł krztuszącego się malca, sprawdził, czy ten nie ma w ustach wody i zaczął mozolnie przeprować się na brzeg.

Tym razem tak daleko go nie zniosło.

Drżał już na całym ciele, lecz to było nic w porównaniu z dreszczami, które wstrząsały drobnym ciałem chłopca. Zbliżając się do brzegu, usłyszał z góry krzyki i nawoływania. Przez śnieg w zielniku przedzierali się już inni – między innymi Raven, Morris i Melinda – lecz byli jeszcze zbyt daleko, by pomóc.

Jednakże Claire stała blisko. Odrzucając w tył mokre włosy, które zasłaniały mu widok, skupił wzrok na tym odcinku brzegu, do którego chciał dotrzeć. Zobaczył, że Claire znalazła inny skrawek stabilnego gruntu, by się na nim zaprzeć i odebrać chłopca.

Kiedy znalazł się bliżej, powtórzyli wcześniejszy manewr, lecz drugi chłopiec był trochę cięższy od pierwszego. Claire próbowała przerzucić go na brzeg, ale potknęła się i zachwiała.

Wtedy ślizgając się, dopadł do niej Raven, chwycił ją w pasie i podtrzymał. Zaciskając usta, Claire złapała równowagę i przeniosła malca.

Raven spojrział na Daniela pytająco.

Wracając już do skały pośrodku potoku, Daniel wskazał dwie dziewczynki wiszące nad wodą; popłakiwały cicho, kurczowo trzymając się lodu, ale były na tyle mądre, że nie miotały się ani nie próbowały wspiąć się na śliską, niestabilną taflę.

– Wyciągnijcie je! Ja pójdę po ostatniego chłopca... nie ma sensu, byście przemokli!

I przemarzli do szpiku kości jak on.

Patrząc na trzeciego malca, który wciąż czepiał się skały, Daniel zmusił zdrętwiałe nogi do posłuszeństwa; zmagając się z nurtem, ruszył w górę potoku.

Dochodził już do skały, kiedy chłopiec z krzykiem stracił podparcie dla rąk. Wody strumienia porwały go niczym głodny zwierz i uniosły.

Daniel rzucił się za nim. Zalała go woda, ale zdołał chwycić kurtkę chłopca. Walcząc z bólem, zacisnął zgrabiałe palce na materiale.

Wypłynął na powierzchnię i złapał oddech. Powoli przyciągnął małego do siebie, po omacku wydobył jego głowę z wody i wsparł na swoim ramieniu.

Chłopiec otworzył oczy; malowała się w nich panika i zwierzęcy strach. Zaczerpnął tchu i zaczął

oddychać chrapliwie, drżąc na całym ciele.

– Trzymaj się mnie – wycedził Daniel przez szczękające zęby. – Nie puszcze cię.

Nawet mówienie sprawiało mu wysiłek. Odnosił wrażenie, jakby jego płuca się kurczyły, jakby nie miały siły się rozszerzyć i nabrać powietrza.

Odwrócił się jednak i ruszył – powoli – do brzegu.

Nagle wydało mu się, że ma przed sobą bardzo długą drogę.

Zmuszając nogi do kolejnych pełnych wysiłku kroków, był świadom gorączkowej krzątaniny, gdy wyciągano z wody dwie dziewczynki. Patrząc spod opadających mu na czoło kosmyków, które zaczęły zamarzać, zobaczył, że dwaj uratowani wcześniej chłopcy, okryci kocami, są niesieni do domu.

Nie czuł już stóp. Ani palców u rąk. Świadomy był tylko ciężaru ciała chłopca; mały był jeszcze bardziej przemarznięty od niego.

O dziwo, woda nie wydawała mu się już taka zimna. Daniel pomyślał, że to niedobry znak.

Ogarnęło go śmiertelne zmęczenie...

Czubkiem buta uderzył w kamień i prawie się przewrócił.

– Danielu!

Z oddali dotarł do niego głos Claire. Otworzywszy oczy – nie zdawał sobie sprawy, że je zamknął – spojrzął w jej stronę; pochyliła się do przodu i wyciągała do niego ręce.

Z wysiłkiem zrobił krok naprzód. I następny.

Raven i Morris czekali już, by pomóc mu wydostać się na brzeg. Razem z Richardem Cynsterem i jakimś przerażonym człowiekiem – stolarzem, jak uświadomił sobie Daniel. Musiał trzymać w objęciach jego syna.

Dno strumienia zaczęło się wznosić. Nie zważając na straszliwy ból ud, Daniel parł naprzód. Jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Woda sięgała mu już do piersi. Przystanął i zebrał siły; wciąż był zbyt daleko od brzegu, by ktoś mógł mu pomóc, lecz nagle chłopak zawisł bezwładnie na jego rękach, swym nierówno rozłożonym ciężarem niemal pozbawiając go równowagi.

Daniel ostatnim wysiłkiem, chwiejąc się na nogach, odzyskał pion, podniósł chłopaka nad wodę i przycisnął do piersi. Pochylił głowę i ruszył dalej.

Kolejny krok. I kolejny.

Niedługo potem chwyciły go czyjeś ręce i pociągnęły w przód; potknął się, ale go podtrzymano.

Ktoś wziął od niego chłopca. Daniel odprężył się z zamkniętymi oczami i poleciał do tyłu.

Znowu go złapano, nawet szybciej. Znacznie szybciej. Potem został na wpeł uniesiony, a na wpeł wywleczony z wody.

Pod wpływem zimnego powietrza zamrugał i chwilę potem poczuł na ramionach koc – och, upragnione ciepło!

Na jego głowę spadł ręcznik i ktoś – chyba Claire – zaczął energicznie wycierać mu włosy.

– Dobrze. Teraz zabierzemy cię do domu. – Głos należał do Richarda Cynstera, który wziął go pod rękę.

Inny z Cynsterów – sam książę? – ujął go pod ramię z drugiej strony i razem skierowali się w stronę domu.

Ruszyli po wznoszącej się ścieżce, którą ktoś przewidujący zdążył posypać solą i żwirem.

Daniel powoli – na uginających się nogach – przeszedł przez zielnik, aczkolwiek nie kosztowało go to żadnego wysiłku; czuł się niczym kierowana przez kogoś marionetka. Miał jednak świadomość obecności Claire; stale czuł na sobie jej wzrok, czujny, przestraszony, pełen troski.

Chciał uśmiechnąć się do niej i powiedzieć, że nic mu nie jest, lecz nie czuł języka ani nawet twarzy, nie mógł więc nimi poruszać.

Wyższy odcinek ścieżki został pospiesznie odśnieżony i oto znaleźli się przy bocznych drzwiach dworu.

Dwaj Cynsterowie pomogli mu pokonać próg i wejść do domu, następnie ostrożnie przekazali go innym parom rąk, które pospieszyły z pomocą.

Raven i Morris zostali przy nim. Claire i Melinda kręciły się w najbliższym otoczeniu.

Chwilę potem, wsadzony do wanny wypełnionej po brzegi ciepłą wodą, Daniel wreszcie zaczął tajać.

Jęknął, odchylił głowę do tyłu i zanurzył się pod wodę. Został tam tak długo, jak tylko się dało, czekając, aż ciepło przeniknie jego głowę i uszy, przywracając czucie w postaci nieprzyjemnego bolesnego mrowienia.

Wynurzywszy głowę z wody, otarł twarz i ocenił swój stan. Dreszcze przeszły w drzenie, lecz choć trochę się ogrzał, wciąż czuł się przemarznięty do szpiku kości.

Przed nim wyrósł Raven. Spojrzał mu w oczy i skrzywił się z zadowoleniem.

– Dobrze. Wracasz do nas. – Sięgnął w bok i podniósł kryształową szklankę ze sporą ilością bursztynowego płynu. – Mamy dać ci to po kolei. To od naszego gospodarza, najprzedniejsza whisky na świecie, jak słyszałem.

Daniel wyjął z wody prawą rękę. Nie odzyskał jeszcze do końca czucia w palcach, ale bez wielkiego trudu ujął nimi szklankę. Skinął głową i obiema dłońmi uważnie podniósł drinka do ust i upił łyk.

W gardle poczuł płynny ogień, który spłynął do żołądka. Gdy rozlało się po nim ciepło, zamknął oczy i westchnął.

– To... naprawdę bardzo dobre. – Zabrzmiało to chrapliwie, ale przynajmniej nie stracił głosu.

Po drugiej stronie wanny pojawił się Morris.

– Otrzymaliśmy dokładne instrukcje. – Pochylił się, by zanurzyć palce w wodzie, po czym się wyprostował. – Możesz leżeć w wannie, dopóki woda nie ostygnie, potem mamy cię z niej wyciągnąć, wytrzeć, ubrać i posadzić przed kominkiem w Wielkiej Sali.

Daniel, pociągając większy łyk whisky, ściągnął brwi.

– Nie mogę usiąść przed ogniem w naszym pokoju? – Może Claire dotrzymałaby mu towarzystwa. W głowie zaświtała mu pewna myśl – w związku z nią i nim samym – którą chciał wcielić w życie.

Morris prychnął.

– Nie ma takiej możliwości. Jesteś bohaterem dnia i wszyscy chcą cię zobaczyć, choćby po to, by sprawdzić, że nic ci nie jest.

Daniel westchnął i odparł żałośnie:

– Nie zamierzałem zostać bohaterem.

Raven przyglądał mu się przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

– I właśnie dlatego nim jesteś. A teraz – wziął od niego pustą już szklankę – wypijesz to od naszej gospodyni, która twierdzi, że dzięki temu trunkowi nie ucierpisz nadmiernie od zbyt długiego przebywania w zimnej wodzie.

Daniel przyjął drugie naczynie, tym razem prosty kubek. Przyjrzał się zielonemu płynowi w środku, a potem go powąchał. W nozdrza uderzył go ziołowy aromat z wyraźną nutą alkoholu. Ostrożnie skosztował trunku i natychmiast się zorientował, że jest on niezwykle mocny. Był to, jak podejrzewał, destylat, lecz już pierwszy łyk przywrócił mu siłę.

– Czym smakuje? – spytał Morris.

Daniel ponownie upił eliksiru, posmakował go, po czym oblizał wargi.

– Przypomnij sobie aromat wszelkiej zieleniny, jaką kiedykolwiek miałeś w ustach... i wyjdzie ci – podniósł kubek – to. – Pociągnął następny łyk i przechylił głowę. – Całkiem niezłe.

Pół godziny później, z Morrisem i Ravenem po obu stronach, Daniel zdołał dotrzeć o własnych siłach do Wielkiej Sali. Było jeszcze za wcześnie na kolację, jednakże, ponieważ już się zmierzchało, większość domowników i gości, wiedzona ciekawością, zebrała się przy stołach, gawędząc w grupkach i opowiadając sobie historię uratowania dzieci.

Gdy tylko zebrani ujrzeli Daniela – zbawcę – podniosły się radosne okrzyki, które przetoczyły się

przez salę, w miarę jak inni odwracali głowy i przyłączali się do ogólnego aplauzu.

Na podwyższeniu rozbrzmiały oklaski, które potem rozległy się w całej sali. Daniel nie pamiętał, aby kiedykolwiek wcześniej tak się rumienił, gdy idąc za wskazówkami Morrisa, wraz z eskortą znalazł się przy końcu stołu, najbliżej głównego kominka.

Claire, rozpromieniona, podniosła się i wskazała miejsce na ławie obok siebie.

– Zarezerwowane dla pana – rzekła.

Daniel, który nie miał nic przeciwko tej propozycji, skierował się w tamtą stronę.

Wszyscy – zarówno dzieci, jak i dorośli, jego podopieczni i ci, którymi zajmował się w ostatnich dniach i ostatnich latach – wstali, klaszcząc i wznosząc okrzyki na jego cześć. Zatrzymawszy się przy ławie, Daniel uświadomił sobie, że znalazł się mniej więcej w tym samym miejscu, w którym młodzi Cynsterowie relacjonowali po kolei swą przygodę. Wziął więc przykład z Sebastiana. Najpierw skłonił głowę, patrząc na siedzących przy centralnym stole, a potem potoczył wzrokiem po całej sali i powiedział:

– Gdybym mógł, wykonałbym ukłon, ale obawiam się, że przy pierwszej próbie upadnę na nos. – Zgromadzeni przyjęli to z rozbawieniem. Uśmiechając się, Daniel przyłożył dłoń do serca i pochylił głowę. – Dziękuję państwu za troskę i życzenia. Czuję się dobrze i najlepszą nagrodą będzie dla mnie wiadomość, że trzej chłopcy, którzy wpadli do potoku, również doszli do siebie.

Z kilku miejsc na sali dały się słyszeć zapewnienia, że tak właśnie jest. Daniel przyjął to skinieniem głowy. Spojrzał na innych przy stole – Ravena, Morrisa, Melindę i Claire.

– W takim razie wszystko dobrze się skończyło.

Kiedy pozostali siadali na miejscach, obszedł koniec ławy.

Wciąż stojąc przy stole na podwyższeniu, Catriona spojrzała na Daniela, który miał właśnie zająć miejsce, ale zatrzymał się i wyprostował.

Catriona się uśmiechnęła.

– W imieniu nas wszystkich, panie Crosbie, chciałabym panu podziękować za dzisiejszy czyn. Dzięki szybkiej i ofiarnej akcji zapobiegł pan nieszczęściu i uratował święta... które przesłoniłaby tragedia. Nie mamy słów wdzięczności. Jednakże... – tu głos Catriony przybrał nieco inny ton – pozwoli pan, że zrobimy co w naszej pomocy, by odplacić się panu. Jak pan widzi, przestawiliśmy stoły, by mógł pan usiąść na swym zwykłym miejscu, obok pani Meadows, a jednocześnie być blisko ognia. Do końca dnia będzie pan uprzejmy nie oddalać się od kominka.

Widząc, że wszyscy na niego patrzą, Daniel skłonił głowę.

– Wedle życzenia, pani. – Nie mógł odpowiedzieć inaczej.

Catriona przyjęła to z uśmiechem. Łaskawym gestem pozwoliła mu usiąść i sama zajęła swoje miejsce.

Daniel opadł na ławę z cichym westchnieniem. Uśmiechnął się do pozostałych; wszyscy pomogli mu nad potokiem.

– Naprawdę dzieciom nic się nie stało? – zapytał.

Potwierdzili, a Melinda odrzekła:

– Niedawno przyszła pani Broom. Powiedziała, że wszyscy trzej chłopcy i obie dziewczynki, jak również ich młodzi przyjaciele, którzy byli nad potokiem, leżą w łózkach i być może w nich pozostaną przez następne kilka dni. Na pewno nie będą oddalać się od rodziców. Nasza gospodyni na wszelki wypadek obejrzała ich wszystkich, a tym skąpanym nieszczęśnikom zaaplikowała medykamenty i orzekła, że nic im nie będzie.

Morris sarknął.

– W efekcie przynajmniej żadne z tej gromady... ani, jeśli o to chodzi, z naszych wychowanków, tych wszystkich młodych ludzi, którzy widzieli cały dramat, zimą nawet nie zbliży się do brzegu rzeki czy strumienia.

– Cóż, życie to nieustanna nauka, czyż nie? – Melinda rozłożyła serwetkę, kiedy pojawili się służący

z półmiskami i dzbanami grzanego piwa.

Po wystawnym uroczystym lunchu kolacja była znacznie lżejsza, także świąteczna, lecz już nie tak podniosła; przebiegała w znacznie swobodniejszej atmosferze. Mimo dramatycznych wydarzeń – śnieżycy, która o mało nie kosztowała młodych Cynsterów co najmniej zdrowia, i niebezpiecznego wypadku pięciorga dzieci służby – dzień zakończył się dobrze; jeśli już, przebieg wspomnianych wydarzeń tylko wzmocnił więzi wśród obecnych, niezależnie od tego, skąd pochodzili.

Daniel siedział na ławie przed kominkiem, czując za plecami ciepło ognia, i gdy posiłek dobiegł końca, podniecenie opadło, a niedawna przygoda stała się już wspomnieniem i zebrani zaczęli opuszczać salę, podziękował w głębi ducha za swoje szczęście.

Claire nie opuszczała miejsca przy Danielu i razem z Melindą, Ravenem i Morrisem brała udział w rozmowie, bawiąc go i tym samym pozwalając mu odpocząć.

Kiedy większość towarzystwa już wyszła i w Wielkiej Sali zrobiło się ciszej, pozostali troje też wstali.

Raven uśmiechnął się do Daniela.

– Zgodnie z życzeniem naszej łaskawej gospodyni masz pozostać przy kominku co najmniej do godziny dziesiątej. Później możesz udać się na swoją kanapę, jednakże dostałeś oddzielny pokój, cieplejszy, na szczycie wieży. – Zerknął na Claire, a potem spojrzał ponownie na Daniela. – Chcesz, abym wrócił i zaprowadził cię tam czy...

– Wiem, gdzie to jest – włączyła się Claire. – Ja go zaprowadzę.

Daniel uśmiechnął się do niej, a potem do reszty.

– Dziękuję wam za pomoc.

– Ależ nie ma za co, mój chłopcze. – Morris lekko poklepał go po ramieniu. – Jesteśmy z ciebie dumni.

– Owszem. – Melinda zarzuciła szal na krągłe ramiona. Do Claire zaś powiedziała: – Zajrzę do naszych podopiecznych, dziś wieczorem nie musisz się o nich martwić.

– Dziękuję ci. – Claire zaczęła, aż wszyscy skierują się do wyjścia, po czym ponownie zwróciła się w stronę Daniela.

Popatrzyła mu przeciągle w oczy, a następnie zerknęła na cień za jego plecami. Znowu na niego spojrzała.

– Może przeniesiemy się do tamtego zakątka? – Nisza przy kominku była bardziej ustronna, co wobec tego, że po wydarzeniach dnia mieli wrócić do rozmowy przerywanej, by ratować dzieci, stanowiło niewątpliwą zaletę.

Daniel odwrócił głowę i spojrzał w tamtą stronę.

– Jest bliżej kominka, panuje tam miłe ciepło, więc nie sędzę, by nasza wszechwiedząca gospodyni uznała to za niesubordynację.

Claire wstała z uśmiechem i przekroczyła ławę.

– Ona jest trochę... chciałam powiedzieć „dominująca”, jednak lepszym słowem będzie „władcza”.

Daniel zgodził się z nią.

– W rzeczy samej.

Powoli, ostrożnie wstał z ławy, wyprostował się, przeciągnął – i skrzywił boleśnie.

Claire natychmiast się zaniepokoiła.

– Dobrze się pan czuje?

Uśmiechnął się.

– Tak... to tylko strzyknięcie. Do rana przejdzie.

Nie czekała, by wziął ją ze rękę; sama ujęła jego dłoń i razem przeszli kilka kroków do niszy przy kominku. Tam usiedli.

Kiedy na niego spojrzała, uniósł brew i opuścił wzrok na ich złączone ręce.

– Czy powinienem wyczytać w tym odpowiedź?

Mimo pozornej nonszalancji, było to poważne pytanie. Zważywszy, na czym zakończyli poprzednią rozmowę, trudno się temu dziwić.

Claire odczekała chwilę, aż spojrzał jej w oczy. Popatrzyła mu w twarz i odkryła, że całkiem łatwo przyszło jej odpowiedzieć:

– Tak.

Daniel znowu uniół brwi, lecz delikatnie, zapraszająco, mimo że wyraźnie spoważniał.

Zaczerpnęła głębszy oddech – najgłębszy tego dnia – i oznajmiła:

– Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, powiedziałam, że muszę się czegoś... dowiedzieć. – Znowu spojrzała mu w oczy, a on skinął głową.

– Pamiętam. – Umilkł, po czym zapytał: – Czego takiego... czego chciała się pani dowiedzieć?

– To już nieważne – odparła. Rozejrzała się szybko dokoła i znowu utkwiała wzrok w jego twarzy. – Nie wiem, co się dzieje... czy ma to coś wspólnego z tym miejscem... ale gdy miałam zadać panu tanto pytanie, rozległ się krzyk dzieci, pan pobiegł je ratować, a ja za panem, i wszystko, co stało się później... co widziałam i czułam, co przeżyłam... sprawiło, że to, co chciałam wiedzieć... dlaczego chce mnie pan poślubić, czy naprawdę mnie pan kocha... straciło znaczenie.

Spoglądał na nią intensywnie, wpatrzony w jej twarz, w oczy.

– Co panią tak... olśniło? Co wobec tego ma znaczenie?

Odpowiadając na jego spojrzenie, Claire dostrzegła wszystko, co chciała wiedzieć.

– Znaczenie... dla mnie najważniejsze... ma to, że pana kocham.

Kiedy dotarła nad potok i zobaczyła go z chłopcem w ramionach, niemal tonącego w lodowatej wodzie, serce podeszło jej do gardła, a potem waliło mocno przez cały ten czas, gdy walczył o uratowanie trzech malców. Nie miała wątpliwości, co to oznacza.

To uczucie stało się zbyt silne, zbyt potężne, zbyt instynktowne. I nigdy wcześniej nie doświadczyła podobnego.

Te chwile poruszyły ją nadmiernie głęboko, aby mogła jeszcze wątpić. Tylko prawdziwa miłość była w stanie tak ją poruszyć.

Prawdziwa miłość, którą czuła wcześniej, która już w niej żyła.

Nie musiała wiedzieć, czy on ją kocha, by oddać mu rękę. Jej serce już zdecydowało.

Jej dusza wyrывała się do niego, niezależnie od tego, co mówił racjonalny umysł.

Daniel spojrzał jej w oczy i tym razem zobaczył w nich spokojną pewność. Była ufna, zdecydowana – nawet zdeterminowana; podjęła decyzję. Na jego korzyść. Próbował nad sobą zapanować, lecz bezskutecznie. Serce przepełniła mu radość. Zwrócił się ku niej i ujął jej obie ręce.

– Proszę, niech pani za mnie wyjdzie, Claire. Niech pani za mnie wyjdzie i uczyni mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Uniosła kąciki ust; odwzajemniła uścisk jego dłoni, lecz nie była młódką, by omdleć z wrażenia.

– Nie jestem pewna, czy nie jest odwrotnie. Gdyż to pan, żeniąc się ze mną, uczyni mnie najszczęśliwszą kobietą na świecie. Tak, wyjdę za pana – uśmiechnęła się szerzej – skoro wreszcie mi się pan oświadczył. Ale, mój najdroższy Danielu, nie wiem, z czego będziemy... nie mam zbyt dużo oszczędności.

Pokręcił głową.

– To nie jest przeszkoda nie do przezwyciężenia, znajdziemy jakiś sposób. Teraz, gdy odnaleźliśmy się nawzajem, wszystko się ułoży. – Rozejrzał się wokół. – Tak, zgadzam się, że to miejsce nam sprzyja, więc miejmy nadzieję, że pomoże nam rozwiązać i ten problem.

Mocniej ściskając jego dłoń, uniosła brwi.

– Może to Pani chce, byśmy złączyli nasz los?

Uśmiechnął się i zbliżył do niej.

– Ona zdaje się naprawdę dobrym bóstwem. Jestem szczęśliwy, że pobłogosławiła nasz związek.

Pochylił głowę i pocałował Claire, a ona dotknęła dłonią jego policzka i odpowiedziała na pocałunek. To było przypieczętowanie ich przymierza.

Wyraz obopólnej woli – dobrowolne zobowiązanie.

Obietnica, wzajemna, którą Claire chciała złożyć, przez całe życie, i czekała na to.

By szczerze się oddać.

By szczerze pokochać.

Daniel podniósł głowę.

Spojrzała mu w oczy, dostrzegła, ponownie, stałość, niezłomność jego uczucia, i serce przepęliła jej wielka radość.

Zaterkotał wielki zegar w rogu sali i zaczął bić.

Wybił dziesiątą.

Kiedy przebrzmiało ostatnie uderzenie, Claire się uśmiechnęła; nie dbała już o to, czy zdradza tym swoje uczucie. Wstała, pociągając za rękę Daniela.

– Proszę wstać. Jeśli pan pamięta, dostałam wyraźne instrukcje, by po dziesiątej zaprowadzić pana na górę do nowego pokoju.

Daniel prychnął, lecz wstał powoli. Ku jego lekkiemu zaskoczeniu, przestało go cokolwiek boleć.

– Wolałbym siedzieć tu z panią i rozmawiać do rana, planując wspólną przyszłość.

– Rozumiem, ale planować przyszłość możemy równie dobrze, gdy pan odpocznie. – Odwróciła się do głównego wyjścia.

Daniel dał się przekonać.

– Muszę przyznać, że jestem ciekaw mojego nowego pokoju. Myślałem, że we dworze wszystkie są zajęte.

Odpowiedziała łobuzerskim uśmiechem.

– Były... prawie wszystkie. By mógł pan dość do siebie, McArdle, Polby i pani Broom oświadczyli, że powinien pan zostać umieszczony w którejś wieży, gdyż tam pokoje są najcieplejsze. I tak się złożyło, że na poddaszu jednej z wież był składzik. – Przerwała i posłała mu figlarne spojrzenie. – Służba zrobiła w nim porządek, opróżniła go i przygotowała dla pana. Izba jest ciepła i ma własny kominek. Raven i Morris przenieśli tam pańskie rzeczy, a Melinda i ja pomogłyśmy zaścielić łóżko i powiesić zasłony.

Kiedy przechodzili pod łukiem, tym razem to Claire się zatrzymała. Podniosła głowę i spojrzała na jemiotę, stanęła na palcach i pocałowała Daniela.

Wziął ją w ramiona, jego pocałunek był o wiele, wiele gorętszy niż poprzednie.

Claire wreszcie przerwała pieszczotę, ale nie odsunęła się od Daniela. Nadal tkwiąc w jego ramionach, odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Kocham pana. – W jej głosie zabrzmiało zadziwienie i radość.

– I ja panią kocham – odrzekł poruszony jej wyznaniem.

Jego własna prawda, miłość, która narastała w nim przez tyle miesięcy, stała się teraz dla niego czymś równie naturalnym jak oddychanie.

Claire zamrugła i spojrzała mu w oczy.

Wtedy uświadomił sobie...

– Och... nie powiedziałem pani tego wcześniej. – Skrzywił się. – Proszę mi wybaczyć... myślałem, że to oczywiste.

Przez chwilę milczała.

– Melinda powiedziała mi, że życie to nauka. Do tej pory życie nauczyło mnie, by nie szafować słowami i polegać na tym, co widzę. – Wciąż patrzyła mu w oczy. – Widziałam, co pan do mnie czuje, ale nie byłam pewna, czy się nie mylę... nie wierzyłam sama sobie. Teraz już jestem mądrzejsza. Zresztą moje serce wiedziało od początku, tylko rozum mu się sprzeciwiał. Gdzieś w głębi duszy, mimo wszelkich obaw, czułam, że pan mnie kocha, ale dopiero po dzisiejszych wydarzeniach zrozumiałam, że

i ja kocham pana.

Zawahał się, lecz musiał wiedzieć, choćby miało go to zranić.

– Bardziej niż... a przynajmniej tak samo... jak kochała pani męża?

Przez chwilę spoglądała mu w oczy, a potem uśmiechnęła się lekko – tajemniczo – i znowu wzięła go za rękę.

– Zaprowadzę pana do pokoju, a tam opowiem panu pewną historię.

Rozdział dziesiąty

Daniel szedł po krętych schodach dwa kroki za Claire i starał się nie patrzeć na jej kształtną pupę i krągłe biodra, które przez całą drogę na wieżę kołysały się lekko.

Przechodząc wcześniej przez hol, minęli zaspanego służącego, który dokładał do ognia na kominku, by mieć pewność, że ostatnie zapalone polano z wizerunkiem Cailleach będzie tliło się do rana. Drogę oświetlały im wiszące wysoko na ścianach małe lampy, które rzucały ciepły blask na mury z szarego kamienia. Dzień był długi i pełen wrażeń; przepełniony dwór już udał się na spoczynek.

Kiedy dotarli na ostatnie piętro, Daniel poczuł nieznaczny zawrót głowy, lecz nie był to skutek jego popołudniowego wyczynu, a już na pewno nie wysokości. Medykamenty, które przysłała mu dwójka gospodarzy, a następnie posiłek i otaczające go ciepło w dużej mierze złagodziły następstwa kąpieli w lodowatym potoku, jeśli nawet nie zaradziły na nie całkowicie.

I Claire powiedziała, że go kocha.

Sam też wreszcie mógł poczynić wyznanie, z którym tu przyjechał; poprosił ją o rękę, a ona mu ją oddała. Teraz zaś prowadziła go do jego pokoju...

Odsunął od siebie tę myśl. Mądrzej było po prostu iść za nią, niż coś sobie roić.

Claire otworzyła najbliższe z kilku wąskich drzwi i wszedł za nią do małej izby na strychu, pod stożkowym dachem wieży.

Pokój miał plan ćwiartki koła, z zewnętrzną ścianą zaokrągloną i dwoma prostymi. Jedna z przypór, która wspierała dach, zajmowała cały kąt. W zaokrąglonej ścianie znajdowały się dwa okienka, oba przysłonięte kotarami. Daniel spodziewał się zwykłej pryczy – w najlepszym razie wysuwanego łóżka – a tymczasem wniesiono tu normalne łóżko z zagłówkiem, choć wypełniało niemal całą przestrzeń. Z puchatymi poduszkami, świeżą pościelą i grubą pierzyną wyglądało kusząco.

Poza tym w pokoju znajdowała się mała szafka nocna, umywalnia z miską i dzbanem oraz skrzynia, na której Raven albo Morris położył szczotki Daniela.

Wszystkie powierzchnie były nieskazitelnie czyste, w powietrzu zaś unosił się zapach pszczelego wosku, wyczuwalny nawet przy woni płonących wesoło na małym kominku drew.

Na szafce nocnej postawiono lampę z przykręconym płomieniem. Claire odkręciła go trochę i izbę zalało ciepłe światło, które razem z blaskiem płomieni stworzyło złotą poświatę. Wyprostowała się i rozejrzała dookoła, a potem, ponieważ nic innego nie było już do zrobienia, usiadła na łóżku i spojrzała na niego.

Daniel przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym zamknął drzwi i usadowił się obok niej.

Claire położyła dłonie na podołku; zerknęła na Daniela – zauważyła jego zachęcające spojrzenie – i opuściła wzrok.

– Melinda i inni... chyba wszyscy z was... na pewno myślicie, że postanowiłam nie wychodzić po raz drugi za męża, gdyż bardzo kochałam męża i chciałam pozostać mu wierna. I, dlatego że nasze małżeństwo było tak udane, postanowiłam nie wiązać się już z nikim więcej.

Zaczerpnęła powietrza.

– To pod pewnym względem prawda, a pod innym zupełny fałsz. – Zerknęła na Daniela. – Kiedy próbowałam panu to wyjaśnić i odwieść pana od zamiaru starania się o moją rękę, powiedziałam, że nie wiem, czy potrafię obdarzyć mężczyznę takim uczuciem, na jakie by zasługiwał. Nie kłamałam, a powód kryje się w prawdziwej historii mego małżeństwa. – Przenosząc wzrok na płomienie, ciągnęła: – Byłam drugim z dwójga dzieci, jednakże mój dużo starszy brat poległ na wojnie. Kiedy skończyłam szesnaście lat, nasi rodzice zginęli w wypadku podczas podróży powozem. Za życia mieli dobre koneksje i byli dość zamożni, więc zostawili mi całkiem spory majątek. Nie mieli jednak bliższych krewnych, którzy mogliby

się zaopiekować szesnastoletnią panną. Na moich opiekunów wyznaczili starszych przyjaciół, rodzinę, która żyła sobie szczęśliwie w Dales, z dala od towarzystwa. Kiedy skończyłam dziewiętnaście lat, postanowili wysłać mnie do Londynu i oddać pod skrzydła lady Mott, poczciwej duszy, która korzystając ze swej pozycji, wprowadzała do socjety takie młode damy jak ja. Z tego żyła. Wzięła mnie więc do siebie i zaprezentowała. Wpadłam w oko uroczemu dżentelmenowi – Randallowi Meadowsowi. Ze strony matki był wnukiem wicehrabiego, mężczyzną tak przystojnym, czarującym i wytwornym, o jakim młoda panna mogła tylko marzyć. Zakochałam się w nim... a przynajmniej tak mi się wydawało. Lecz, ku mojemu zdziwieniu, lady Mott starała się odciągnąć mnie od niego. Kiedy ją pytałam, co ma przeciwko niemu, nie potrafiła powiedzieć nic konkretnego. Jednakże, zgodnie ze swym obowiązkiem, napisała do moich opiekunów, a oni opowiedzieli się stanowczo przeciwko przyjęciu przeze mnie jego oświadczyn.

Urwała na moment, a potem podjęła:

– Gdy mieliśmy okazję ze sobą przebywać, Randall zawsze był dla mnie miły, szarmancki i uroczy. Oświadczył mi się, a ja go przyjąłem. Wiedziałam, że chociaż moi opiekunowie będą temu przeciwni, nie wywołają skandalu, zrywając nasze zaręczyny.

Spojrzała w dół, na swe splecione palce.

– Randall i ja pobraliśmy się dzięki specjalnemu pozwoleniu. Napisałam list, rzekomo od mych opiekunów, udzielających zgody na ślub. Patrząc wstecz, widzę, że nawet jego przyjaciel, który był jego drużbą, miał zastrzeżenia, lecz Randall wodził wszystkich na pasku... nie wyłączając mnie.

Znowu na chwilę przerwała.

– W ciągu pierwszych miesięcy naszego małżeństwa byłam ogromnie szczęśliwa. Wszystko wydawało się idealne. Randall okazywał mi względy, przynajmniej w takim stopniu, w jakim tego oczekiwałam, i chociaż mieszkaliśmy w wynajmowanych pokojach, myślałam, że potrzeba czasu, abyśmy znaleźli odpowiednie lokum, właściwy dom.

Daniel nic nie mówił; zorientował się po minie Claire, że czekało ją jakieś bolesne odkrycie. Miał ochotę ująć jej dłonie, okazać współczucie, lecz powściągnął ten odruch. Wystarczająco trudno było jej zmierzyć się z dawnymi demonami; nie potrzebowała, by coś ją rozpraszało.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów, chrapliwie wciągnęła do płuc powietrze. Wciąż z opuszczoną głową kontynuowała:

– Nigdy nie mówiłam tego nikomu... jedyną osobą, która o tym wie, jest nasz rodzinny prawnik. Zajmował się mą intercyzą małżeńską i pomagał mi później. – Znowu zaczerpnęła tchu, tym razem spokojniej. Podniosła głowę i wyznała: – Pięć miesięcy po ślubie Randall wjechał dwukółką do rowu... brał udział w jakimś wyścigu. Zginął na miejscu, a ja zostałam wdową. I okazało się... Jeśli o to chodzi, sama jestem sobie winna, byłam straszliwie naiwna. Randall pochodził z zamożnej rodziny. Jako jedynak przejął rodzinny majątek. Nie wiedziałam jednak tego, że był rozrzutnikiem, utracjuszem. W chwili, kiedy mnie poznał, roztrwonił już fortunę i tonął w długach. Poślubiając mnie, zyskał dostęp do moich pieniędzy, spłacił za nie długi, a potem znowu szalał. Po jego śmierci natychmiast zjawili się wierzyciele. Nie dość, że byłam w żałobie, w rozpacz, to jeszcze zostałam prawie bez grosza przy duszy. – Nagle uniosła głowę, mrugając gwałtownie.

Daniel przeklął pod nosem. Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i delikatnie uściśnął.

– Nie musi pani nic więcej mówić.

– Nie muszę. – Spojrzała mu w oczy. – Ale chcę. Zasługuje pan na to, by usłyszeć wszystko do końca, by zrozumieć. – Zamilkła, a po chwili mówiła dalej: – Stary prawnik pomógł mi ułożyć się z wierzycielami, co do jednego. Potem... jak powiedziałam, zostało mi niewiele. Lady Mott bardzo uprzejmie wzięła mnie z powrotem do siebie, przynajmniej miałam gdzie mieszkać. zaproponowała, że znowu pomoże mi wyjść za mąż, lecz sama widziała, że... więcej nie dam rady. Poza tym, że byłam w żałobie, to jeszcze straciłam wiarę w małżeństwo... przestałam ufać mężczyznom. No i nie miałam już posagu. Moi opiekunowie napisali do mnie i ponownie zaoferowali mi dach nad głową, ale nie

mogłabym płacić im nawet za wyżywienie. Przeszłabym na ich utrzymanie, a jeszcze tego było im potrzeba! Ani oni na to nie zasługiwali, ani ja.

Claire spojrzała na rękę Daniela, ciepłą i silną, która spoczywała na jej dłoni. Pogładziła go po niej.

– Jedyne, co miałam, to wykształcenie, postarali się o to rodzice. Nie pozostało mi więc nic innego jak zostać guwernantką. Lady Mott skierowała mnie do Agencji Atena, która okazała się darem niebios. Przyjęli mnie, sprawdzili moje pochodzenie i kwalifikacje, a potem wysłali do Roberta Cynstera. Dwa dni później byłam już w drodze do Somerset.

Na chwilę zamilkła, po czym uśmiechając się lekko, spojrzała na Daniela.

– Od tamtego czasu jestem przy tej rodzinie i nie wiem, ile razy dziękowałam za to losowi. Zostawiłam za sobą przeszłość i o niej zapomniałam. Tyle że...

Daniel przechylił głowę.

– Tyle że, co zupełnie zrozumiałe, przestała pani wierzyć w małżeństwo i ufać mężczyznom, którzy je pani proponują?

Uśmiechając się szerzej, skinęła głową.

– Owszem. I to panu muszę podziękować za wyzwolenie z tych pęt. Uczynił pan to, pytając, czy wspomnienie o Randallu ma mnie do końca życia pozbawić szans na szczęście. – Popatrzyła mu w oczy. – Dopóki tego od pana nie usłyszałam, nigdy tak o tym nie myślałam. Wiedziałam jedynie, że nieufność, nie tylko wobec mężczyzn proponujących mi małżeństwo, ale także wobec własnych uczuć, jest u mnie tak głęboka, że nie pozwoli mi ponownie kogokolwiek poślubić.

– A teraz? – zapytał spokojnie.

Rozjaśniła się i wyraźnie złagodniała, a w jej oczach pojawił się blask, który Daniel tak pragnął ujrzeć.

– Teraz – odparła – nie mam ani cienia wątpliwości, że nigdy nie kochałam Randalla. Tak mi się wydawało, lecz byłam w nim jedynie zadurzona... i to raczej we wrażeniu, jakie stwarzał, niż w nim samym. Tak naprawdę go nie znałam. Nie łączyło nas prawdziwe uczucie... gdyby tak było, postępowałby inaczej, ja zaś znałabym jego wady i słabości. – Wpatrzona w oczy Daniela, ciągnęła: – Ale już wiem, co to prawdziwa miłość. Gdyż czuję ją do pana. To... coś innego niż zauroczenie. To znacznie głębsze, silniejsze uczucie, o wiele cudowniejsze.

Daniel się uśmiechnął. Ujął dłoń Claire; trzymając ją w obu rękach, ucałował jej palce.

– Nie jestem żółtodziobem. Choć nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego, wiem, co to jest. Wiem, że to miłość. Kocham panią, Claire, i będę kochał aż do śmierci.

Jej twarz się rozjaśniła, rozpromieniona tym samym uczuciem. Claire pochyliła się ku niemu i położyła mu drugą dłoń na ramieniu. Przesunęła ją dalej, by objąć go za szyję, i jednocześnie odwróciła się na łóżku w jego stronę.

On także się obrócił, by spojrzeć na nią *en face*, pławić się w jej akceptacji, uniesieniu, płonącej w oczach miłości.

Przysunąwszy się do niego jeszcze bardziej, uniosła głowę i zbliżyła usta do jego ust.

– Kocham pana – rzekła cicho. – Ufam panu. I owszem, Danielu Crosbie, z ochotą wyjdę za pana za mąż.

Pocałowała go, a on z radością wyczuł w tym pocałunku całą jej tłumioną tęsknotę i sycił się nią, wręcz upajał.

Pieszczota stała się bardziej namiętna, budząc wzajemne pragnienie i pożądanie, które uśpione tliły się w nich obojgu.

Daniel puścił jej dłoń. Objął Claire i przyciągnął do siebie, a ona się temu poddała. Chętnie, entuzjastycznie.

Tak jak chciał.

Pocałunek, z inicjatywy nie jego, nie jej, lecz ich obojga, przeszedł w cudowną jedność warg, ust,

języków, które pobudzały wszystkie zmysły. To wywołało falę gorąca, która rozlała się po nim, ogarniając całe ciało.

Claire delikatnie, lecz stanowczo ujęła w dłonie jego twarz i wyszła mu naprzeciw w czymś, co zamieniło się w rozkoszne zmagania. On podniósł rękę i przyciągnął jej głowę, rozchylając mocniej usta i przyciskając wargi do jej warg, a następnie smakując słodycz; ona zaś poczuła ciepły miód przesycony obietnicą i przyprawiony radością. Daniel nie mógł się nią nasycić, już był uzależniony.

Całując go, Claire westchnęła i wsparła się na nim.

Objęci, na moment oboje się zachwiali, a potem Daniel pchnął ją na łóżko.

Pozwoliła na to, upadając razem z nim i śmiejąc się, gdy spoczęli z głowami na poduszkach.

Daniel chciał podeprzeć się na łokciu, by jej nie przygnieść, ale była szybsza. Uniosła się, pochyliła nad nim, wsparta całym ciężarem na jego piersi, i spojrzała mu w twarz; jedną ręką odgarnęła kosmyk włosów, który spadł mu na czoło.

Uśmiechając się, z tak lekkim sercem jak nigdy, popatrzyła mu w oczy – oczy, które obiecywały wszystko, czego tylko kiedykolwiek w życiu pragnęła. Wspaniałe małżeństwo i, jeśli dopisze im szczęście, własne dzieci – a co najważniejsze, miłość.

Ta miłość, stała, niezachwiana, nieprzemijająca, była tak wielka, że aż zaparło jej dech w piersi i poczuła pragnienie, by pogrążyć się w niej i utonąć.

Uśmiechając się, powiedziała:

– Myślę, że Melinda śpi już kamiennym snem. Chyba nie powinnam jej budzić.

Daniel spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

– Była tak miła, że cię wyręczyła, zaglądając do twych podopiecznych. W takich okolicznościach nawet nie wypada zakłócać jej zasłużonego wypoczynku.

– Więc – Claire też uniosła brwi – gdzie mam złożyć zmęczoną głowę?

Jego uśmiech rozświetlił cały pokój.

– Mam pewną propozycję, moja przysła żono. Może przypadnie pani do gustu... Dlaczego nie miałyby pani spędzić tej nocy tu, ze mną?

Zaśmiała się i nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to wesoło.

– Sądzę, drogi panie, że chyba rzeczywiście tak powinnam uczynić.

Nachylona nad nim, spojrzała mu w oczy i w jej sercu znowu wezbrała miłość. Poczuła siłę tego uczucia, już niemal namacalnego, i dała mu wyraz. Poważnym tonem, wyraźnie i z przekonaniem wyznała:

– Przyjechałam tu, żywiąc postanowienie, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż... nigdy nie zaryzykuję i nie zakocham się w nikim. A jednak jestem tu przy panu, tak głęboko zakochana, że aż kręci mi się w głowie i brakuje tchu. Wręcz nie mogę się doczekać, kiedy będziemy należeć do siebie. Jest pan moim wybawieniem... wyzwolił mnie pan od przeszłości. Zawsze będzie pan moją miłością. Zawsze będzie pan władcą mego serca.

Nie dała mu czasu na odpowiedź; pochyliła się i przykryła jego usta wargami. Pocałowała go i włożyła w to całe pragnienie, jakie ją przepełniało – pragnienie, by kochać i być kochaną, które tłumiała w sobie przez te wszystkie lata. Pozwoliła, by nią zawładnęło. I by zawładnęło nim.

By ich oboje prowadziło.

Daniel wyszedł jej naprzeciw, przytulił ją, tak jak się tego spodziewała.

Objął ją mocno, przetoczył się razem z nią po łóżku i zaczął całować ją tak namiętnie, że poczuła zawrót głowy.

Zmysły Claire zaczęły szaleć, gdy powoli, z pełną szacunku delikatnością, przesunął dłońmi po jej krągłościach. Oboje jednak byli na tyle doświadczeni, by zapanować nad pożądaniem, by delektować się każdym krokiem w tej namiętnej podróży. Acz nie ulegało wątpliwości, co jest jej celem, Claire była wdzięczna, że Daniel wybrał okreśną drogę. Pragnęła, by ich pierwszy raz stał się cudownym wspomnieniem, przeżyciem pełnym pasji, którą każde z nich będzie wnosić do małżeńskiego łóżka przez

resztę życia.

Jego pasji. Jej pasji.

Namiętność Daniela, gorąca i silna, znalazła wyraz w powolnych ruchach jego języka w jej ustach, dotknięciu ciepłej dłoni, kiedy ujął jej pierś przez cienki wełniany materiał sukni, którą miała na sobie.

Odnalazł jej sutek i delikatnie go ścisnął. Claire wyprężyła się pod nim.

Obudziła się w niej namiętność, dawno zapomniana, lecz przywołana przez jego usta, władczy język, wprawne pieścizoty rąk. Wycofał się nieco, nie odrywając się od jej ust, ale pobudzając jej zmysły, tak że stała się cudownie świadoma, że przesunął dłońmi po jej biodrach, docierając do krągłego brzucha.

A następnie powędrował niżej, sunąc ręką po jej nogach, zagłębieniach i wypukłościach, biorąc je w posiadanie.

Zadrżała z upojenia. Oboje byli wciąż ubrani, jednakże Daniel całkowicie zawładnął jej świadomością, do tego stopnia, że całą swoją istotą była skupiona na tej chwili, skoncentrowana na wędrówce jego palców i wrażeniach, jakie wywoływały, usuwając wszystko inne w cień.

Jego dłoń przez chwilę pieściła jej kolano, a potem zaczęła przesuwając się wyżej, leniwie pokonując drogę wzdłuż uda aż po wieńczące je zagłębienie.

W jej łonie zapłonął ogień, spływając w dół.

Akt miłosny nigdy nie był taki nieokiełznany.

Ta myśl skłoniła ją do podjęcia poszukiwań innych rozkoszy – jeszcze większych – które mogła odkryć. Odpięła guziki jego surduta, a następnie kamizelki, po czym namiętnie objęła dłońmi spowity lnem tors. Choć Daniel wciąż ją całował, pod wpływem jej dotyku wstrzymał własne eksploracje; Claire, korzystając z okazji, rozszerzyła obszar odkryć, podziwiając szeroką męską pierś, próbując sprężystość stalowych mięśni.

Potem przesunęła ręce niżej, po płaskim twardym brzuchu, i jedną ręką trafiła na...

Daniel gwałtownie wciągnął powietrze, gdy go tam dotknęła, muskając jego sztywną, twardą męskość, gorącą nawet przez materiał spodni. Ujęła ją w dłoń, co sprawiło, że wydał gardłowy odgłos.

Jęknął, wpił się w jej usta i pocałował ją żarliwie, a potem podniósł jej ręce i przygwoździł do poduszki po obu stronach głowy.

Jego głód podsycił jej pragnienie; nagle pocałunek stał się żarłoczny, ponieważ oboje zapragnęli więcej.

Jeszcze więcej.

Daniel zreflektował się i zapanował nad pożądaniem, pohamował je – gdyż lada chwila mógł stracić nad nim władzę. Jeszcze nie teraz. Chciał, by ta noc stała się czymś wyjątkowym, nie tylko dla niego, lecz także dla niej. Mieli ją dla siebie; dlaczego nie postarać się, by była idealna?

Claire jakby to rozumiała bez słów, dzięki porozumieniu ust i ciał; wsunęła dłonie w jego ręce i lekko je uściśniła – uspokajająco. Porozumiewawczo.

Zachęcony tym, oderwał usta od jej ust i zaczął sunąć nimi po delikatnej linii jej brody, a potem w dół, przemierzając długą szyję, którą wygięła, odchylając głowę do tyłu, by ułatwić mu dostęp. By go skłonić do dalszych pieścizot, niżej.

Szal, który miała na ramionach, rozchylił się i opadł na łóżko. Daniel zostawił go tam i zajął się odpinaniem gagatowych guziczków z przodu sukni. Dotarł do linii bioder, po czym oderwał usta od jej aksamitnej szyi i przesunął je w dół.

Patrząc Claire w twarz, w oczy, lśniące od narastającego pożądania i ledwie widoczne spod opuszczonych rzęs, przeniósł rękę z rozpiętego gorsetu i ujął jej pierś.

Cienki batyst koszulki nie był żadną barierą dla jego gorącego dotyku, męskiej silnej dłoni, kiedy zamknął ją na zwieńczonej czubkiem półkuli; Claire przygryzła dolną wargę, przymknęła oczy i poddała się tej upajającej pieścizocie. Jej piersi były nabrzmiące i ciężkie, spragnione czułości, a same sutki tak sterczące, że za każdym razem, gdy ich dotykał, ogarniała ją rozkosz. Po raz pierwszy w życiu w pełni

zrozumiała, co znaczy być doprowadzoną do szaleństwa.

Potem rozchylił gorset, chwycił jej pierś, pochylił głowę i przez materiał wziął sutek w usta.

Wydała okrzyk. Była zdumiona wrażliwością swego ciała – jeśli potrafił wzniecić w niej płomień, zanim jeszcze zetknęli się nagimi ciałami, to co będzie, kiedy...

Nagle poczuła potrzebę, by się o tym przekonać.

Podniosła rękę, przyciągnęła jego głowę i zaczęła go całować natarczywie, zaborczo. Ujmując w dłonie jego szczupłą twarz, biorąc go w niewolę, wtargnęła do jego ust i za pomocą wszystkich kobiecych sztuczek, jakie miała w zanadrzu, przemówiła do niego, do swego mężczyzny.

Daniel, pod wpływem wzajemnej namiętności, odpowiedział na to płomiennie. Ich pragnienia, jego i jej, toczyły ze sobą zmysłową wojnę o dominację, kontrolę nad pocałunkiem, tak że władza przechodziła od jednego do drugiego, choć żadne z nich nie utrzymało w tej sferze przewagi.

Ani żadne nie mogło nad sobą zapanować.

Oboje się poddali i spłonęli w żarze.

Uwolniona pasja wezbrała i wystąpiła z brzegów.

Gorąca fala wzniosła się między nimi, sycząc i parząc, gdy każde z nich dorzucało do ognia swą żądzę.

Całe niecierpliwie rosnące pragnienie, by się złączyć, by stać się jednością, płynąć na fali uwolnionego pożądania ku spełnieniu.

Ogień wznosił się i trząsał, płomień lizały ich ciała, kusząc, prowokując. Żarłocznie ich pochłaniając.

Oderwali od siebie usta, łapiąc powietrze, a wtedy ich spojrzenia spotkały się na krótko i poczuli przypływ.

Potem bez tchu, w bezgłośnym okrzyku, znowu przywarli do siebie ustami i poddali się fali, gdy ich ogarnęła.

Było coraz goręcej, płomień wznosiły się coraz wyżej, pożar się rozszerzał. Zmysły się wyostrzały, mięśnie naprężyły i przywierały do siebie, usta się łączyły, żądze zlewały ze sobą, aż w rozpaczymym porozumieniu ulegli narastającej sile i przepełniło ich jedno niecierpliwe pragnienie.

Czegoś więcej.

Byli głodni, żarłoczni, desperacko żłaknieni.

Stracili wszelką kontrolę. Claire, zdyszana i rozpalona, drżącymi rękami rozchyliła surdut Daniela i ściągnęła go z jego ramion. Wiedziona pożądaniem, zsunęła suknię.

Mieli jeszcze dość rozsądku, by nie podrzeć ubrań; jakimś cudem guziki nie poszybowały w powietrze.

Na podłogę spadały części garderoby. Daniel musiał usiąść na łóżku, by zzuć buty. Aż westchnął z rozkoszy, gdy Claire, tylko w cienkiej koszuli, przytuliła się do jego pleców, obejmując go i przesuwając dłońmi po jego nagiej pierś.

Buty, rzucone byle jak, uderzyły o podłogę. Daniel wstał i, odwrócony do niej plecami, zdjął spodnie i bieliznę; gdy się rozbierał, ona już pieściła jego biodra i pośladki.

Potem się odwrócił i zobaczył, że Claire patrzy na jego sterczącą męskość. Na jej twarzy pojawił się zachwyty, kiedy sięgnęła...

Złapał ją za rękę i przewrócił z powrotem na łóżko. Pochylając się nad nią, po dłuższych zmaganiach wreszcie zdjął z niej koszulkę, którą wyciągnął poza łóżko, trzymając na palcu jednej ręki. Spojrzał na Claire i na to, co odsłonił.

Ze zdumienia aż zaschło mu w ustach.

Pożądanie zaparło dech.

Ogarnęła go czysta, niczym nieskazona żądza.

– Jesteś... ucieleśnieniem piękna – rzekł poważnie niskim głosem.

Z pozoru nieprzystępna pani Claire Meadows okazała się syreną i patrzyła na niego miodowozłotymi oczami.

Wtedy na jej ustach pojawił się najbardziej swawolny uśmiezek, jaki Daniel kiedykolwiek widział. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie.

Chętnie uległ. Stracił wolę, czuł tylko potrzebę, by ją posiadać. Kochać ją. Uczynić swoją.

Claire przyjęła go całą sobą, dłońmi, oczami, ustami.

Złączyli się ze sobą i znowu zaczęli całować.

Ulegając kipiącej, wszechobecnej namiętności.

Ogarnęła ich niecierpliwość, która uderzyła im do głowy, przepełniła serca, zaczęła tętnić we krwi, a jednak...

Mimo że znajdowali się w pokoju na szczycie wieży, na kominku płonął ogień i grzał ich wewnętrzny żar, było zbyt zimno, by leżeć nago.

Oboje uświadomili to sobie jednocześnie. Szybko, niecierpliwie, chaotycznie odchyliłi pierzynę i nakryli się nią.

Padając sobie w ramiona.

Daniel położył się na niej, Claire go objęła. Rozchyliła uda i przyjęła go, obejmując gładkimi nogami jego biodra.

Poruszyła się i uniosła biodra w tej samej chwili, gdy na nią naparł.

Usłyszał, że Claire wciągnęła powietrze, kiedy w nią wszedł; usłyszał, że wypuściła je z westchnieniem, gdy wreszcie dotarł do końca.

Claire z zamkniętymi oczami poddała się wrażeniom zmysłowym. Nigdy nie czuła się tak rozkosznie. Nigdy nie czuła takiej bliskości – tak namiętnej bliskości – jak teraz. Nigdy tak intensywnie nie przeżywała aktu miłosnego.

Potem Daniel zaczął się poruszać i Claire zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej naprawdę się nie kochała.

Nie tak jak teraz. Nie z takim pożądaniem, taką pasją tętniącą w żyłach, z miłością przepełniającą serce.

Ulegając sile, która nią kierowała, która zmuszała ją, aby przyjęła Daniela niezależnie od ryzyka, która powiodła ją do miłości – miłości wzajemnej – otoczyła go ramionami i zjednoczyła się z nim, przyłączając do tańca, jedyne w swoim rodzaju, zmierzając do kresu znanego świata.

Jakby chcąc naprawić błąd, jakim była niedawna gorączkowość, zaczęli powoli i stopniowo zwiększali tempo, nie spiesząc się, rozkoszując się każdą chwilą, patrząc sobie w oczy, bezgłośnie łącząc się... we wszystkim.

We wzajemnej bliskości.

Daniel zawsze wyobrażał sobie, że tak właśnie będzie, że kiedy znajdzie panią swojego serca, aktowi miłosnemu będzie towarzyszyć takie niewiarygodne, nieopisane poczucie zjednoczenia. Lecz były to tylko czyste domysły i nie miał pewności, czy nie są to jedynie rojenia.

Claire jednak ujęła go za serce, które dzięki niej ożyło.

Teraz zaś spełniła jego marzenia.

Gdy tak razem zmierzali dalej w tej podróży, spoceni z pożądania, nierozzerwalnie spleceni, wzajemnie wyczuleni na siebie wszystkimi zmysłami, złączeni świadomością i zatopieni w sobie, jedno w drugim, gdy wspólnie parli przed siebie, coraz szybciej, dążąc do ostatecznego spełnienia, ona dotrzymywała mu kroku. Jej ciało się rozluźniało, kiedy się wycofywał, a gdy wchodził w nią ponownie, naprężało, przyjmując go, obejmując.

Ponagłając.

Wreszcie zbliżyli się do celu, do spełnienia, w radosnym porozumieniu przebyli ostatni odcinek drogi i rzucili się ze szczytu... I poszybowali w powietrzu.

W ich żyłach popłynęła rozkosz, drażniąc wszystkie nerwy i zalewając umysł oślepiającym zdumieniem.

Ich zmysły eksplodowały.

To obezwładniające wrażenie się rozszerzało, pochłaniając ich razem z całym światem.

I w tym momencie całkowitego oddania, ślepego wychodzenia do siebie, pocałowała go w usta.

Wpijając się w jego duszę, oddała mu w zamian swoją i wreszcie uczyniła go całością.

Ofiarowała mu wszystko, czym była; ofiarowała mu samą siebie.

Opadając na nią, niewiarygodnie zmęczony, Daniel przytulił ją do siebie, przyjął do swojej duszy i zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że Claire jest jego i zawsze będzie.

Później, kiedy wreszcie się rozłączyli i leżeli w łóżku ze splecionymi nogami, on na plecach, ona zaś obejmując go z powodu wąskiego materaca – na którą to niedogodność nie zamierzała się skarżyć – Claire westchnęła i osunęła się na niego.

– Będę musiała wymówić pracę i przeprowadzić się do Devon.

Podniósł głowę, by zobaczyć jej twarz; nie powiedziała tego z niechęcią.

– Jak według ciebie oni... czyli rodzina... to przyjmą? – zapytał.

– Wolałam się nad tym nie zastanawiać. To było zbyt niepokojące. Lecz Juliet ma już czternaście lat i jak wszystkie kobiety z tego rodu jest nad wiek rozwinięta. Nauczyłam ją już większość tego, co mogłam, jeśli nawet nie wszystkiego. Ona potrzebuje teraz guwernantki, która by ją przygotowała do wejścia w świat, a ja się do tego nie nadaję.

– Sądzisz więc, że nie będą stwarzać trudności?

– Byłabym zdziwiona, gdyby tak się stało. – Umilkła, a po chwili zapytała: – Ale jak my to urządzimy? Są jakieś rodziny w okolicach Colyton, u których mogłabym znaleźć dzienną posadę?

– Nie będziesz musiała pracować, chyba że zechcesz. Jak wspomniałem, dostałem nowe stanowisko z wyższą pensją, która wystarczy na utrzymanie żony i dzieci... zwłaszcza w Colyton, gdyż to przecież nie Londyn. – Pochwycił jej spojrzenie, gdy znowu na niego popatrzyła. – Niepokoiłem się tylko, że Rupert Cynster mógłby mieć mi za złe, iż cię porywam, i że wtedy Alasdair i Phyllida byliby przeciwni... chociaż, prawdę mówiąc, to nie w ich stylu.

– Rzeczywiście, zgadzam się z tobą. Cynsterowie zazwyczaj wspierają swych domowników, tak jak w twoim przypadku.

– Owszem. – Sięgnął po jej dłoń, która spoczywała na jego torsie, podniósł ją do ust i pocałował po wewnętrznej stronie. – Jutro więc każde z nas weźmie byka za rogi, powie o naszych planach i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Claire nie lubiła ryzykować – nie lubiła nawet o tym myśleć; Daniel dostrzegł niepokój na jej twarzy.

– Dobrze – powiedziała jednak. – Juro. Odkładanie tego nic nie da, a nigdy nie wiadomo, kiedy któryś z naszych chlebodawców zostanie wezwany z powrotem na południe.

– Czytasz mi w myślach. – Położył sobie jej dłoń na piersi.

Claire jakby się uspokoiła, zapadła głębiej w jego ramiona, a on uściśnął ją mocniej.

Przepełniony wynikającą ze spełnienia satysfakcją, oddalił od siebie myśl o następnych krokach; uznał, że wróci do tego nazajutrz, zresztą był pewny, że wszystko będzie dobrze.

Powieki mu opadały, więc je zamknął.

Już zasypiał, kiedy Claire wymamrotała:

– Nie mam pojęcia dlaczego... bo przecież nie mam takiej pewności... ale czuję, że pójdzie po naszej myśli. Że nic nie stanie na przeszkodzie i będzie, jak zaplanowaliśmy. – Zamilkła na chwilę, po czym rzekła jeszcze ciszej: – To chyba zasługa tego miejsca. Nie jest żywe, ale mam wrażenie, że czuje... że ma siłę sprawczą.

Zapadając już w sen, nie widział powodu, by oponować. Przykrył ręką jej dłoń, leżącą na jego sercu, i mruknął w odpowiedzi:

– To chyba zasługa Pani i jej magii.

Rozdział jedenasty

Głównym punktem obchodów Dnia Świętego Szczepana we dworze była uczta, która zaczynała się w południe i kończyła dopiero pod wieczór. Wśród ogólnej zabawy podano kolejne dania, zjedzono je i wyniesiono talerze, a wtedy Richard i Catriona, stanawszy przy końcu głównego stołu, zaczęli wręczać tradycyjne paczki każdej rodzinie, która mieszkała i pracowała na terenie majątku. Wówczas Lucilla kątem oka zauważyła, że do sali wchodzi lokaj.

Podszedł do Polby'ego i powiedział mu coś na ucho. Polby wydawał się zaskoczony. Zerknął w stronę Lucilli i Marcusa, po czym wstał i wyszedł z tantym do holu.

Lucilla zwróciła uwagę na tego lokaja, gdyż była dziwnie napięta. Rozstrojona, choć nie wiedziała dlaczego.

A to jeszcze bardziej wytrącało ją z równowagi.

Coś miało się zdarzyć, lecz nie wiedziała co.

Polby po minucie wrócił i tak jak przypuszczała, skierował się do stołu, przy którym siedziała.

Podszedłszy do niej, pochylił się, by usłyszeć go w panującym zgiełku, wśród śmiechów i okrzyków wywołanych krótkimi przemówieniami, które wygłaszali Richard z Catrioną, wzywając kolejnych obdarowanych na podwyższenie.

– Jaśnie pani – zaczął. Większość służących tak się do niej zwracała, chociaż panią na Vale była jej matka.

Lucilla przywołała na twarz spokojny uśmiech, mimo że serce zabiło jej mocniej.

– Tak, Polby?

– Przy drzwiach frontowych stoi pewien dżentelmen, który chce z panią mówić.

Nagle domyśliła się, kto to jest.

Pojęła, dlaczego zaparło jej dech w piersiach i serce zaczęło walić.

Skinęła głową.

– Dziękuję, Polby. Zaraz pójdę z nim porozmawiać.

Nie patrząc na brata bliźniaka, który siedział obok, wstała.

Kiedy kluczyła między stołami, kierując się do holu, nie musiała oglądać się przez ramię, aby wiedzieć, że Marcus, zmrużywszy oczy, wstał i ruszył za nią.

Poważnie traktował swoje obowiązki przyszłego reprezentanta Pani.

Niestety, ponieważ podążał za nią, nie mogła przystanąć przed lustrem w holu, by przed podejściem do drzwi sprawdzić swój wygląd; to by ją zdradziło.

Polby poszedł przodem i stał już przy otwartych drzwiach; chociaż kamerdyner miał kamienną twarz, Lucilla czuła, że jest zaintrygowany.

Dzień był piękny, słabe światło słoneczne odbijało się od śniegu, tak że biel krajobrazu aż raziła w oczy. Kiedy Lucilla zbliżyła się do drzwi, z powodu panującej na zewnątrz jasności nie widziała dobrze. Wyszła na ganek niemal oślepiąca.

Marcus za nią przeklął cicho; kątem oka zauważyła, że pochylił głowę, starając się osłonić oczy.

Wiedziała, że nic złego się nie dzieje. Zatrzymała się więc na progu, by wzrok przyzwyczylił się do blasku. Kiedy tak się stało, ujrzała tego, kogo spodziewała się zobaczyć – Thomasa Carricka. Stał obok konia, pięknego deresza, ogiera, a przy jego boku siedziała Hesta.

Czego jednak Lucilla nie przewidziała, to tego, że przywiózł dwa szare kudłate zwierzaki, które trzymał pod pachami.

Widząc ją, posłał jej błagalne spojrzenie.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się uśmiech. Uniosła spódnicę i zbiegła po niskich stopniach.

Gdy tylko znalazła się przy nim, Thomas chwycił jednego z podnieconych, wyrywających się szczeniaków i włożył jej w ramiona.

– To Artemis...

Suczka była młoda, lecz już rozmiarów większości dorosłych psów; Lucilla zwróciła uwagę na jej twarde mięśnie i sporą wagę. Artemis miała duży, bardzo włochaty łeb; wiła się i szarpała, by na nią spojrzeć. Przyjrzała jej się bursztynowymi oczami, potem zamachała ogonem, zaskomlała i wyciągnęła się, by liznąć ją po policzku.

Lucilla zaśmiała się i odwróciła głowę. Mocniej przytrzymując szczenię, pogłaskała je po pysku.

– Spokojnie – rzekła.

O dziwo, szczeniak zadrżał radośnie i przestał się wyrywać; ona wciąż głaskała go po potężnym łbie i kształtnych uszach.

Thomas przyglądał się temu; z aprobatą pokiwał głową.

– A to... – Chwycił drugie szczenię i wreszcie odrywając wzrok od Lucilli, podał go Marcusowi, którzy zatrzymał się tuż za siostrą. – To jest Apollo.

Marcus przyjął pieska z taką samą radością. Ten natychmiast się odwrócił i próbował wspiąć po jego piersi, by dotrzeć do twarzy. Mimo wszelkich wysiłków, by zachować powagę i powściągliwość, Marcus uśmiechnął się wesoło – nie mógł się powstrzymać. Musiał skupić całą uwagę, by uniknąć żarliwych wyrazów sympatii ze strony zwierzęcia, lecz w końcu doszedł z nim do porozumienia i Apollo uspokoił się w jego ramionach.

Oba szczeniaki, każdy na rękach swego nowego właściciela, spojrzały na Hestę i zaszczekały.

– To ona jest ich matką? – spytała Lucilla.

Thomas kiwnął głową i spojrzał na dużą sukę.

– Oszczeniła się kilka tygodni temu.

Lucilla wymieniła szybkie spojrzenie z Marcusem. Psy myśliwskie rasy Hesty, z jej rodowodem, stanowiły rzadkość. Szczeniaki kosztowałyby na wolnym rynku małą fortunę, a dla takiego klanu jak Carrickowie, którzy nie byli zbyt bogaci, na pewno miały jeszcze większą wartość.

Cóż jednak mieli powiedzieć? Nie mogli nie przyjąć takiego daru, ofiarowanego jednemu rodowi przez drugi. Kiedy Thomas ponownie się ku nim zwrócił, Lucilla spojrzała mu w oczy.

– Pomogliśmy, gdyż poczuwaliśmy się do obowiązku, nie oczekiwaliśmy w zamian niczego, a tym bardziej tak cennego prezentu.

Thomas patrzył na nią przez moment – na tyle długo, by zaczęła się zastanawiać, o czym on myśli – po czym nieznacznie wzruszył ramionami.

– Ile warte jest życie dziecka? Bez waszej pomocy stracilibyśmy je. – Przeniósł wzrok na Marcusa, jakby prowokował go do dyskusji. Ten nadal milczał, więc Thomas się uśmiechnął. – Nie, sądzę, że Carrickowie wciąż mają u was dług.

Lucilla podrzuciła w rękach Artemis i zaczęła ją głaskać. Czuła jednak, że Thomas wciąż na nią patrzy.

– Czy Jeb i Lottie wybrali już imię dla małej?

– Tak – odparł Thomas. – Nazwali ją Lucy.

Lucilla podniosła głowę. Patrząc w jego bursztynowe oczy, bardziej tajemnicze i intrygujące niż u szczeniaka, uśmiechnęła się lekko.

– Proszę im przekazać, że jestem zaszczyczona.

Skłonił głowę.

– Przyśle wiadomość, gdy już będziemy wiedzieli, kiedy odbędą się chrzciny.

Przyjęła to lekkim ukłonem i znowu popatrzyła na psiaka. Miała dojmujące wrażenie, że gdyby to zależało od Thomasa, przez następną godzinę chętnie stałby tak i na nią patrzył – przyglądał się, jak głaska szczenię, które jej podarował. Po chwili zmusił się jednak, by spojrzeć na Marcusa z Apollem.

Wsuwając ręce do kieszeni bryczesów, Thomas wskazał gestem psy.

– Potrzebują dużo ruchu, dopóki nie dorosną.

Cofnął się o krok i Lucilla nagle przypomniała sobie o wymogach gościnności.

– Może wejdzie pan do środka i przyłączy się do nas, może chociaż napije się pan z nami?

Thomas spojrzął jej w oczy.

– Dziękuję, ale muszę odmówić. Pora na mnie.

Skłonił się płynnym ruchem im obojgu, wykonał obrót i podszedł do czekającego konia.

Wziął wodze i wskoczył na siodło. Spojrzął na nich – na Lucillę, Marcusa i szczeniaki – a potem skupił wzrok na Lucilli. Po raz ostatni skinął głową, zawrócił konia, zawołał Hestę i zaczął oddalać się podjazdem.

Hesta wstała, przeciągnęła się i nie patrząc na swoje młode, pobiegła w ślad za wielkim wierzchowcem, acz nieco z boku.

Lucilla patrzyła, jak Thomas Carrick odjeżdża. Pokonał zakręt na podjeździe i zniknął z widoku.

Hesta zatrzymała się przed zakrętem i obejrzała.

Wielki pies patrzył za siebie – i Lucilla gotowa była przysiąc, że spoglądał nie na nią ani na Marcusa, lecz na swoje szczenięta.

A one spoglądały na nią.

Nie zaskomlały; nie zaczęły się wrywać. Można było odnieść wrażenie, że suka i jej potomstwo porozumiewają się na odległość długim znaczącym spojrzeniem.

Potem, wciąż nie wydając żadnego dźwięku, Hesta odwróciła łeb i popędziła za Thomasem. Marcus cicho zaczerpnął powietrza.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co to wszystko miało znaczyć?

Patrząc na mordkę Artemis, Lucilla pokręciła głową.

– Nie bardziej niż ty.

Skierowali się z powrotem ku otwartym drzwiom frontowym. Kiedy zbliżyli się do schodków, Marcus zapytał:

– Czy rzeczywiście bez twojej pomocy dziecko by nie przeżyło? Gdybyśmy nie odpowiedzieli na prośbę Jeba, nie zawrócili i nie pojechali tam...?

Ruszając po schodach, Lucilla odrzekła:

– Niewykluczone, że tak.

Marcus zatrzymał się na stopniu i spojrzął na nią spod ściągniętych brwi.

– Skąd on mógł to wiedzieć?

Thomas wiedział, zanim mu powiedziała. Przystając przed drzwiami, Lucilla popatrzyła na brata.

– Tylko Pani zna odpowiedź. – Po czym odwróciła się i przekroczyła próg. – A teraz przestań zastanawiać się nad przeznaczeniem i chodź za mną. Na widok szczeniąt Sebastian i Michael pozielenieją z zazdrości.

Marcus parsknął śmiechem.

– Och, chętnie to zobaczę.

Uradowany tą myślą, podrzucił Apolla i wszedł za nią do domu.

Claire i Daniel nie mogli wymarzyć sobie lepszego dnia niż Dzień Świętego Szczepana na rozmowę z pracodawcami o swej przyszłości. Oboje otrzymali od nich prezenty, na które zasłużyli, a tamci chętnie zgodzili się spotkać z nimi po kolacji – lżejszym i dlatego krótszym posiłku.

Claire, idąc za Rupertem i Alatheą oraz Alasdaiem i Phyllidą Cynsterami do salonu, była zadowolona, że reszta przedstawicieli rodu – a także wszyscy inni – pozostała w Wielkiej Sali, by śpiewać kolędy i rozwiązywać szarady.

Salon był dużym, pięknie urządzonej pomieszczeniem. Jak wszystkie pokoje we dworze, miał małe przesłonięte grubymi kotarami okna, gdyż tego wymagał miejscowy klimat. Lecz w efekcie stał się

przytulny i zaciszny, bo przebywających w nim ludzi nie nękały przeciągi.

Cynsterowie zajęli miejsca na przeciwległych kanapach, panowie rozsiedli się wygodnie obok małżonek, opierając ręce na podłokietnikach; bracia, prawie na pewno nieświadomie, przybrali niemal identyczne pozy. Alatheia i Phyllida ułożyły spódnice i zwróciły pogodnie pytające spojrzenia na Daniela i Claire, a następnie wdzięcznymi gestami zaprosiły ich, by usiedli na krzesłach z prostymi oparciami, z powodu licznych gości porozstawianych wszędzie po pokoju.

Daniel zaprowadził Claire do dwóch z nich, które stały naprzeciwko ognia, tworząc wraz z bliźniaczymi sofami i kominkiem prostokąt. Zaczekał, aż jego wybranka usiądzie, po czym zajął miejsce obok niej.

Razem spojrzeli na swych chlebodawców – którzy uśmiechali się do nich z wyraźną zachętą.

– Rozumiem, że chcecie nas o czymś powiadomić – zaczęła Alatheia.

Daniel skinął głową.

– W rzeczy samej. – Pod wpływem impulsu ujął Claire za rękę.

Nie zrobiłby czegoś takiego w miejscu publicznym, jednakże okoliczności wydawały się stosowne. Lekki uścisk jej palców dodał mu odwagi i siły.

– Pani Meadows i ja chcielibyśmy się pobrać.

– Cudownie! – ucieszyła się Alatheia.

– Doskonale! – Phyllida lekko klasnęła. – Wspaniała wiadomość.

– Gratulacje. – Alasdair się uśmiechnął.

Rupert, także z uśmiechem, skłonił głowę.

Daniel poczuł nagle irracjonalną panikę; nie spodziewał się tak natychmiastowej aprobaty. Zerknął na Claire i zobaczył w jej oczach taką samą konsternację. Mocniej ściskając jej rękę, przeszedł od razu do najbardziej niepokojącej sprawy.

– Oczywiście pani Meadows... Claire... – znowu na nią spojrzął i w jej oczach wyczytał zachętę – będzie musiała przenieść się do Devon. – Zebrał się na odwagę i spojrzął na Alasdaira. – Mieliśmy nadzieję, że gdy obejmę nową posadę, jako pański sekretarz, będziemy mogli wynająć domek w pobliżu...

– Rzecz jasna, nie oczekuję, że będę otrzymywała jakąkolwiek zapłatę... – Claire pospiesznie zapewniła Alasdaira i Phyllidę. – Jak państwo wiedzą, guwernantki zazwyczaj nie wychodzą za mąż, pomyślałam jednak, że może znajdę w sąsiedztwie jakichś uczniów... – Nie dokończyła, tylko spojrzała na Alatheę. – Gdyż, niezależnie od wszystkiego, obawiam się... pani, panie Cynster... że i tak musiałabym od państwa odejść. Chociaż wiem, że już rozmawialiśmy na ten temat, Juliet, prawdę mówiąc, jest już w takim wieku, że nie potrzebuje guwernantki. Potrzebuje osoby, która przygotowałaby ją do wejścia w wielki świat.

Ku pewnej uldze Daniela, Alatheia pokiwała głową z uśmiechem.

– Istotnie. Sądzę jednak, że nie doceniasz samej siebie, moja droga. Jesteś wyjątkową guwernantką, nie tylko ze względu na ogromną wiedzę, ale także na to, że uczennice lubią pracować pod twym kierunkiem. – Tu zerknęła na Phyllidę.

Daniel, podążając za jej spojrzeniem, zobaczył, że Phyllida patrzy na nią i kiwa głową, wyraźnie zachęcając ją, by mówiła dalej.

Alatheia ponownie skierowała wzrok na Claire, nieco zaskoczona, i zamilkła na chwilę. Potem, uśmiechając się skromnie, przyznała:

– Nie byliśmy tak zupełnie nieświadomi rodzącego się między wami uczucia. Dlatego, Claire, tak mamy w zwyczaju, omówiliśmy już możliwość, że poślubisz Daniela i przeniesiesz się do Devon. Jak wspomniałam, jesteś zbyt dobrą guwernantką, byśmy pozwolili ci odejść, nie podejmując próby zatrzymania cię u nas, lecz, jak słusznie zauważyłaś, twoja praca w naszym domu, z Juliet, dobiega końca. Zaczęliśmy się więc zastanawiać, czy przeprowadzając się do Devon, nie chciałabyś objąć posady

guwernantki u Alasdaira i Phyllidy, i uczyć Lydii oraz Amaranthy.

Claire zamrugła. Spojrzała na Phyllidę.

Ta pochyliła się do przodu z przejęciem.

– Proszę powiedzieć „tak”. Chociaż muszę panią ostrzec, pani Meadows... Claire, jeśli wolno? – Gdy Claire, lekko oszołomiona, skinęła głową, Phyllida ciągnęła: – Chcę powiedzieć, że moje córki, a zwłaszcza Lydia, nie będą takimi posłusznymi uczennicami jak Juliet. Lydia uważa, że zawsze istnieje łatwiejsza droga, w każdej dziedzinie. Nie jest leniwa. Jest raczej...

– Zbyt bystra – podsunął Alasdair, ojciec dziewczynki. Zerknął z ukosa na żonę. – Nie wiem, po kim to ma.

Phyllida prychnęła i lekko uderzyła go po rękę, zaraz potem jednak ponownie spojrzała na Claire.

– Bylibyśmy więc bardzo zadowoleni, gdybyś przenosząc się do Devon jako żona Daniela, objęła wakującą obecnie posadę guwernantki Lydii i Amaranthy.

– I nie musicie szukać żadnego domku – włączył się Alasdair. – Mamy we dworze dużo wolnych pokoi, możecie dostać własny apartament. Chciałbym mieć cię – tu popatrzył na Daniela – pod dachem, niedaleko, gdy będę miał jakąś sprawę, a Phyllida i dziewczynki – zerknął na żonę – też na pewno wolałyby, by Claire przebywała w pobliżu. – Alasdair popatrzył na nich oboje. – Może później, gdy nasze córki dorosną, wymyślimy inne rozwiązanie, lecz na razie – uśmiechnął się ujmująco do Claire – powiedz tylko słowo, a my z zachwytem powitamy cię w naszym domu.

Danielowi zakręciło się w głowie. Mruknął pod nosem:

– Jakie słowo?

Claire to usłyszała. Świadoma zachęcającego uśmiechu Alasdaira, spojrzała na Phyllidę i zobaczyła w jej oczach nadzieję, prawdziwą i szczerą. Potem zerknęła na Alatheę i wyczytała z jej twarzy spokojną pewność. Rupert zaś był wyraźnie odprężony, zadowolony i pełen życzliwości.

Ta ocena zajęła nie więcej niż dwie sekundy; Claire, przenosząc wzrok z powrotem na Alasdaira, uśmiechnęła się promiennie.

– Tak... dziękuję! Dziękujemy państwu z całego serca.

– Nie ma za co! – Alasdair z udawanym przerażeniem zbył jej wyrazy wdzięczności. – Tylko poczekaj, aż znajdziesz się w naszym domu... Nie wiem, czy wtedy będziesz nam dziękować.

Wszyscy się zaśmiali.

Rupert rozprostował długie nogi, wstał i podszedł do kominka. Pociągnął za sznur od dzwonka, po czym się odwrócił. Popatrzył na Claire i Daniela z wyraźnym zadowoleniem i spojrzał za ich plecy w stronę drzwi, które właśnie się otworzyły. Uśmiechnął się i zaprosił gestem gości zgromadzonych na progu.

– Doskonale, w samą porę.

Obracając się na krześle, Claire zobaczyła, że do salonu wchodzi pozostali Cynsterowie. Oboje z Danielem wstali. Księżę i księżna prowadzili wdowę, a za nimi szła powoli Algaria, wsparta na ramieniu McArdle'a. Wśród przybyłych byli także Melinda, Raven i Morris. Polby i dwaj służący wnosili duże butelki i tace z kieliszkami, zamykając pochód.

Księżę, posadziwszy matkę na kanapie w kącie przy kominku, wyprostował się i zwrócił z uśmiechem ku Claire i Danielowi.

– Tego właśnie potrzeba, by dopełnić świąt.

– Przynajmniej w tej rodzinie. – Księżna podała mu kieliszek i podniosła swój.

Szybko rozdano wszystkim szampana. Większość Cynsterów stała szerokim półkolem, wokół kominka, z parą księżką pośrodku, Daniel i Claire zaś znajdowali się naprzeciwko, z Melindą, Ravenem i Morrisem za plecami.

Księżna rozejrzała się, by sprawdzić, czy wszyscy, a zwłaszcza narzeczeni, mają kieliszki z szampanem, i uśmiechając się, wzniosła toast.

– Za Daniela i Claire! Wszystkiego najlepszego z okazji zaręczyn. Niech wasze pożycie będzie tak szczęśliwe jak innych obecnych tutaj par. To wspaniałe zwieńczenie świąt. Żyjcie razem długo i szczęśliwie.

– Hura, hura! – dobiegło zewsząd i zgromadzeni wypili szampana.

– Za Daniela i Claire! – Richard, ich gospodarz, wysoko podniósł kieliszek. – Chciałbym wam nie tylko pogratulować przeszłego małżeństwa, lecz także przy okazji podziękować za wasz wkład, dotychczasowy i przyszły, w życie tej rodziny i szerzej pojętej społeczności, której z takim oddaniem służycie. Nigdy nie zapomnimy tego, co zrobiliście dla nas wczoraj. A więc wasze zdrowie! – Spojrzał na Catrionę i uśmiechnął się do niej. – I niech Pani, Bóg i wszyscy święci mają was w opiece.

Wszyscy się zaśmiali, zaczęli wznosić okrzyki i pić za szczęście Claire i Daniela. Potem zebrali się wokół nich i ściskali im ręce.

W pewnym momencie Daniel i Claire zostali wezwani przed oblicze wdowy. Posłusznie stanęli przed nią, zastanawiając się, dlaczego chce z nimi rozmawiać, lecz ona tylko popatrzyła na nich z uśmiechem i oznajmiła – w swój zwykły, trochę niepokojący sposób – że wszystko będzie dobrze.

Niedługo później pozwolono im się wymknąć. Raven, Morris i Melinda wyszli już wcześniej; Morris zatrzymał się, by powiedzieć narzeczonym, że we troje będą na nich czekali na górze, w pokoju do nauki, by świętować we własnym gronie.

Zamykając za sobą drzwi salonu, Daniel spojrzął Claire w oczy i ujrzał to samo pełne niedowierzania szczęście, które widniało w nich poprzednio. Spowił ich mrok korytarza i nagła cisza. Gdy zaczęło mijać oszołomienie i zdali sobie sprawę, że owszem, zrobili to i wszystko poszło dobrze, oboje doznali wielkiej ulgi, a Daniel się roześmiał – i usłyszał w swym głosie radość.

– Obawiałem się, że będzie o wiele trudniej. Bardziej niezręcznie.

Odpowiadając uśmiechem, Claire pokiwała głową.

– Ja też. – Wskazała w stronę salonu. – Myślałam, że trzeba będzie ich przekonywać, a tu... – Odetchnęła głęboko. – Cóż, w tej rodzinie lubią wesela.

– Najwyraźniej lubią też, gdy pobierają się inni. – Daniel uśmiechnął się z zadowoleniem, wziął Claire za rękę i pociągnął do holu. – Trudno to wszystko ogarnąć. Przyjechałem tu, aby się z tobą rozmówić... poprosić cię o rękę i ją zdobyć. Nie wiedziałem, czy mi się uda, tymczasem minęły zaledwie dwa dni, a stoimy tu jako oficjalnie zaręczeni, ze ślubem w perspektywie i zaplanowaną przyszłością.

Claire, z uśmiechem na twarzy i błyskiem w oczach, szła za nim.

– Jeśli nie ma ryzyka, nie ma wygranej. Taka z tego lekcja.

– Uhm. – Daniel rzucił jej badawcze spojrzenie. – Muszę to sobie zapamiętać.

Claire parsknęła śmiechem i ruszyła razem z nich po schodach, które prowadziły do pokoju, gdzie zazwyczaj odbywały się lekcje.

– Mnie też te zmiany zadziwiają. – Podniosła głowę i spojrzała Danielowi w oczy. – Zaledwie kilka dni temu byłam sama i myślałam, że spędzę resztę życia jako guwernantka u Cynsterów. A teraz... – Machnęła ręką.

– A teraz masz mnie, a ja mam ciebie... – Daniel wskazał dookoła. – Otaczają nas ci wszyscy ludzie. Cenią nas i nasze umiejętności. Mamy role do odegrania, i to takie, które nam odpowiadają i będą nam sprawiać satysfakcję. Mamy też wiernych przyjaciół, z którymi możemy się tym dzielić.

Dotarli na piętro i Claire przystanęła w blasku księżyca wpadającym przez okno. Zwróciła się ku Danielowi i wzięła go za rękę.

– A najważniejsze, że mamy to, co się między nami zrodziło. Miłość, która pomoże nam przetrwać przeciwności.

– I żyć dalej. – Daniel podniósł do ust najpierw jedną jej dłoń, a potem drugą i musnął ustami palce. – Mając naszą miłość, mamy wszystko, czego kiedykolwiek będziemy potrzebować.

Ściskając jego dłoń, Claire wspięła się na palce i go pocałowała.

Na jedną radosną chwilę czas się zatrzymał.

Nagle przestraszył ich jakiś błysk za oknem. Wyjrzeni przez nie i na granatowoczarnym aksamicie nocnego nieba zobaczyli spadającą gwiazdę.

– Och. – Claire odwróciła się i wsparła na ramieniu Daniela.

On ją objął i oboje patrzyli, jak gwiazda mknie po firmamencie.

Kiedy zniknęła za górami, westchnęli. Spojrzeli sobie w oczy, odsunęli się od siebie i trzymając się za ręce, ruszyli dalej po schodach – do biblioteki, przyjaciół i czekających ich licznych cudów miłości.

Nazajutrz, po wschodzie słońca i naradzie przy śniadaniu, na tylnym dziedzińcu zebrali się uczestnicy polowania.

Zjawili się ci wszyscy, którzy brali udział w wyprawie zwiadowczej w Wigilię. Lucilla, siedząc na swej karej klaczy, patrzyła, jak kilku jej krewnych sprawdza strzelby i amunicję.

Prudence podjechała do niej na swoim gniadoszu.

– Byłam ciekawa, czy przyjdiesz. Wydawało mi się, że nie jesteś zdecydowana.

– Owszem, miałam wątpliwości. – Lucilla krytycznie spojrzała na Sebastiana.

Trzymał z nonszalancką swobodą strzelbę, którą ojciec pozwolił mu wziąć. Wsunął ją do futerału przy siodle, po czym ujął wodze i płynnym ruchem dosiadł konia.

Broni palnej mogli używać tylko Sebastian, Michael, Marcus i Christopher, mimo że większość młodzieży w rodzinnych posiadłościach regularnie jeździła na polowania uzbrojona. Powód tego ograniczenia był prosty. Pani i jej wybrańcy – jak Catriona, Lucilla, Algaria, a nawet Marcus – nie pochwalali niepotrzebnego zabijania, w każdym razie na ziemiach należących do Vale, tych będących pod jej opieką, która, czego niedawno dowiedziała się Lucilla, obejmowała także część majątku Carricków.

Pewien odstrzał jeleni i innej zwierzyny był jednak konieczny, a że nie marnowali ani kawałka ubitej sztuki, polowanie nie było zabronione; jednak brali w nim udział tylko ci, którzy urodzili się w Vale i rozumieli tutejsze zwyczaje.

Kiedy w łowach pozwalano brać udział obcym, Lucilla czuła niejasną, lecz przemożną potrzebę, by przy tym być. Czy skłaniała ją do tego obecność broni i ryzyko wypadku, czy może chciała mieć pewność, że nic nie wymknie się spod kontroli – nie potrafiła powiedzieć. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jako jedyna z zebranych ma wpływ na markiza Earith. Sebastian dziedziczył ten tytuł po ojcu, a co za tym idzie, sam miał w przyszłości stanowić prawo, no i był najstarszy z kuzynów. Lucilla natomiast była najstarszą kobietą wśród kuzynostwa i aczkolwiek nie bardzo rozumiała dlaczego, zajmowała dzięki temu pozycję niemal równą Sebastianowi.

Marcus mógłby się spierać z Sebastianem i zrobiłby to, lecz tylko Lucilla mogła odwieść swego kuzyna od tego, co sobie postanowił.

Kiedy wszyscy wsiedli na konie i usadowili się w siodłach, Lucilla cicho westchnęła.

– Wolałabym zostać i pobawić się z Artemis, ale – machnęła ręką – obowiązek wzywa.

Prudence przyjrzała jej się uważnie. Kuzyni rzadko kwestionowali decyzje Lucilli – przypuszczała, że tak naprawdę nie chcą w nie wnikać – tym razem jednak Prudence podniosła głowę.

– Jaki obowiązek? – zapytała.

I tu Lucilla miała kłopot.

– Tak naprawdę nie wiem. – Skrzywiła się i palcami w rękawiczce potarła czoło między brwiami. –

Po prostu coś mi mówi, że powinnam dziś pojechać na polowanie. – Wzruszyła ramionami i skierowała klacz ku grupie, która się sformowała. – To nie znaczy, że coś się stanie.

Nie bardzo w to wierzyła, lecz co innego mogło kryć się za niezwykle silnym przeczuciem?

Tamtego ranka, jak zauważyła Prudence, była w rozterce, wahała się, czy jechać na polowanie, zwłaszcza że wybierał się na nie Marcus, a Sebastian i inni przecież znali miejscowe zwyczaje. Potem

jednak zjrzała do niej Catriona, która chciała się upewnić, że Lucilla jedzie z pozostałymi, i to oczywiście przesądziło sprawę. Zamknęła więc Artemis w pokoju z parą starych kapci do gryzienia, przebrała się w strój do jazdy konnej, wciągnęła wysokie buty, wzięła rękawiczki, kapelusz i szpicrutę, po czym poszła do stajni.

Wychyliwszy się z siodła, Marcus szeroko otworzył bramę na tyłach dziedzińca i Sebastian wyprowadził za nią kawalkadę.

Później rozproszyli się na łąkach zimowych polach, tworząc luźną formację. Sebastian i Marcus jechali obok siebie na czele, a za nimi podążali Michael i Christopher, wymieniając uwagi. Lucilla, cwałując z Prudence za nimi, zastanawiała się, co ją czeka tego dnia.

Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że to, co wydarzyło się w Wigilię, te godziny spędzone w chacie zagrodnika, całkowicie ją zmieniły. Odniosła wrażenie, jakby to była dla niej próba, którą przeszła, stając się z terminatora czeladnikiem.

Ta analogia wydawała się stosowna; nawet ci z dworu, którzy znali Lucillę od dziecka, teraz odnosili się do niej z większym szacunkiem, jakby wiedzieli, że zmieniła się jej pozycja.

Jednakże nie była to jedyna zmiana, jaka zaszła w niej podczas pobytu w domku.

Lucilla ujrzała fragment swej przyszłości – był to wyjątkowy przywilej. Choć często miewała wizje, zwykle dotyczyły one innych ludzi albo, jak w przypadku polowania, skłaniały ją do pewnych kroków w stosunku do nich. Nader rzadko dowiadywała się czegoś, co by wiązało się z nią samą. Jednakże jej matka także doświadczała czegoś takiego, acz jeśli chodzi o Catrionę, sama o to zabiegała.

I tak jak się to zdarzało Catrionie, Lucilla nie wiedziała, co ma począć z uzyskaną wiedzą. I czy w ogóle ma z nią cokolwiek robić.

Wiedziała tylko jedno – że jeszcze nie przyszła ani jej, ani jego pora. Musiało minąć kilka lat, zanim jakaś siła pchnie ich do działania i przypieczętowania wspólnego losu. Na razie więc nic nie musiała w związku z tym robić.

Co w żaden sposób nie tłumaczyło, dlaczego tego dnia tak dużo o nim myślała. Może za sprawą Artemis, która przywodziła go jej na pamięć, jednakże Lucilla nie była tego wcale pewna.

Postanowiła porzucić jałowe spekulacje, skupiła więc wzrok na linii zbliżających się drzew.

Wjechali na trakt dla koni, który biegł wzdłuż łańcucha gór.

Prudence zawołała:

– Kierują się tam, gdzie według Thomasa Carricka schroniły się jelenie?!

– Tak sędzę! – odkrzyknęła Lucilla.

Niezbyt uważnie słuchała, gdy planowali trasę.

Jednakże jej przypuszczenia okazały się słuszne. Sebastian i Marcus zmierzali do miejsca, w którym trakt przechodził w las na stokach zachodnich wzgórz. Tam zeskoczyli z koni i je uwiązali. Wziąwszy broń oraz amunicję, a także pozostałe rzeczy, grupa podążyła za Marcusem i Michaelem – najlepszymi myśliwymi z grupy – kiedy ci ruszyli dalej na piechotę.

– Nie znoszę tej części polowania – mruknęła Lucilla, kiedy obie z Prudence powlokły się na końcu, ograniczane przez obfite spódnice, mimo że miały pod nimi spodnie do jazdy konnej. Chłopcy parli sprawnie naprzód, podczas gdy one musiały przy każdym kroku zmagać się z fałdami materiału.

Wkroczyli cicho do doliny poniżej występu skalnego, o którym mówił Thomas Carrick. Choć nie ulegało wątpliwości, że rzeczywiście niedawno były tam jelenie, i to w dużej liczbie, to już zniknęły z wąwozu.

Lucilla zatrzymała się i przechyliła głowę, by pochwycić jakiś szelest, niesiony lekkim wiatrem, po czym westchnęła i puściła spódnicę, którą trzymała zebraną w dłoni.

– Nie ma tu żadnych jeleni – orzekła.

W pobliżu też ich nie było.

Zerkając na Marcusa, zobaczyła, że i on na nią patrzy. Ta wymiana spojrzeń wystarczyła; oboje

wiedzieli, że w okolicy nie ma już żadnej zwierzyny łownej.

Lucilla miała jednak dziwne wrażenie, że jelenie zostały spłoszone.

Zastanawiała się, czy o tym wspomnieć, lecz uznała, że inni, pod przewodnictwem Michaela i Christophera oraz przy wsparciu Sebastiana, nie zechcą pogodzić się tak po prostu z faktem, że nie ma na co polować i trzeba wracać do domu.

Ani ona, ani Marcus nie umieliby wytłumaczyć, skąd wiedzą, że nie ma tu jeleni, więc żadne z nich nic nie powiedziało. Z rezygnacją ruszyli za pozostałymi na bezowocne, jak wiedzieli, poszukiwania.

Wezwany do przodu Marcus ponownie objął z Michaeliem przewodnictwo i obaj poprowadzili myśliwych w głąb lasu.

Trzymając się razem, penetrowali skaliste doliny i schodzili coraz niżej. Drzewa porastające niższe stoki stanowiły mieszaninę starych – wysokich gigantów sięgających ku niebu – z młodszymi, zastępującymi te, które wycięto. Gęste podszycie utrudniało widoczność. Czasami nie dało się dojrzeć nieba czy nawet gór, mimo że znajdowały się tak blisko. A pogórze tak było pofałdowane, że często tracili poczucie kierunku; to, że szli pod górę, nie znaczyło wcale, że zacierają na zachód, w stronę gór – równie dobrze mogli kierować się na wschód, czyli w niewłaściwą stronę.

Włokąc się na końcu, Lucilla pomyślała, że może ten dzień wykorzystać; otworzyła się na obecność Pani. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by zrobić coś tak prostego. I tak jak mówiła Algaria, wyczuła, że wciąż są pod opieką Pani, na jej ziemi.

To było pokrzepiające.

I trochę dziwne. Lucilla bowiem zwykle wyczuwała, gdzie jest dwór, podobnie jak święty gaj, w którym modliły się z matką. A teraz rozglądając się wokół, miała wrażenie, że ciągnie ją jednocześnie w innym kierunku.

– To musi być Carrick Manor – mruknęła do siebie.

Uświadomiwszy to sobie, zaczęła liczyć się z możliwością, że zbliżają się do ziem Carricków. Przypuszczała, że ich zachodnia granica leży na skraju lasu, lecz trudno było ustalić, gdzie się on znajduje, zwłaszcza na pogórze, które obecnie przemierzali.

Idący z przodu chłopcy zatrzymali się nagle. Lucilla prawie na nich wpadła. Chwyciła Nicholasa za ramię – z jego pomocą odzyskała równowagę.

– Ciii! – Nicholas przytknął palec do ust. To upomnienie było ledwie słyszalne.

Lucilla podążyła za spojrzeciami pozostałych i zobaczyła jelenia – a w każdym razie jego poroże. Schodził po przeciwległym stoku.

Właśnie doszli do gęsto zalesionej grani; pomiędzy nimi a tamtym stokiem leżała wąska dolina, którą płynął jeden z wielu w tej okolicy potoków. Szum rwącej wody brzmiał jak odległe bicie dzwonów, zwodząc zmysły i zagłuszając inne dźwięki.

Nikt się nie poruszył; powoli, w odpowiedzi na znak Sebastiana wszyscy chłopcy przykucnęli.

Lucilla stała, patrząc na jelenia. Nicholas podniósł rękę i pociągnął ją za rękaw, lecz ona z roztargnieniem wyswobodziła dłoń. Znajdowali się pod osłoną drzew. Od strony lasu wiał wiatr. Wszystko wskazywało na to, że jeśli nie spłoszą zwierzęcia, jeleni ich nie zauważy i nie ucieknie.

Zarośla zasłaniały go prawie całkowicie; widać było tylko rogi, które przesuwały się, gdy zwierzę stapało, prawdopodobnie ścieżką biegnącą pod szczytem.

Lucilla patrzyła na niego, gdy nagle ogarnęło ją dziwne uczucie.

Okropny lęk.

Bezszelестnie, wciąż wpatrzona w jelenia, ruszyła przed siebie, mijając młodszych kuzynów i nie zważając na ich niezadowolone miny.

Podeszła do grupy na czele – Sebastiana, Marcusa, Michaela i Christophera – i usłyszała, jak ten pierwszy pyta szeptem jej brata:

– Wolno go zastrzelić?

Marcus zmrużonymi oczami przyglądał się wielkiemu porożu zwierzęcia.

Lucilla wiedziała, że brat ma równie dobry wzrok jak ona. Zatrzymawszy się kilka kroków za nim, nie zdziwiła się, gdy usłyszała odpowiedź:

– Musi być bardzo stary. Teraz jest sezon na łanie, lecz w tej okolicy niezależnie od pory roku wolno ubijać takie stare samce.

– Doskonale – szepnął Sebastian.

Trzymał już w dłoniach strzelbę. Podniósł ją na wysokość twarzy – bez wątpienia celując w ukryty za zaroślami łeb zwierzęcia, gdyż trudno było ustalić dokładne położenie tułowia. Lucilla wiedziała, że kuzyn jest doskonałym strzelcem; z tej odległości nie mógł spudłować.

Za kilka sekund jeleni miał zginąć – paść martwy.

Powiedziała sobie, że tak będzie dla niego lepiej. Starła się zapanować nad niespodziewaną paniką – przecież to nic nadzwyczajnego. Stale odstrzeliwali jelenie.

Zaciskając dłonie, usiłowała stłumić dziwny, coraz silniejszy strach, którą wręcz ją dławił.

Co się dzieje?

Zmysły miała wyostrzone, była niezwykle czujna.

Kątem oka zobaczyła, że ramiona Sebastiana prawie niezauważalnie opadają, gdy nabiera powietrza. Za chwilę naciśnie spust...

– Nie! – Rzuciła się do przodu, wyciągając rękę nad ramieniem Sebastiana.

Padł strzał, ale ponieważ pchnęła lufę w dół, strzelba wypaliła w ziemię.

Sebastian opuścił broń, odwrócił się i podtrzymał Lucillę.

– Co, u licha? – Był nie tyle zły, co zaskoczony. Zdeprymowany.

Jednakże Lucilla nie zwracała na niego uwagi. Wszystkimi zmysłami była skupiona na sylwetce pod porożem... która powoli się uniosła.

Wyprostowawszy się i zmrużywszy oczy, z drugiej strony wąwozu patrzył na nich Thomas Carrick. Miał na głowie przypięte poroże.

Wszyscy gapili się na niego. Sebastian przełknął ślinę.

– Powtarzam... co, u licha? – odezwał się ponownie nieco drżącym głosem.

Lucilla wreszcie zdołała zaczerpnąć tchu; mrok, na skraju którego stała, zaczął ustępować. Prostując się – i przyciągając tym wzrok Thomasa – wyjaśniła:

– On odgrywa rolę Rogatego Bóstwa na łowach... Herna, Heriana, Herli, nazywajcie go, jak chcecie. To w tych stronach bardzo stara tradycja. Nie wiedziałam, że jeszcze ktoś ją kultuwyje.

– Boże! – Marcus podniósł się poblądły. – Nie miałem pojęcia. – Wyciągnął przed siebie ręce i powiedział do Thomasa Carricka samym tylko ruchem warg: – Przepraszamy!

Sebastian wciągnął powietrze i otworzył usta, by głośno przeprosić, gdy...

Lucilla chwyciła go za łokieć.

– Nie. Zachowajmy ciszę, myśliwi muszą być już niedaleko.

Zaraz potem z przeciwnego stoku dobiegły zbliżające się nawoływania, trzaski gałęzi i odgłosy szybkich kroków. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, za Thomasem.

On zrobił to samo, po czym odwrócił się i znowu na nich spojrział – a konkretnie na Lucillę. Wszyscy inni mogliby dla niego nie istnieć, lecz gdy odgłosy nagonki się zbliżyły, powoli skłonił głowę – pochylając to wspaniałe poroże – i zaczął uciekać.

W jednej chwili zniknął wśród drzew i krzaków; niespełna minutę później dostrzegli go, jak pokonywał szczyt – biegnąc przez las niczym Hern.

Kiedy ścigający go – przeważnie podekscytowane dzieci, udające dorosłych – przewaliły się falą przez wierzchołek wzgórza – Cynsterowie cicho wycofali się do lasu.

Gdy tamto polowanie oddalało się, niczego nieświadome, zawrócili i powlekli się pogórzem w stronę traktu dla koni.

Żadne z nich się nie odzywało; wszyscy byli wciąż poruszeni tym, co mogło się stać.

W końcu Sebastian, ze złamaną strzelbą na ramieniu, zrównał krok z Lucillą. Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu, a potem kuzyn westchnął.

– Dziękuję ci. Z całego serca. To by było... straszne.

Lucilla spojrzała mu w oczy. Po chwili skinęła głową i skierowała wzrok przed siebie.

– O tak.

Jej głos zabrzmiał dziwnie, nawet w jej uszach.

Zabicie Thomasa Carricka rzeczywiście byłoby straszne.

A dla niej też równałoby się śmierci.

Epilog

1 stycznia 1838 roku

Obejmując ramionami kolana, Louisa siedziała we wnęcie okiennej w pokoju Annabelle i patrzyła nad pokrytymi śniegiem ogrodami w stronę białego lasu, który rozciągał się za nimi.

Ziemię skuł lód. Sople lśniły i iskrzyły się w zimowym słońcu, a szron tworzył usianą brylantami koronkę na każdej powierzchni.

Minął Hogmanay; zaczął się nowy rok.

Uroczystości trwające cały poprzedni dzień i noc, aż do rana – przynajmniej te, w których ona i trzy jej rówieśniczki brały udział, dopóki nie padły ze zmęczenia i nie powlokły się po schodach do łóżek – były przepełnione wręcz szaloną wesołością. Stanowiły pożegnanie minionego roku, z jego radościami i smutkami, i powitanie nowego, z tym wszystkim, co miał przynieść.

I oto nastał.

Opierając brodę na kolanach, Louisa zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w zimowy krajobraz. To ona najbardziej przekonywała dorosłych, by urządzić te święta w Vale; patrząc wstecz na szczęśliwe wydarzenia ostatniego tygodnia, uznała, że jej nadzieje spełniły się z nawiązką.

W pokoju panowała cisza, pozostałe trzy dziewczynki jeszcze spały, choć Therese już się obudziła; otulając się szlafrokiem, podeszła do Louisy i usiadła przy niej. Wyrzała przez okno, a potem przesunęła palcem po namalowanych przez szron deseniach na szybie.

– Więc to nasz ostatni dzień w Szkocji... Ciekawe, czy u nas też padał śnieg.

Annabelle dzieliła łóżko z Juliet, podczas gdy Louisa i Therese spały na wysuwanych łóżkach przy kominku; na dźwięk głosu tej ostatniej Annabelle otworzyła oczy, zobaczyła tamte dwie przy oknie i usiadła.

Juliet mruknęła sennie, lecz kiedy Annabelle wysunęła się spod pierzyny, poszła jej śladem – wciąż mamrocząc.

Na ławce we wnęcie było miejsce tylko dla dwóch osób, Annabelle więc przyciągnęła sobie krzesło z wąskim oparciem, a Juliet – taboret stojący przy toalecie.

Opadając na niego i zarzucając na ramiona wzięty pod drodze szal, Juliet spojrzała na Therese, a potem na Louise.

– Więc to ostatni dzień naszego pobytu tutaj, lecz jeśli towarzystwo na dole bawiło się jeszcze po naszym wyjściu, a najpewniej tak było, dziś wszyscy będą dochodzić do siebie.

Annabelle pokiwała głową.

– Będzie najwyżej spacer, aby się orzeźwić, a później czyszczenie kominków, wyjęcie zeszłorocznych popiołów i resztek spalonych polan z podobiznami Cailleach.

– By przepędzić ducha zimy? – zapytała Therese.

Annabelle potwierdziła:

– Właśnie.

– Muszę przyznać – podjęła Therese – że po ostatnim dniu jestem trochę zmęczona. Nie miałam pojęcia, że Hogmanay wiąże się z tyloma zwyczajami. Nasze obchody Nowego Roku są skromniejsze.

– W tych stronach jest inaczej – wyjaśniła Louisa – ale przecież właśnie dlatego tu przyjechaliśmy. – Przechyliwszy głowę, popatrzyła na pozostałe trzy dziewczęta. – I musicie przyznać, że miałyśmy więcej radości, niż się spodziewałyśmy. Był romans i urodzone w Wigilię dzieciątko, nawet jeśli go osobiście nie widziałyśmy. Babcia wspomniała mi, że jemioła zadziałała, zdecydowanie pomogła zbliżyć się panu Crosbiemu i pani Meadows.

Juliet szczerzej otuliła się szalem.

– Cudownie. To dobrze, bo Medy zasługuje na szczęście i powinna mieć własną rodzinę, a pan Crosbie jest taki miły. Mama powiedziała, że Medy odejdzie od nas, by zamieszkać u stryja Alasdaira i ciotki Phyllidy. Lydia i Amarantha to szczęściarzy... ale to oznacza, że nadal będę widywała Medy podczas spotkań rodzinnych, które w końcu zdarzają się całkiem często.

– Wieczorem rozmawiałam z mamą – odezwała się Annabelle. – Wszystkie cztery będziemy mieć guwernantkę, która przygotowuje nas do wejścia w świat, podczas pobytu omówiły to nasze matki.

Dziewczęta zastanowiły się nad tą perspektywą.

Louisa uniosła brwi.

– To będzie ciekawe.

Zaśmiały się łobuzersko, w poczuciu wspólnoty. Wszyscy przedstawiciele książęcego rodu Cynsterów, jacy przyszli na świat w tym samym roku, niezależnie od gałęzi, z której się wywodzili, od urodzenia wychowywali się podobnie; i każdemu z nich trudno było sobie wyobrazić, że ktoś spoza ich grona potrafi zrozumieć czekające ich w życiu decyzje.

– Więc – odezwała się znowu Therese – wygląda na to, że wkraczamy w ostatni etap przygotowań do debiutu w towarzystwie. Jeszcze cztery lata i wejdziemy w świat... co za niespodzianka, jak powiedziałyby stara lady Osbaldestone. – Pozostałe trzy się roześmiały, a Therese ciągnęła: – Lecz jakie mamy cele na ten rok, na następny? Do czego zmierzamy? Co chcemy w życiu osiągnąć?

Spojrzała na Annabelle i Juliet, a potem we trzy popatrzyły na Louisę.

Ta zauważyła, że czekają, co ona powie; uśmiechnęła się jeszcze bardziej tajemniczo niż zwykle. Ale uśmiech powoli zniknął z jej twarzy i odezwała się poważnym tonem:

– Nasze cele... Aby je określić, musimy się zorientować, czego chcemy. Na czym najbardziej zależy nam w życiu, co jest dla nas najważniejsze. – Popatrzyła na pozostałe. – Czy to już wiemy?

Minęła chwila, potem na spojrzenie Louisy odpowiedziała Therese.

– Ja nie wiem, lecz byłabym zdziwiona, gdybyście i wy nie wiedziały.

Louisa pokręciła głową i ciemne włosy opadły jej na ramiona.

– Ja coś tam już wiem, ale jeszcze nie wszystko. – Skierowała wzrok za okno na rozciągający się za nim krajobraz i zamyśliła się. Po chwili, wiedząc, że inne czekają na dalszy ciąg, bo zawsze się sobie zwierzały z takich rzeczy, podjęła: – Wiem, że chcę mieć wpływ na swoje życie... że nie byłabym szczęśliwa, gdyby ktoś mną kierował, gdybym stała się tylko ozdobą dla męża i była od niego uzależniona. Wiem, że chcę sama podejmować decyzje w ważnych dla mnie sprawach. Chcę znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie, należeć do niego, lecz nie bezwolnie. Chcę mieć rodzinę, dom, dzieci, miłość... wszystko to, co my, Cynsterowie, uważamy za pewne, wierząc, że w końcu przypadnie nam w udziale. – Na myśl o oczekiwaniach ze strony rodu na jej ustach pojawił się lekki uśmiešek. – I chociaż nie ma w tym nic złego... to wszystko rzeczywiście jest pociągające i sama tego pragnę, nade wszystko chciałabym być wolna.

Przerwała i pozostałe dziewczęta także zapadły w milczenie, podążając za jej myślami, ujęte siłą jej słów, opisanymi przez nią ideałami. Po chwili Louisa kontynuowała:

– Wiem, że będzie mi potrzebna determinacja, że osiągnięcie tego, czego pragnę, będzie wymagało ode mnie wiele wysiłku i starań. – Zerknęła na resztę. – Tyle wiem.

Znowu przeniosła spojrzenie za okno i pozostałe zrobiły to samo, jednakże żadna z nich czterech nie widziała teraźniejszości, lecz spoglądała w przyszłość.

Po chwili Louisa mocniej objęła kolana i rzekła cicho:

– Być może czeka mnie walka, lecz nie widzę innej drogi. – Po tych słowach zapadła cisza jak makiem zasiał. – Być może pełnię życia, muszę pozostać sobą.

Tego samego przedpołudnia Lucilla zabrała Artemis na spacer po tylnym dziedzińcu. Otulona w pelisę,

z dłońmi w ciepłych, obszytych futerkiem rękawiczkach, z grubym szalem na głowie i ramionach oraz w solidnych butach do konnej jazdy na nogach, wyszła za suczką na dwór. Idąc śladem ciekawskiego szczenięcia, znalazła się w cichej Vale.

Mimo dość późnej pory niewielu już wstało; większość jeszcze leżała w łóżkach, odsypiając efekty działania różnych trunków, których poprzedniej nocy nie brakowało. Picie stanowiło zasadniczą część pożegnania starego roku, nieodłączny element Hogmanay. Uśmiechając się na wspomnienie hulanki, których była świadkiem, Lucilla wędrowała za Artemis.

Wiedziała, że niebawem wstanie służba i w Wielkiej Sali zostanie podany lekki lunch. Jednakże do tego czasu, zwłaszcza że nawet najmłodszy członkowie rodu mieli ochotę odpocząć, w domu będzie panować spokój i cisza.

I nowy rok wkroczy na palcach, by zaskoczyć mieszkańców dworu.

Artemis, podchodząc do bramy na końcu dziedzińca, zanurkowała między dwie najniższe belki i przedostała się na drugą stronę; Lucilla pchnęła skrzydło bramy i idąc za suczką, zostawiła je otwarte.

Zdawało się, że w otaczającym ją białym krajobrazie poza nią nie ma żadnego człowieka, a poza psem – żadnego zwierzęcia.

Cisza była wręcz przejmująca, jednakże Lucilla wyczuła pod nią... coś jakby bijące serce. Czyjąś obecność, która dla niej była bardzo rzeczywista, wręcz namacalna, acz nie w takim sensie jak dla innych.

Lucilla zamknęła oczy i otworzyła się na inne doznania.

I nawiązała kontakt ze światłem wokół niej.

Jakiś czas później z transu wyrwał ją ostry skowyt. Otworzywszy oczy, zobaczyła drugie włochate stworzenie, które przebiegło nieporadnie obok niej na ślizgających się łapach – to Apollo biegł za siostrą.

Lucilla z uśmiechem obejrzała się przez ramię. Napotkała spojrzenie ciemnoniebieskich oczu brata, który zatrzymał się nieco za jej plecami.

Marcus popatrzył na nią, starając się wyczytać coś z jej wzroku, a potem razem, jak zwykle w milczącym porozumieniu, spojrzeli najpierw na szczenięta, które bawiły się już ze sobą, warcząc na niby i skacząc, a później na białe pola, które w przyszłości miały stać się ich własnością, przejść pod ich opiekę.

Wreszcie oboje unieśli głowy i skierowali wzrok jeszcze dalej, na leżące za polami wzgórze.

Rzadko potrzebowali słów, by się porozumieć, jednakże teraz podzielili się nie tyle myślami, ile świadomością.

Lucilla nie potrafiła sobie wyobrazić, że nie miałyby tu przy sobie Marcusa, i wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że on czuje tak samo. Nie była tylko pewna, czy więź, która ich łączyła, wynikała z tego, że byli bliźniętami, czy raczej z tego, że oboje zostali naznaczeni przez Panią.

Niezależnie od tego i on, i ona patrzyli teraz na północ i wiedzieli. Wiedzieli, że ich przyszłość jest nierozłącznie związana, nie tylko z dworem, nie tylko z Vale, lecz także z tym, co znajdowało się dalej.

Żadne z nich nie podważało tego przeczucia ani się go nie wypierało.

Mimo że ani jedno, ani drugie nie rozumiało w pełni, co to oznacza. I co będzie dalej.

To także stanowiło element ich więzi.

Lucilla stwierdziła, że trudno jej zawrócić, oderwać spojrzenie od tych odległych wzgórz; w jej naturze leżało poszukiwanie, odkrywanie, uczenie się i poznawanie, mimo że nie przyszedł jeszcze ich czas – jej i Marcusa.

W końcu Marcus drgnął. Cicho przywołał Apolla i szczeniak przybiegł do niego, powiewając uszami, z rozdziawioną mordką i wysuniętym językiem.

Marcus uśmiechnął się szeroko. Podniósł głowę i jeszcze raz ostatnim przeciągłym spojrzeniem objął dalekie wzgórze, a potem się odwrócił i ruszył z powrotem do domu.

Lucilla słyszała, że brat odchodzi, ale jeszcze patrzyła przed siebie, na wzgórze, pragnąc dowiedzieć się więcej, nie chcąc zawrócić bez...

Jednak dobiegło do niej skomlenie i spojrzała w dół. Artemis siedziała u jej stóp, patrząc na nią mądrymi bursztynowymi ślepiami. Suczka podniosła łapę i lekko drapnęła brzeg pelisy.

Lucilla nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Tak, masz rację. To nie ma sensu, prawda?

Artemis zadarła łeb i spojrzała na nią.

Lucilla zaśmiała się cicho.

– No dobrze. Wracamy do środka.

Rzuciwszy na wzgórze ostatnie długie spojrzenie, odwróciła się i razem z Artemis ruszyła za Marcusem do domu.

Wysoko na wieży z widokiem na tylny dziedziniec Helena, księżna matka St. Ives, siedziała we wnęce okiennej i patrzyła na swoje wnuki – czarnowłosego Marcusa i Lucillę z burzą rudych loków – którzy wracali do domu.

Wielu w towarzystwie uważało, że Helena jest niezwykle przenikliwa, jednakże to, że wiedziała więcej niż inni, zawdzięczała raczej zwyczajowi baczego obserwowania ludzi i zauważania tego, co uchodziło uwagi pozostałych, niż jakiejś szczególnej umiejętności.

A kiedy chodziło o wnuki, była szczególnie wyczulona; starała się niczego nie przeoczyć.

Gdy para dzieci zniknęła z pola widzenia, Helena uśmiechnęła się z czułością.

– Co znowu? – Algaria, zauważywszy ten uśmiech, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Helena, wciąż z uśmiechem na twarzy, wzruszyła ramionami.

– To byli tylko Marcus i Lucilla, właśnie weszli do domu.

Algaria przyjrzała jej się uważnie i uniosła brew.

– No i? – zapytała.

– I z zadowoleniem widzę, że młodzi znajdują drogę, którą mają podążać – odparła wdowa.

Poprawiając szal na ramionach, Algaria prychnęła.

– Gdyby zwyczajnie szli za instynktem, ich życie byłoby o wiele prostsze. To w końcu powinno przychodzić naturalnie.

Helena uśmiechnęła się szerzej, spokojna, niezachwiana w swej wierze.

– Nie byłabym tego taka pewna. Dla niektórych nagrodą jest dążenie do celu, wysiłek włożony w jego osiągnięcie. Tylko pomyśl, czego byliśmy świadkami w zeszłym tygodniu. – Rozłożyła ręce, zachęcając Algarię, by wzięła pod uwagę fakty, po czym spojrzała przez okno na rozciągający się za nim krajobraz, na leżące w oddali wzgórze. – Jak widziałyśmy – podjęła cicho – jednym wystarczy gałązka jemioly. A drugim... odrobina magii.

[1] *Raven* (ang.) – kruk.

[2] Macduff – postać z Szekspirowskiego *Makbeta*.

[3] *Here We Go A-Wassailing* (ang.) – Wznieśmy kielichy.

[4] Waclaw – bohater angielskiej kolędy *Good King Wenceslas*, opowiadającej o wyprawie czeskiego króla Waclawa z pomocą dla biednego człowieka podczas nieprzyjaznej pogody.

Tytuł oryginału: By Winter's Light
Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2014

Opracowanie graficzne okładki: Robert Dąbrowski
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Anna Kubalska
Korekta: Jolanta Nowak

© 2014 by Savdek Management Proprietary Limited
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1596-1

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com